KLASA DOJNA
Najbardziej ambitni płacą za wszystkich

CO Z TYM PREZESEM
Kaczyński wie, że pieniądze się skończyły

ABP ALFONS NOSSOL
Kiedy płoną książki, płonie cały świat

GRUCZOŁ MIŁOŚCI
Tadeusz Konwicki i jego bliscy, portret rodzinny we wnętrzu

Kraków 14 kwietnia 2019 nr 15 (3640) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MONIKA SZNAJDERMAN

Wiosna po końcu świata

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

fot. Karpati&Zarewicz

100 LAT ZAiKS-u

Pierwsze stulecie za nami

Rozpoczynamy nowe stulecie działalności. Ochrona twórców, występowanie w ich interesie, dbanie o należne im wynagrodzenia i zaplecze socjalne są i pozostaną naszym priorytetem. Nie przestajemy korzystać z naszego stuletniego doświadczenia i z najlepszych tradycji ZAiKS-u. Wiemy, że dla kultury zawsze można zrobić więcej. Przyjmujemy to wyzwanie na nowy wiek. Serdecznie gratulujemy nowym Honorowym Członkom ZAiKS-u, laureatom Nagród 100-lecia, Nagród ZAiKS-u i Nagród Specjalnych wyróżnionym 23 marca 2019 r.

Honorowi członkowie Roman Polański, Jerzy Skolimowski, Stanisław Tym, Hanna Krall, Eustachy Rylski, Zbigniew Namysłowski, Michał Urbaniak, Ryszard Poznakowski, Leopold Kozłowski-Kleinman [zm. 12.03.2019] Nagrody 100-lecia Lech Janerka, Zbigniew Hołdys, Tomek Lipiński, Mieczysław Jurecki, Marek Gaszyński, Andrzej Mogielnicki, Krzesimir Dębski, Jerzy Kornowicz, Krzysztof Knittel, Zygmunt Kukla, Paweł Łukaszewski, Wojciech Trzciński, Wojciech Druszcz, Andrzej Dudziński, Krzysztof Gierałtowski, Grzegorz Kowalski, Wanda Warska, Stefan Bratkowski, Krzysztof Gradowski, Rafał Marszałek, Maciej Wojtyszko, Jan Wołek, Krzysztof Choiński, Tadeusz Rolke, Andrzej J. Jaroszewicz, Jacek Fedorowicz Nagrody ZAiKS-u: Nagrody literackie dla tłumaczy Marta Jordan, Jacek Bukowski, Clare Cavanagh, Tokimasa Sekiguchi Nagroda im. Krzysztofa Toeplitza za twórczość w dziedzinie piśmiennictwa filmowego Andrzej Kołodyński, Janusz Wróblewski Nagroda im. Karola Małcużyńskiego za twórczość w dziedzinie varsavianów Andrzej Skalimowski Nagroda za twórczość dla dzieci i młodzieży Jan Wojdak, Marta Guśniowska Nagroda za popularyzację polskiej muzyki rozrywkowej Anna Dymna, Radio Lublin Nagroda za popularyzację polskiej muzyki współczesnej Małgorzata Gąsiorowska, Marek Zwyrzykowski Nagroda za wybitne osiągnięcia w dziedzinie sztuk wizualnych Rosław Szaybo Nagroda za twórczość choreograficzną Przemysław Śliwa Nagrody Specjalne Magda Czapińska, Maria Sadowska, Miłosz Bembinow, Janusz Kapusta, Bolesław Pawica, Rafał Skąpski

ZAiKS 100 WARZYSZENIE AUTORÓW

zapraszamy na stronę zaiks100.pl

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Nowa klasa średnia*

Zwykle kiedy mówimy o naszych społecznych niesprawiedliwościach, myślimy o ludziach wykluczonych, bezdomnych, bezrobotnych, o pracownikach niewykwalifikowanych, o tych wszystkich, dla których 500 plus okazało się ratunkiem czy nawet sposobem na godne życie. Jest 6 tys. kościelnych i parafialnych organizacji charytatywnych, 835 charytatywnych organizacji zakonnych; myśli się o bezdomnych, dla których utworzono blisko 900 kościelnych placówek pomocy, 416 punktów pomocy medycznej; myśli się o imigrantach (29 kościelnych dzieł na ich rzecz), nie mówiąc o działalności innych wyznań, o instytucjach i organizacjach świeckich oraz państwowych (przytoczone dane pochodzą z 2016 r., dziś jest ich prawdopodobnie więcej). Myśli się i pewnie nigdy dość będzie się myślało i działało.

Tymczasem socjologowie Tomasz Szlendak i Arkadiusz Karwacki przeprowadzili ciekawe badania. W rozmowie z Pauliną Błaszkiewicz („Klasa dojna", str. 12) pokazują inne, wielkie obszary społeczne, w których rosną poczucie krzywdy, frustracja i gniew. Zapraszają do spojrzenia na... klasę średnią. Jej reprezentanci nie głodują i mają dach nad głową, nawet własne mieszkania czy domy (co prawda spłacają mordercze raty kredytów), nabywają samochody (z tych najtańszych, często używane), zatrudniają korepetytorów i opłacają dodatkowe zajęcia dla swych pociech, wysyłają je na studia, czasem bywają na koncertach i w teatrze, czasem wyjeżdżają za granicę. A na to wszystko pracują z wielkim trudem. Ich wykształcenie, ich wkład w kulturę, ich inwestowanie w wykształcenie dzieci mają się nijak do miejsca na skali prestiżu i zarobków. „Naukowcy po doktoratach, którzy już powszechnie porównują swoje zarobki z pensjami kasjerów w supermarketach w dużych miastach. Dodajmy osoby na umowach śmieciowych – osoby wykonujące wolne zawody. O tym możemy się dowiedzieć z różnych badań: nic tak nie frustruje jak niskie pensje" – mówi w tej rozmowie Arkadiusz Karwacki.

Lamentujemy, że Polskę opuszczają lekarze, że wykształceni u nas specjaliści szukają zatrudnienia w innych krajach Unii Europejskiej. Lamentujemy, jakbyśmy nie wiedzieli, że tam ich status po prostu odpowiada aspiracjom. Są tacy, jak prof. Krystian Jażdżewski, który chcąc Polakom uprzystępnić niezwykle kosztowną w Stanach Zjednoczonych nowoczesną metodologię testów genetycznych, zrezygnował z kariery w USA i opracował w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym metodologię dostępną (finansowo) dla Polaków. Dla większości jednak porównanie statusu osób na podobnym szczeblu drabiny społecznej, tego samego zawodu i podobnych kompetencji w innych krajach rodzi frustrację i ostatecznie gniew. Socjologowie nazwali to „układem odniesienia statusowego".

Do tego warto dodać, że to właśnie klasa średnia jest dla państwa najłatwiejszym do kontrolowania płatnikiem podatków. Jeśli nawet w wieku produkcyjnym jakoś funkcjonuje, to na ogół nie może się spodziewać spokojnej starości na (zwykle kiepskiej) emeryturze, nie mówiąc o godnym systemie opieki zdrowotnej dla ludzi starych. Ta właśnie część społeczeństwa czuje, że ponosząc największe ciężary, nie otrzymuje w zamian nic – konstatują socjologowie.

Dotychczas obiegowa opinia i wzgardliwa publicystyka o klasie średniej miały do powiedzenia zaledwie tyle, że jest „syta" – w domyśle nastawiona na konsumpcję, otępiała, egoistyczna, niezdolna do żadnej z form obywatelskiej solidarności, wręcz odgrodzona, na własne życzenie, od innych klas. No to pora się dowiedzieć, kim jej przedstawiciele są naprawdę. I dlaczego mają dość. ©℗

TP

Moc czytania – 140 stron numeru wielkanocnego

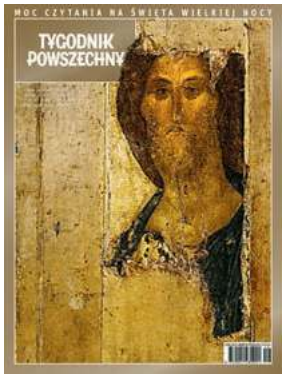

- Przewodnik po Triduum
- Historia procesu Jezusa
- Spory o Zmartwychwstanie
- Do Emaus, ale bez cudów
- Pantokrator jest łaskawy
- Tajemnice pokrzywnicy
- Danuta Wałęsa: Nic nie muszę
- Perypetie dynastii Lichtensteinów
- MMA filozofów, bilety wyprzedane!
- Jagoda Szelc: Jestem krecicą
- Ciemne karty Mosadu
- Komedie depresyjne
- Fantomowy towarzysz wspinaczki
- i inne...

Następny „Tygodnik Powszechny" już we **WTOREK 16 KWIETNIA**
w kioskach i salonach prasowych, a w wydaniach cyfrowych tego samego dnia wieczorem.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

28 Na łące pamięci
MICHAŁ OKOŃSKI
Mogę tu mieszkać, bo ich wszystkich nie ma – mówi Monika Sznajderman. Po czym sprawia, że zaczynają znowu być. I wraca spokój.

22 Co z tym prezesem?
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Wojna o sukcesję w PiS przybrała na brutalności. Czy Jarosław Kaczyński, osłabiony aferą wieżowcową, jeszcze kontroluje sytuację?

52 Nie poznają nas po lungi
MAREK RABIJ
Władze Bangladeszu wracają do pomysłu przeniesienia tysięcy zbiegłych z Birmy Rohingów na bezludną wyspę w Zatoce Bengalskiej.

34 Ratowałem książki
Z ARCYBISKUPEM ALFONSEM NOSSOLEM ROZMAWIA ARTUR SPORNIAK:
Nawet jeśli w książkach jest odczłowieczające myślenie, to nie będziemy mogli się z nim zapoznać, jeśli książkę spalimy.

92 Poza Kościołem nie ma księdza
RYSZARD KOZIOŁEK
Właściwą realnością Kościoła są świeccy chrześcijanie, a treścią prośby odłączonego księdza jest prawo do bycia z nimi razem.

78 Gruczoł miłości
Z MARIĄ KONWICKĄ, GRAFICZKĄ, CÓRKĄ TADEUSZA KONWICKIEGO, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:
Ojciec emanował tak silną energią psychiczną, że gdyby mi telepatycznie kazał wyskoczyć przez okno, pewnie bym to wbrew sobie zrobiła.

RADEK POLAK // PATRYK SROCZYŃSKI // GRAŻYNA MAKARA // BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA // CARLOS TISCHLER / SOPA / GETTY IMAGES // MAREK RABIJ

6 Nauczyciele są zdeterminowani PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

6-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

19 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Co z tym prezesem? ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Nie ma offline i online ROZMOWA Z DR. HAB. JACKIEM PYŻALSKIM, EKSPERTEM W ZAKRESIE EDUKACJI MEDIALNEJ

28 Na łące pamięci MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ WIARA

34 Ratowałem książki ROZMOWA Z ABP. ALFONSEM NOSSOLEM

38 Pielgrzymi od Mikołaja JOANNA WIŚNIOWSKA: *Kościół św. Mikołaja w Gdańsku będzie zamknięty do odwołania*

42 Uważność MONIKA I MARCIN GAJDOWIE: *Ćwiczenia wielkopostne (5)*

■ ■ ŚWIAT

52 Nie poznają nas po lungi MAREK RABIJ

55 Modi po raz drugi? TOMASZ AUGUSTYNIAK: *W Indiach, największej demokracji świata, ruszają wybory*

56 W moich żyłach płynie lexapro MARTA ZDZIEBORSKA: *Miliony Amerykanów biorą antydepresanty latami*

■ TEMAT TYGODNIKA ■

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

12 Klasa dojna ROZMOWA Z TOMASZEM SZLENDAKIEM I ARKADIUSZEM KARWACKIM, SOCJOLOGAMI:

Ponosi koszty polityki socjalnej, ale nie dostaje nic w zamian. Zostaje sama, bo żadnej sile politycznej na niej nie zależy. I dojrzewa w niej bunt.

16 Ulotny hegemon III RP PAWEŁ ŚPIEWAK

Czy klasa średnia ma przyszłość? Odpowiedź na to pytanie dotyczy niemal trzech czwartych Polaków.

■ DODATKI SPECJALNE ■

19. Dni Tischnerowskie

23. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena

■ FELIETONY ■

43 SZYMON HOŁOWNIA **61** ANNA DZIEWIT-MELLER **91** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MONIKA SZNAJDERMAN
Fotografia: RADEK POLAK
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

58 Książki w cieniu wojny PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Coraz więcej Afgańczyków zagląda do księgarń*

■ ■ HISTORIA

62 Drogą do Sobiboru ANTONI SUŁEK: *77 lat temu przez ziemie okupowanej Polski przeszło kilkaset takich pochodów. Pójdziemy śladami jednego z nich*

■ ■ NAUKA

66 Energia z gwiazd i z obwarzanków MIROSŁAW DWORNICZAK *o przyszłości elektrowni termojądrowych*

68 Minimum pół wieku ROZMOWA Z MARCINEM JAKUBOWSKIM, FIZYKIEM

■ ■ KULTURA

78 Gruczoł miłości ROZMOWA Z MARIĄ KONWICKĄ

83 W bólach DARIUSZ KOSIŃSKI *o spektaklu „Wróg się rodzi" w Toruniu*

86 Lalkowy świat PIOTR KOSIEWSKI: *Wystawa w Zachęcie opowiada o fenomenie polskiego teatru lalkowego*

88 W krainie jednorożców ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi"*

90 Dzieło nieoczekiwane LEKTOR *o książce „Prawie nic. Józef Czapski. Biografia malarza"*

■ ■ ZMYSŁY

92 Poza Kościołem nie ma księdza RYSZARD KOZIOŁEK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Jestem żoną katechety

Jakie moralne prawo mają księża, żeby zabraniać katechetom strajku w imię Ewangelii? Dlaczego robicie to rodzinom chrześcijańskim, takim samym członkom Kościoła jak Wy? – *pyta* **CZYTELNICZKA ANNA,** *żona katechety, w liście do redakcji* **powszech.net/zona-katechety**

Strona świata

Stany Zjednoczone cofnęły wizę wjazdową szefowej prokuratury Międzynarodowego Trybunału Karnego. Dlaczego? – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, że to dlatego, iż Fatou Bensouda nie rezygnuje ze śledztwa w sprawie zbrodni wojennych, jakich amerykańscy żołnierze mogli dopuścić się w Afganistanie.* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

ILE WYTRZYMAJĄ NAUCZYCIELE

Ile potrwa i czym się zakończy strajk w oświacie? W dniu jego rozpoczęcia nic nie wskazywało, by był akcją kilkudniową.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Manifestacja poparcia dla nauczycieli przed Ministerstwem Edukacji Narodowej, Warszawa, 6 kwietnia 2019 r.

JAAP ARRIENS / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Takiej ciszy w tym miejscu Beata Waśniowska mogła nie doświadczyć przez 30 lat. Poniedziałkowe przedpołudnie, siedzimy na korytarzu krakowskiej SP z Oddziałami Integracyjnymi nr 3 – niesie się tu tylko stukanie obcasów nauczycielek, które schodzą się, by rozpocząć strajk. Ogólnopolskich statystyk na razie brak (ten numer „Tygodnika" zamykaliśmy w poniedziałkowe wczesne popołudnie), ale wszystko wskazuje na to, że konsekwencje nauczycielskiego protestu biorą na siebie – tak jest w krakowskiej SP3, gdzie do południa nie stawiło się żadne dziecko, ale też w wielu innych placówkach – rodzice.

Te trzy dekady pracy w oświacie Beaty Waśniowskiej, od 1986 do 2015 r. nauczycielki w klasach 1–3, od czterech lat oddelegowanej do działalności w Związku Nauczycielstwa Polskiego, dają dobry wgląd w stan umysłu polskiego pedagoga A.D. 2019. Waśniowska przeżyła przez ten czas: schyłek oświaty PRL-owskiej, programową rewolucję czasu prze-

łomu, wprowadzenie gimnazjów, posłanie sześciolatków do szkół, a następnie wycofanie się z obu tych reform. Wspólny mianownik: ekonomiczna nędza nauczyciela, którego pensja nad Wisłą ma jeden z najniższych wskaźników siły nabywczej w Europie.

– Ciągłe zmiany, ciągłe przekształcenia, związane z nimi doskonalenia, kursy, szkolenia, a także dochodząca w związku z reformami biurokracja. Przychodzi moment, gdy człowiek dochodzi do granicy wytrzymałości. Strajkuję, by zaczęto nas godnie traktować. I nie o mnie przede wszystkim chodzi, ale o moje młode koleżanki: nie chcę, by podjęły kiedyś decyzję, że lepiej iść do sieci handlowej na kasę, niż pozostać w szkole – mówi Waśniowska, prowadząc do sali wypełnionej strajkującą od rana kadrą. „Strajkuję, bo nie stać mnie – finansowo i czasowo – na fryzjera i kino"; „bo bank obliczył moją zdolność kredytową na 180 tysięcy, a za takie pieniądze w Krakowie nie kupię nawet połowy mieszkania" – mówią znad stolików zastawionych wodą mineralną i ciastkami nauczycielki. Ten właśnie obrazek – pomijany, bo pozornie nazbyt oczywisty? – jest znakiem firmowym rozpoczętego 8 kwietnia protestu: strajk nauczycieli to strajk w zdecydowanej większości kobiet, coraz rzadziej godzących się ze stereotypem „wykonującej hobbystyczny zawód żony, która dokłada drobne do pensji męża".

Ile potrwa i czym się zakończy strajk? Nic nie wskazuje na to, by był akcją kilkudniową. Prędzej to początek długoterminowej wojny podjazdowej, której stawką będzie przekonanie rodziców, że to ta druga strona „bierze uczniów na zakładników". Ugięcie się strony rządowej? Gdyby miało nastąpić, nastąpiłoby już w ubiegły piątek, zamiast kuriozalnej (zważywszy na nadchodzący za dwie doby strajk) propozycji przemodelowania całego systemu pracy pedagogów (większe pensum, więcej pieniędzy za kilka lat, mniej nauczycieli). Kapitulacja ZNP? Byłaby gigantyczną wizerunkową porażką, zwłaszcza że oświatowa Solidarność podpisała z rządem porozumienie opiewające na niewielkie, bo niewielkie, ale jednak podwyżki pensji. Strajk mógłby wygasać oddolnie, w miarę wycofywania się zeń przerażonych stratami w dochodach nauczycieli (nie wszystkie samorządy zadeklarowały finansowy bufor dla protestujących). Tyle że w salach lekcyjnych tymczasowo wypełnionych nauczycielami – jak w krakowskiej SP3 – na rychły spadek determinacji się nie zanosi. ©℗

Wolne niedziele na razie zostają

RAFAŁ WOŚ

Rząd przemówił w sprawie wolnych niedziel. Orzekł, że zostają. Przynajmniej do wyborów.

Opublikowany w minionym tygodniu przez Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii raport głosi, że ograniczenie niedzielnego handlu działa od 2018 r. wcale nieźle. Uzasadniając tę tezę, kierowany przez Jadwigę Emilewicz resort zgrabnie łączy wyjaśnienia pracownicze z popytowymi. Uznaje argument wynikający z analiz Solidarności, że zakaz przełożył się na poprawę jakości życia pracowników (a zwłaszcza pracownic). Stawia też tezę, że niedziela z dala od centrum handlowego otworzyła Polaków na inne sposoby spędzania wolnego czasu. Na czym korzysta gospodarka – np. notująca wzrosty branża turystyczna.

Wcale nie było pewne, że raport będzie miał takie właśnie przesłanie. Od dłuższego czasu do opinii publicznej docierały argumenty sieci handlowych o „rzezi małych sklepów" albo o tym, że zakaz handlu to deptanie wolności konsumenta. W odpowiedzi szarżował Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców, kwestionując liczby, na których lobbyści opierali swoje tezy. Zakulisowo wolnych niedziel twardo broniła Solidarność.

Raport ministerstwa oczywiście nie zamyka sprawy. „Konieczne jest dopracowanie regulacji w kierunku wzmocnienia małych sklepów" – czytamy w rządowej rekomendacji. Drobni sklepikarze, którym PiS obiecywał, że skończy się dyktat zagranicznych hipermarketów, mogą to brać zarówno za dobrą monetę, jak i grę na czas. W raporcie nie ma przecież ani słowa o tzw. lex Żabka. Czyli o projekcie, który miał utrudnić czołowej sieci franczyzowej podszywanie się pod urząd pocztowy, co umożliwia jej pracę w wolne niedziele. Regulacja, która mogła to ukrócić, leży od grudnia w sejmowej zamrażarce.

Jedno jest więc pewne: gra o wolne niedziele będzie trwała. ©℗

Oddech będzie krótki

„110 MLN NA OPIEKĘ WYTCHNIENIOWĄ w 2019 r." – ogłosił w zeszłym tygodniu rząd. Chodzi o problem lekceważony solidarnie przez kolejne rządy III RP. Zgodnie z zasadą: skoro wielotysięczna armia najbardziej niepełnosprawnych obywateli ma całodobową opiekę krewnych (współmałżonków, rodziców, dzieci), to państwu niewiele do tego.

Efekt? Znękani opiekunowie – nazywający siebie czasem „więźniami własnych domów" – non stop przy swoich niepełnosprawnych podopiecznych. Wspierani przez państwo, ale tylko warunkowo (gdy zrezygnują z pracy zarobkowej), w dodatku w skali, która nie pozwala im nawet marzyć o zatrudnieniu opieki zastępczej.

To z myślą o tej grupie rząd wprowadził program tzw. opieki wytchnieniowej, w ramach której osoby niepełnosprawne – bez względu na swoje dochody – mogą liczyć w 2019 r. na 14 dni całodobowego pobytu w placówce, a także pakiet 240 godzin opieki dziennej lub specjalistycznego poradnictwa.

Rewolucja? – Nic z tych rzeczy – ocenia w rozmowie z „Tygodnikiem" dr hab. Paweł Kubicki, ekonomista SGH, specjalista ds. polityki publicznej wobec niepełnosprawności. – Po pierwsze, program ten traktuję jako pilotaż, bo na razie są gwarancje środków na rok. Po drugie, nie każda gmina przystąpi do programu, bo zakłada on finansowanie w 50–80 proc., pozostałe zaś koszty ponoszą samorządy. Niektóre nie będą skore do zaangażowania z jeszcze innych powodów, np. braku infrastruktury. W efekcie najbardziej skorzystają gminy bogatsze, gdzie i tak wsparcie było największe. Po trzecie, pomoc będzie przyznawana wedle międzynarodowej skali Barthel, określającej stopień niesamodzielności, co oznacza, że może zabraknąć środków np. dla osób z niepełnosprawnością intelektualną.

– Trudno więc mówić o tworzeniu nowego systemu – podsumowuje ekonomista SGH. – To raczej rodzaj „nakładki", która może dać części potrzebujących krótkotrwały oddech.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

DAVID J. ENGEL / ADOBE STOCK

CORAZ WIĘCEJ. „Najmniej 100 zł od jednego tucznika i 500 zł od jednej krowy, ale może być więcej" – rolnikom mającym zwierzęta z własnego chowu, karmiącym je własną paszą i zapewniającym im tzw. dobrostan obiecał Jarosław Kaczyński. Żartom w miejskich mediach nie ma końca, choć ich dziennikarze na co dzień zdają się być zwolennikami zdrowej żywności, a pieniądze deklarowane przez prezesa PiS mają pochodzić ze środków unijnych.

ZA DUŻO. Ministerstwo Środowiska obniżyło progi stężenia pyłu zawieszonego, przy których ogłasza się alarm smogowy, z 300 do 250 mikrogramów na m³ dla pyłu PM10 i z 200 do 150 dla pyłu PM2,5. Sukces jest połowiczny: zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia wskazują, że dopuszczalne stężenia dobowe dla pyłu PM10 nie powinny przekraczać 50 mikrogramów, a dla pyłu PM2,5 – 25 mikrogramów na m³, a od samego ogłoszenia alarmu powietrze się nie poprawi.

ZA SZYBKO. Najszybszy polityk w Polsce nazywa się Antoni Macierewicz: TVN 24 ustalił, że 11 km między swoim domem a Sejmem b. szef MON pokonuje w kwadrans, radząc sobie z korkami za pomocą sygnałów dźwiękowych, a „Gazeta Wyborcza" przeanalizowała prędkość, z jaką Macierewicz w ciągu minionych lat formułował sprzeczne teorie na temat katastrofy smoleńskiej.

ZA BLISKO. W Hiszpanii, na podstawie europejskiego nakazu aresztowania, zatrzymano Marka Falentę – organizatora afery podsłuchowej, skazanego przez polski sąd na 2,5 roku więzienia, a następnie uchylającego się od odbycia kary.

ZA DALEKO. Inny kłopotliwy desant z Polski wykryli filipińscy celnicy: w elegancko zapakowanych pudełkach ciastek i płatków owsianych wysłanych z naszego kraju znaleźli… 757 żywych tarantul.

Magiczna funkcja pasków

ŻADNE Z DOTYCHCZASOWYCH „sprawozdań o stanie ochrony języka polskiego", przygotowywanych co dwa lata przez Radę Języka Polskiego, nie cieszyło się takim zainteresowaniem jak to, które ostatnio pojawiło się na sejmowych stronach. 148-stronicowy raport w całości dotyczy „pasków grozy", czyli jednozdaniowych zapowiedzi materiałów z głównego wydania „Wiadomości" TVP.

Badacze – Katarzyna Kłosińska, Rafał Zimny i Przemysław Żukiewicz – sprawdzili, czy zgodnie z ustawą o ochronie języka polskiego telewizja publiczna „stwarza warunki do właściwego rozwoju języka jako narzędzia międzyludzkiej komunikacji" oraz czy „zachowuje standardy obiektywizmu i niezależności". Nie stwarza i nie zachowuje – odpowie każdy, kto oglądał „Wiadomości" za czasów prezesury Jacka Kurskiego, a przy tym dysponuje elementarną wrażliwością językową i poczuciem przyzwoitości. Naukowcy z RJP nie mogli jednak poprzestać na odruchu, wybrali więc 13 wydarzeń polaryzujących opinię publiczną (od reformy sądownictwa po protest lekarzy rezydentów) i przeanalizowali wszystkie 306 pasków, które ich dotyczyły.

Wniosek? „Większość tekstów pasków »Wiadomości« TVP 1 pełni funkcje nieinformacyjne – głównie perswazyjną (wpływanie na odbiorcę), magiczną (kreacja rzeczywistości) i ekspresywną (wyrażanie emocji i ocen nadawcy)", a tylko „co czwarty tekst sygnujący materiał reporterski jest powiadomieniem w sensie ścisłym, tj. informacją intencjonalnie pozbawioną oceny". Autorzy raportu wskazali, że komunikaty „Wiadomości" są nakierowane na wspieranie działań rządu i gnębienie opozycji, realizują „nieetyczne zabiegi językowe, takie jak etykietowanie, stygmatyzacja, stereotypizacja", a wreszcie „mają charakter manipulacyjny".

Ostatnie zdanie raportu brzmi: „Język polski jest dobrem wspólnym wszystkich jego użytkowników, a zatem nie może być przez nikogo, zwłaszcza przez nadawcę telewizyjnego, zawłaszczany i traktowany jako narzędzie walki politycznej". Rada Języka Polskiego przypomniała więc o pryncypiach, o których prezes TVP, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, Rada Mediów Narodowych i minister kultury pamiętać nie chcą.

Do momentu oddania tego tekstu do druku TVP nie odniosła się do sprawozdania RJP.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

Pewne jak na emeryturze

ABY ŻYCIE STARUSZKA BYŁO WESOŁE jak w piosence Kabaretu Starszych Panów, niezbędne jest osiągnięcie odpowiedniego poziomu otępienia na bodźce zewnętrzne. Odklejenie od rzeczywistości przyda się zwłaszcza na wypadek kontaktu z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych: instytucją zaufania publicznego, której coraz trudniej zaufać.

W pewnym sensie ZUS jest także ofiarą tej kuriozalnej sytuacji. Jako jednostka administracji państwowej podlega politykom, których obchodzi reelekcja, a nie to, czy za 10–15 lat dla każdego emeryta wystarczy pieniędzy na dwanaście comiesięcznych przelewów, nie mówiąc o trzynastym. W trosce o budżet (czytaj: o jak największe finansowanie w roku wyborczym i w kolejnych latach po ewentualnej wygranej) rząd PiS zapowiada więc przeniesienie 25 proc. pieniędzy zgromadzonych w OFE do Funduszu Rezerwy Demograficznej – czyli po prostu ich nacjonalizację. Czysto technicznie operacja przypomina nieco przełożenie pieniędzy z kieszeni do kieszeni, ale większe znaczenie ma tutaj symbolika; władza kolejny raz udowodni obywatelom, że zawierane z nimi umowy nie mają dla niej wartości. A jednocześnie ta sama władza próbuje namówić podatników, by część pieniędzy odłożyli na przyszłość (czytaj: dali się wkrótce łatwo z nich obłupić jedną zmianą przepisów) w tzw. pracowniczych planach kapitałowych.

To ZUS, jak drobny cwaniaczek, odmawia wykonania wyroku sądowego przyznającego wyższe emerytury tysiącom kobiet, a jednocześnie skwapliwie sięga po inny wyrok Sądu Najwyższego, który daje mu prawo do kwestionowania wysokości składek opłacanych przez samozatrudnionych.

Jednym z filarów zaufania społeczeństwa do organów władzy jest równowaga pomiędzy tym, czego od obywatela może wymagać rząd, i tym, czego obywatel ma prawo oczekiwać od władzy. W przypadku polskiego systemu emerytalnego nawet fundamentalni zwolennicy silnego państwa nie mają już chyba wątpliwości, że władza wymaga coraz więcej, jednocześnie gwarantując w zamian coraz mniej.

©℗ MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

10 proc.

Ta część najlepiej zarabiających Polaków odpowiada za prawie 40 proc. dochodu narodowego, co – jak wynika z badania World Inequality Lab Thomasa Piketty'ego – jest najwyższym wskaźnikiem nierówności dochodowych w Europie.

FRANK AUGSTEIN / AP / EAST NEWS

PRZED KOLEJNYM MOŻLIWYM DNIEM BREXITU oblężenie przeżywa infolinia Unii Europejskiej. „Ludzie dzwonią nieprzytomnie, czasem panikują", powiedziano w jej biurze portalowi Politico.eu. Brytyjczycy pytają, czy po piątku wrócą z urlopu w Hiszpanii, maltańscy studenci – czy zostaną na Wyspach, Niemcy narzekają na nieefektywność brexitu. Czas ucieka: 10 kwietnia zbiera się Rada Europejska. Jeśli Londyn przedstawi plan wyjścia z impasu, brexit opóźni się do 22 maja. Jeśli nie (i jeśli nie zgodzi się na wybory do PE) – 12 kwietnia o północy Zjednoczone Królestwo przestanie być w Unii. Co wtedy? Zawsze można zapytać Europę: tel. 00 800 678 910 11 (połączenie bezpłatne, mówią też po polsku). Na zdjęciu: nowe stanowisko odprawy celnej w angielskim Folkestone, 5 kwietnia 2019 r. ©℗ ŻYM / POLITICO.EU

Wojna w Libii i zmierzch prezydentów

WOJCIECH JAGIELSKI

Po 8 latach Arabska Wiosna być może wróciła do Maghrebu. Znów trwają tu polityczne odwilże i zawieruchy. W Algierii, pod naciskiem demonstracji, po 20 latach panowania ustąpił 82-letni prezydent Abd al-Aziz Buteflika. W 2011 r. przetrwał społeczne protesty przekupując buntowników petrodolarami (Algieria, obok Libii, należy do największych wydobywców ropy naftowej w Afryce). Tym razem zniedołężniałego na skutek wylewu prezydenta zmusili do dymisji jego najbliżsi towarzysze, z dowódcą armii, 79-letnim gen. Ahmedem Gaidem Salahem na czele. Rządzący Algierią weterani partyzanckiej wojny z lat 50. uznali, że jeśli rzucą prezydenta na pożarcie, sami zachowją władzę. Ale ulica nie zadowoliła się tą ofiarą – teraz żąda, by wraz z Boutefliką odeszli także jego leciwi kompani. Elekcja nowego przywódcy ma się odbyć za sto dni.

Widząc, co się dzieje u sąsiadów, Al-Badżi Ka'id as-Sibsi, 93-letni prezydent Tunezji, której jako jedynej Arabska Wiosna przyniosła demokrację, ogłosił, że nie wystartuje w listopadowych wyborach. W Sudanie, gdzie nawrót Arabskiej Wiosny zaczął się w grudniu, prezydent Omar al-Baszir rządzi od 1989 r. i ani myśli składać władzę. Osiem lat temu stłumił antyrządowe wystąpienia. Teraz też policja bezwzględnie rozpędza demonstracje. Zginęło już ponad 60 osób.

Najbardziej dramatyczna i zmienna jest jednak sytuacja w Libii – tu na nowo wybuchła wojna domowa. Samozwańczy przywódca Cyrenajki (wschodnia część kraju) gen. Chalifa Haftar zajął roponośny Fazzan na południu i ruszył właśnie na Trypolis. Drogę do stolicy i władzy próbują mu przegrodzić partyzanci z Misraty (na zachodzie kraju, w Trypolitanii), którzy w 2011 r. obalili i zgładzili płk. Muammara Kadafiego. ©℗

Jak Belgowie zabierali dzieci

FRANÇOIS D'ADESKY MIAŁ 7 LAT, kiedy wraz z rodzeństwem przywieziono go do Europy. Był rok 1953 i jego ojcu, belgijskiemu górnikowi, skończył się kontrakt w Afryce. Matkę, Rwandyjkę, pożegnał przed wejściem do samolotu. Według Belgów administrujących Ruanda-Urundi, ówczesnym terytorium powierniczym ONZ, nie miała prawa do własnych dzieci.

Szacuje się, że w czasach kolonialnych ze związków belgijskich osadników i kobiet z dzisiejszych Konga, Rwandy i Burundi urodziło się od 14 do 20 tys. dzieci. Nazywano je *métis*. Biali ojcowie zwykle ich nie uznawali, w lokalnych społecznościach integrację blokował ostracyzm; w efekcie wiele wychowało się w sierocińcach lub specjalnych szkołach z internatami. Inne podzieliły los d'Adesky'ego: na przełomie lat 50. i 60., kiedy wszystkie trzy kraje uzyskiwały niepodległość, tysiące *métis* oddzielono od matek, sióstr i braci, a następnie wywieziono do Belgii. I tu pozostawały na uboczu – zostawał przy nich co dziesiąty ojciec, przed adopcją rozdzielano rodzeństwa, zmieniano imiona – nierzadko przez całe życie próbowały odbudować tożsamość.

W miniony czwartek premier Belgii Charles Michel przeprosił w końcu *métis* w imieniu państwa. Uznał, że jego poprzednicy prowadzili w Afryce „politykę porwań", powiedział o niesprawiedliwości i cierpieniu doświadczonym przez kobiety, którym zabrano dzieci, obiecał otwarcie archiwów. Dwa lata temu przeprosiny – za segregację *métis* i zakazywanie małżeństw mieszanych rasowo – wystosował belgijski Kościół katolicki.

François d'Adesky zobaczył matkę po 23 latach. Wyszedł na prostą – zdobył w Europie wykształcenie, zrobił karierę w ONZ, założył stowarzyszenie na rzecz praw *métis*. Teraz ma 73 lata. „Trudno siebie budować, gdy całe życie nie ma się tożsamości. Warto się przed śmiercią dowiedzieć, kim się jest" – stwierdził po słowach premiera.

©℗ MARCIN ŻYŁA / LESOIR.BE

Papież do młodzieży: mądrze eksperymentujcie!

INSPIRUJĄC SIĘ GŁOSAMI, które wybrzmiały na Synodzie o Młodzieży, Franciszek napisał adhortację „Chrystus żyje". Ma ona dwa kręgi adresatów. Pierwszy to sama młodzież, drugi – Kościół, w którym młodzież ma znaleźć miejsce i który ma wzbogacić swoimi darami.

W odniesieniu do młodzieży, adhortacja jest papieską katechezą o miłości Boga i zachętą do rozwoju. Franciszek kreśli przed młodymi wizję życia twórczego, w którym jest miejsce na ryzyko eksperymentowania, choć zakorzenionego w tradycji; radosnego, choć niepozbawionego trudności i wymagającego odpowiedzialnych decyzji; w bliskości z Bogiem, ale i bez oddzielenia od ludzi, także tych inaczej myślących i wierzących.

Kościołowi Franciszek przypomina, że aby młodzi się w nim odnaleźli, musi pozwalać zgłaszać młodym swe wątpliwości i mieć świadomość, że „chociaż posiada prawdę Ewangelii, nie oznacza to, że w pełni ją zrozumiał; raczej musi zawsze wzrastać w zrozumieniu tego niewyczerpalnego skarbu".

Starsi – zdaniem Franciszka – powinni młodym towarzyszyć w rozwoju, ale nie przytłaczać regułami i normami; pomagać na drodze powolnego dojrzewania, pobudzając „dobro możliwe". Liczy się nie tyle doktryna, co żywe doświadczenie. Towarzyszenie komuś to słuchanie bez osądzania; wrażliwość na osobę, gotowość, by „w pewnym momencie zniknąć, aby pozwolić jej podążać tą ścieżką, którą odkryła".

Nic nowego – rzec można – ale ile jeszcze przed nami.

©℗ PIOTR SIKORA

Rekolekcje ostatniej szansy

ZASKAKUJĄCA PROPOZYCJA Stolicy Apostolskiej: w tym tygodniu (prawdopodobnie już 9 kwietnia) prezydent Sudanu Południowego Salva Kiir Mayardit oraz zwaśniony z nim od lat lider opozycji Riek Machar mają odprawić wspólne rekolekcje w Watykanie.

Obaj politycy od 2011 r. stali na czele nowo powstałego państwa (Machar był wiceprezydentem). Spór między nimi, którego podłożem był też konflikt etniczny doprowadził w 2013 r. do wybuchu sześcioletniej wojny domowej, w której zginęło 382 tys. osób, a prawie 4 mln musiało uciekać z kraju. Kolejne porozumienia nie były respektowane przez żadną ze stron. Dopiero ostatniej jesieni udało się doprowadzić do pokoju – wciąż jednak kruchego. Nikt nie wątpi, że głównym elementem „dnia skupienia" (niemającego precedensu w historii watykańskiej dyplomacji) będzie narodowe pojednanie. W tle są również plany pomocy: w Sudanie Południowym Kościół zamierza zaangażować się finansowo w odbudowę zniszczonych podczas wojny szkolnictwa i systemu ochrony zdrowia. Szczegóły rekolekcji zapewne zostały omówione podczas marcowej audiencji prezydenta Kiira u Franciszka. Riek Machar także przyjął zaproszenie papieża, choć jego przyjazd uzależniony jest od zgody władz sąsiedniego Sudanu, gdzie przebywa w areszcie domowym.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NIEFORTUNNA AKCJA. Inicjator palenia w gdańskiej parafii książek związanych z magią ks. Rafał Jarosiewicz przeprosił za to działanie i nazwał je niefortunnym. Wyjaśnił, że nie miało ono „charakteru prześmiewczego wobec jakiejkolwiek grupy społecznej czy religii, nie było też wymierzone w książki jako takie czy kulturę". Jako niefortunną uznał także publikację fotografii ukazujących zniszczenie książek. (Wydarzenie komentuje w tym numerze abp Alfons Nossol w rozmowie na s. 34.)

JOSE LUIS MAGANA / AP / EAST NEWS

PIERWSZY AFROAMERYKANIN. Dotychczasowy arcybiskup Atlanty Wilton Gregory został nowym metropolitą Waszyngtonu. Zastąpił kard. Donalda Wuerla, który ustąpił ze stanowiska w październiku w związku z zarzutami o tuszowanie pedofilii. Jako przewodniczący amerykańskiego Episkopatu w latach 2001-04 Gregory dał się poznać jako zwolennik szybkiego wprowadzenia polityki „zero tolerancji". „New York Times" zwraca uwagę, że Gregory będzie pierwszym Afroamerykaninem na tym stanowisku. W USA jest tylko ośmiu czarnoskórych biskupów na 441 wszystkich.

KONSTERNACJA ARCYBISKUPA. Podczas jednej z porannych mszy maltański arcybiskup Charles Scicluna ze zdziwieniem odstawił kielich, po czym podał go innemu duchownemu. „To whisky?" – zapytał. Okazało się, że wolontariusz, który przygotowywał mszę, przez pomyłkę wybrał złą butelkę z zakrystyjnej szafy. Do ważności Eucharystii wymagane jest użycie naturalnego wina z winogron.

Różnica między Franciszkiem a polskim biskupem

ARTUR SPORNIAK

Prezes Fundacji Nie Lękajcie Się Marek Lisiński jako ofiara księdza pedofila nie milczy, tylko głośno domaga się sprawiedliwości. Wspiera też inne ofiary, a ostatnio próbuje diagnozować skalę krzywdy (ze skutkiem, którego rzetelność można dyskutować) – niedawno fundacja przekazała papieżowi obszerny raport o pedofilii w polskim Kościele, a w internecie zamieściła mapę pokazującą skalę problemu.

Biskupi są różni, różnie też reagują na kryzys wywołany krzywdzeniem dzieci przez księży pedofilów. Robią jednak wiele, by udawać jednomyślność. Na przykład nigdy nie pozwalają sobie na głosy krytyczne względem siebie. Nawet jak jeden z nich zrobi coś, co kompromituje Kościół, inni otaczają go solidarnym milczeniem.

Dlatego tym razem pozwolę sobie na uogólnienie i zapytam: czym się różni Franciszek od polskiego biskupa?

Moja odpowiedź brzmi: między innymi tym, że nie boi się spotkać z Markiem Lisińskim, a spotkawszy go, okazuje szacunek i pokorę – całując go w rękę. Natomiast polski biskup wykorzystuje liturgię i ambonę, by publicznie postponować prezesa Fundacji Nie Lękajcie Się, ofiarę księdza pedofila.

Podczas transmitowanej przez Telewizję Trwam i Radio Maryja comiesięcznej pierwszoczwartkowej mszy w sanktuarium św. Józefa w Kaliszu metropolita częstochowski abp Wacław Depo aluzyjnie, lecz czytelnie zarzucił autorom raportu brak wiary i miłości. „Trzeba mieć zaczyn wiary, żeby stawać wobec następców św. Piotra i żądać sądów" – mówił hierarcha. I wyjaśniał, żeby nie było wątpliwości, o kogo chodzi: „Ten zaczyn to miłość Chrystusa w Kościele, a nie jego krytyka. Chodzi o miłość, która wypływa z wiary i odpowiedzialności, a nie raporty o Kościele polskim czy Kościele w ogóle do Watykanu".

©℗

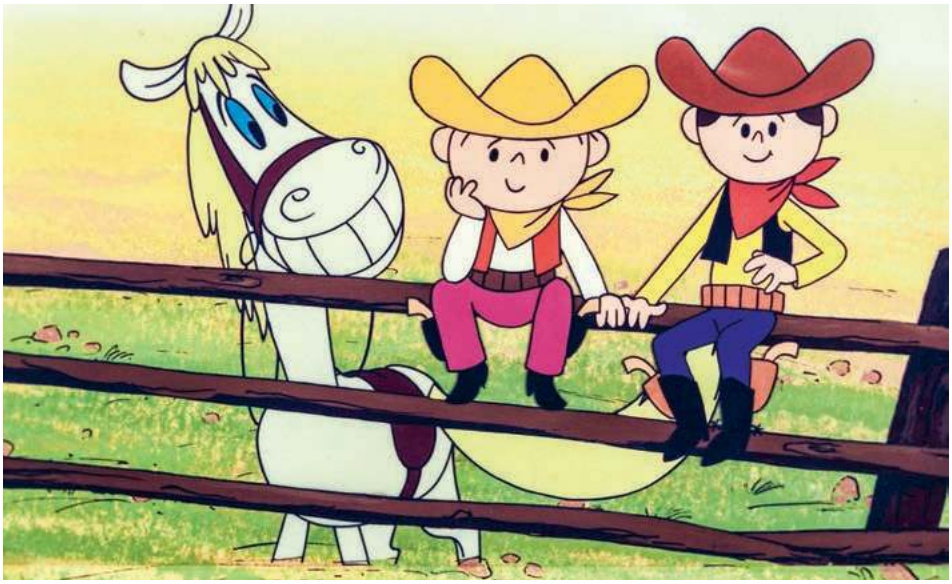

INPLUS / EAST NEWS

Bolek i Lolek na wokandzie

W ZWIĄZKU Z ROSZCZENIAMI jednego ze spadkobierców Władysława Nehrebeckiego, współtwórcy Bolka i Lolka, Studio Filmów Rysunkowych tymczasowo zawiesza emisję tych kreskówek w serwisie YouTube – poinformowała spółka kilka dni po uruchomieniu oficjalnego kanału z przygodami Bolka i Lolka.

Marzena Nehrebecka kwestionuje nabycie przez wytwórnię pełni praw majątkowych do jednej serii bajki, powstałej po 1980 r., oraz filmu „Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie". Ta ostatnia produkcja, zdaniem córki Władysława Nehrebeckiego, jest kompilacją odcinków wyprodukowanych wcześniej, ale wśród twórców nie wymieniono jej ojca. Zdaniem władz SFR nie doszło do złamania prawa, bo twórcy kreskówki jako pracownicy przekazali prawa majątkowe do „Bolka i Lolka" chlebodawcy, a spadkobiercom przysługują jedynie tantiemy z tytułu praw autorskich.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że spór rozgorzał tuż po zawarciu umowy z YouTube'em, na mocy której serwis usunął setki filmów o Bolku i Lolku zamieszczonych przez internautów. ©℗ MR

W trosce o „inkluzywność" kultury

MONIKA OCHĘDOWSKA

Minister Piotr Gliński nie miał prawa odebrać Festiwalowi Malta dotacji – orzekł w minionym tygodniu Sąd Okręgowy w Warszawie. Przypomnijmy: w 2016 r. Fundacja Malta zawarła trzyletnią umowę na organizację festiwalu teatralnego, na mocy której Ministerstwo Kultury zobowiązało się do wypłaty corocznych dotacji celowych. W 2017 r. resort postanowił jednak nie wypłacić obiecanych funduszy: zaproszeni do Poznania artyści „swoimi działaniami wywołują głębokie konflikty i falę protestów społecznych", zrażając tym samym dużą część społeczeństwa do instytucji teatru – argumentował. Poszło o kuratora imprezy Olivera Frljicia, reżysera kontrowersyjnego spektaklu „Klątwa". Michał Merczyński, prezes Fundacji Malta, postanowił wówczas odwołać się od decyzji MKiDN w sądzie. Efekt? Skarb Państwa wypłaci organizatorom zaległą dotację w wysokości 300 tys. zł wraz z odsetkami ustawowymi oraz 15 tys. zł zwrotu kosztów procesu. Wyrok jest nieprawomocny.

To kolejna przegrana przez Glińskiego sprawa, której przedmiotem jest prymat prywatnego gustu ministra nad jego urzędniczym obowiązkiem – wypłacaniem przyznanych dotacji. Ale przede wszystkim proces udowodnił, że będąca jednym z warunków pozytywnej oceny merytorycznej imprez kulturalnych „inkluzywność", na którą tak chętnie powołuje się wicepremier, jest środkiem ministerialnej cenzury. A ponieważ orzecznictwo polskich sądów chętnie korzysta z doświadczenia spraw precedensowych, decyzja Sądu Okręgowego w Warszawie może być punktem odniesienia dla innych tego typu przypadków. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

SZOKUJĄCA SYTUACJA. Czy po pomniku Ofiar Tragedii Smoleńskiej można skakać na hulajnodze? – pyta na łamach „Rzeczpospolitej" zaniepokojony Michał Płociński. Wszystko wskazuje na to, że kaskaderskie zabawy na pl. Piłsudskiego mają także wymiar polityczny, bo przecież „nawet w przypadku słynnego w deskorolkowym świecie Witosa skacze się po schodach, a nie po samym pomniku", argumentuje dziennikarz. A jeśli sam pomnik to nic innego jak trap samolotu? Mając na uwadze wysokość Witosa (ok. 6 metrów), założymy się, że „świat deskorolkowy" chętnie poznałby „trik Płocińskiego".

MOCNE SŁOWA. Dumni z rozwikłania okołopomnikowych kontrowersji otwieramy nowy magazyn opinii „Pismo", poświęcony „mediom oraz prawdzie". Gotowość przyjęcia na strony Wirtualnej Polski pogłębionych treści zgłasza w jednej z debat sam naczelny Tomasz Machała: „Dziennikarstwo śledcze? Tak, ale pod warunkiem, że dziennikarz będzie pisał dla nas jeden–dwa teksty dziennie". Zainteresowanym Machała podrzuca z miejsca kilka aktualnych tematów: wcieleniówki o swingersach, burza o strukturze kipiącego kisielu, Zenek Martyniuk, wypadki i pogoda.

NARODOWY PAŹDZIERZ. Na szczęście powróci Nagroda Mediów Publicznych. Szef Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański obiecuje, że laureatów w kategoriach Słowo, Obraz i Muzyka wybiorą niezależni eksperci. Mniej więcej w połowie roku, przed wakacjami i bez żadnych politycznych nacisków. W kategorii Słowo już dziś duże szanse ma członkini RMN Elżbieta Kruk (PiS), która w programie „Onet Opinie" nazwała TVP „troszkę taką paździerzową w zakresie informacji". Posłanka zaznaczyła, że określenie „paździerz" zaczerpnęła z tygodnika opinii.

TEMAT TYGODNIKA

KLASA DOJNA

Ponosi koszty polityki socjalnej, ale nie dostaje nic w zamian. Inwestuje w edukację, a zarabia mniej niż gorzej wykształceni. Zostaje sama, bo żadnej sile politycznej na niej nie zależy. I dojrzewa w niej bunt

– MÓWIĄ SOCJOLODZY TOMASZ SZLENDAK, ARKADIUSZ KARWACKI, AUTORZY BADAŃ NAD KLASĄ ŚREDNIĄ

PAULINA BŁASZKIEWICZ: Czy klasa średnia jest zaniedbana?

PROF. TOMASZ SZLENDAK: Powiedziałbym wręcz, że uciskana. Zwróćmy uwagę na wysokość wynagrodzeń w zawodach przypisanych do tego stanu, na obciążenia fiskalne i na to, kto w praktyce ponosił koszty światowego kryzysu gospodarczego, np. poprzez niwelującą bezpieczeństwo socjalne elastyczność na rynku pracy, wszystkie te umowy śmieciowe i samozatrudnienie. Dodajmy do tego brak wysokiej jakości usług społecznych finansowanych z budżetu państwa, który powoduje, że ci, którzy chcą mieć w miarę szybki dostęp do profilaktyki zdrowotnej albo dobrej edukacji dla dzieci, muszą za to płacić ze środków, które z coraz większym trudem zdobywają. A do tego są jeszcze obciążeni kredytami – i pojawia się program 500 plus.

Co z nim jest nie tak?

TS: To narzędzie, które w praktyce służy niwelowaniu nierówności społecznych i zasypywaniu różnic w dochodach. Zwiększa całkowite dochody klasy ludowej, by dorównały dochodom klasy średniej.

PROF. ARKADIUSZ KARWACKI: Ten program wywołuje wiele pozytywnych efektów, ale warto patrzeć na niego z perspektywy różnych kategorii społecznych. Mówi się często, że jest to program powszechny, egalitarny. Nie jest to jednak egalitaryzm rozumiany jako transfer pieniędzy kierowany do wszystkich i równo

wzmacniający ich potencjał wychowawczy/konsumpcyjny. Jest to raczej egalitarność rozumiana jako wyrównywanie zasobów tych, którzy są najniżej w strukturze, względem tych, którzy są wyżej. Problem w tym, że dochody osób z dołu struktury zaczynają przewyższać poziom zasobów klasy średniej.

Farmaceutka z jednym dzieckiem ma gorzej niż osoba zatrudniona do sprzątania jej apteki z dwójką lub trójką dzieci?

TS: Zabrzmi to jak epatowanie skrajnościami, ale to prawda. Niech to będzie np. mała apteka, która przegrywa w starciu z nieszczelnymi przepisami dotyczącymi dystrybucji leków, globalnym biznesem farmaceutycznym, i w praktyce nic nie zarabia.

AK: Ten sam problem ma pracownik socjalny, asystent rodziny, doradca zawodowy względem swojego klienta, który dzięki 500 plus ma wyższe dochody od niego. O tym, że pracownicy socjalni są sfrustrowani, badacze systemu pomocy społecznej wiedzą od dłuższego czasu. Podobny kłopot może mieć policjant z wyższym wykształceniem, zderzający się z osobami, które mieszkają w nadzorowanej przez niego dzielnicy. Pracownicy administracji, instytucji publicznych i samorządowych stykający się ze swoimi klientami. Naukowcy po doktoratach, którzy powszechnie porównują swoje zarobki z pensjami kasjerów w supermarketach. Dodajmy osoby na umowach śmieciowych – wykonujące wolne zawody. O tym możemy dowiedzieć się z różnych badań: nic tak nie frustruje jak niskie pensje.

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

TS: Zaznaczmy, że nas jako badaczy nierówności społecznych nie interesuje spór polityczny, interesuje nas jakość życia wszystkich grup. Przyglądamy się skutkom reform dla różnych kategorii społecznych i ich poczucia dobrostanu. Faktem jest, że 500 plus nie jest narzędziem dla wszystkich i trudno mówić o stymulowaniu poprawy jakości życia średnio- i wielkomiejskiej klasy średniej.

Klasa średnia w przeciwieństwie do ludowej może więc odczuwać niezadowolenie, a nawet frustrację z powodu tego programu?

AK: Progres ekonomiczny, biorąc pod uwagę okoliczności realizacji 500 plus, nie jest w przypadku klasy średniej odczuwany tak wyraźnie.

Hanna Szymborska, ekonomistka z The Open University, wieszczy kolejny światowy kryzys gospodarczy, a przy okazji pokazuje, jak po poprzednim kryzysie zaczęły znów rosnąć dochody najbogatszych i jak dochody osób ulokowanych pośrodku struktury stoją w miejscu. Pokazuje też, że państwo może być skutecznym inwestorem. Warunkiem jest jednak dostrzeganie nie tylko głodu u najuboższych, co jest oczywiście problemem wymagającym reakcji i skutecznego wsparcia, ale też niezwykle dolegliwego „głodu zmian". Np. tych w zakresie zdolności dostępu do wysokiej jakości usług społecznych, których pragnie klasa średnia, zadłużająca się, aby zaspokajać swoje potrzeby.

TS: Polska klasa średnia wpada w tę samą pułapkę, w którą wpadają wszystkie klasy średnie: w Stanach, we Francji, w Niemczech czy nawet w Skandynawii. Ich pensje najzwyczajniej w świecie nie rosną proporcjonalnie do ich aspiracji i do niezbędnych wydatków, w tym wydatków na usługi społeczne. Rosną za to zarobki najbogatszych. A teraz połączmy ten fakt z transferami społecznymi w Polsce, które są kierowane przede wszystkim do klasy ludowej. Klasa średnia czuje, że ponosi koszty tego rodzaju transferów, w zamian nie otrzymując nic. Na jej sytuację mogą wpłynąć wyższe pensje i dostępność powszechnych usług wysokiej jakości, a nie transfer 500 zł na pierwsze dziecko.

Mówią Panowie o aspiracjach, które mają ludzie wykształceni, ambitni, pracujący. Dlaczego jest im w Polsce źle?

AK: Klasa średnia ma świadomość roli edukacji, konieczności uzupełniania wykształcenia, profilaktyki zdrowotnej, opieki nad osobami zależnymi, roli kontaktu z kulturą. To ludzie, którzy chcą piąć się po drabinie awansu ekonomicznego i prestiżu, którzy dążą do tego, aby swoje wysiłki przekładać na jakiś poziom bezpieczeństwa socjalnego. A tak się często nie dzieje.

TS: Przynależność klasowa to bardziej autodefinicja miejsca w strukturze społecznej, np. ze względu na wykształcenie i posiadane kwalifikacje. To subiektywne poczucie miejsca, na które ktoś sam zapracował, oraz aspiracje i potrzeby, które z tego wynikają. Otóż klasa średnia nie może prowadzić takiego stylu życia, do jakiego aspiruje. Nie ma możliwości finansowych, doświadcza braku bezpieczeństwa i poczucia niesprawiedliwości.

AK: Ubolewamy nad stosunkiem Polaków do kultury. Tymczasem klasa średnia ma świadomość i przede wszystkim potrzebę korzystania z niej. To ludzie aspirujący do postrzegania siebie w społeczeństwie nie jako elity finansowej, ale czują już odrębność od klasy ludowej – z której pewnie w części się wywodzą. Oni walczyli o awans społeczny, o coś więcej niż jakość życia ich rodziców. I mają zdolność sięgania w swych porównaniach dalej. Jak mi się żyje? Na co mogę liczyć? Co dostaję, jeśli chodzi o moje wynagrodzenie? Jakie są moje możliwości? Jaki styl życia jest mi dziś dostępny? Patrzę na tych, którzy są niżej w strukturze społecznej w naszym kraju, oraz na to, ile zarabiają ludzie mający podobną i niższą pozycję w strukturze...

TS: ...a mieszkają np. w Niemczech.

Albo ile zarabiają Polacy o niższym statusie mieszkający w innych krajach?

TS: Powinniśmy w końcu pomyśleć o reprezentantach klasy średniej, która jest tutaj i mówi: „Chcę tu zostać". Trudno jednak być klasą średnią i nie porównywać się z odpowiednikami z Zachodu. Polscy uczeni, modelowi reprezentanci klasy średniej, muszą uczestniczyć w globalnym naukowym wyścigu szczurów, polegającym na wyjeżdżaniu na te same konferencje i publikowaniu w tych samych wydawnictwach, w których publikują koledzy z Niemiec czy Szwajcarii. Tylko polscy uczeni ponoszą relatywnie wyższe koszty niż ich koledzy z Zachodu. W swoich analizach wprowadzamy pojęcie „układu odniesienia statusowego".

TOMASZ SZLENDAK

Powinniśmy w końcu pomyśleć o reprezentantach klasy średniej, która mówi: „Chcę tu zostać". Trudno jednak być klasą średnią i nie porównywać się z odpowiednikami z Zachodu.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

TOMASZ SZLENDAK jest dyrektorem Instytutu Socjologii na UMK w Toruniu i przewodniczącym Rady Naukowej Biblioteki Elbląskiej. Zajmuje się socjologią konsumpcji oraz bada przemiany obyczajów.

AK: Każdy z nas taki układ sobie konstruuje. Są w nim zarówno ludzie z naszej ulicy o różnym statusie, jak i nasi znajomi, którzy wyjechali do pracy za granicę. Reprezentantów naszego układu porównawczego dostarczają media, pokazując, ile zarabia się w innych krajach na podobnych stanowiskach, i wyjazdy zagraniczne, gdzie mamy kontakt z jakością życia ludzi o podobnym statusie.

TS: Wszystkie te porównania wypadają na niekorzyść pozycji społecznej i ekonomicznej reprezentanta klasy średniej w Polsce. Zarabia mniej niż tutejszy kierowca czy pracownik budowlany, a także mniej od naukowca czy grafika komputerowego w Niemczech.

AK: Reprezentant klasy średniej może się czuć źle, myśląc o inwestycjach, których dokonał, by wykonywać swój zawód. Musiał skończyć studia, a do tego te inwestycje przekłada na dzieci, ponieważ inwestuje w ich edukację, co niekoniecznie dotyczy klasy ludowej.

500 plus nie zachęci przedstawiciela tej klasy do posiadania dziecka?

AK: Klasa średnia ma świadomość, co oznacza posiadanie dziecka: jakim jest to wyzwaniem, jak to wpływa na karierę, jakiego rodzaju odpowiedzialności finansowej wymaga, jeśli chce synowi czy córce umożliwić sprostanie konkurencji. Można mieć świadomość, jakie kryteria trzeba spełnić, aby przejść selekcję i mieć dostęp do nagród, które wiążą się z prestiżowymi rolami w społeczeństwie, ale nie mieć możliwości zagwarantowania dzieciom sprostania tym oczekiwaniom. To się wyraźnie przekłada na decyzje o kolejnych dzieciach.

Sensowne byłoby tu rozważenie modelu francuskiego czy skandynawskiego. Kobiety pracujące w tych państwach mają więcej dzieci od kobiet niepracujących, ale tego się u nas nie bierze pod uwagę. Jesteśmy dalecy od tego, aby mówić, w których klasach społecznych powinny pojawiać się kolejne dzieci, ale jesteśmy pewni, że państwu powinno zależeć też na tym, by dzietność wzrastała w środku struktury społecznej.

TS: Sądzimy, że nierówności społeczne w Polsce są wysokie – tu bardziej wiarygodne wydają się nam dane GUS, a nie Eurostatu – i stanowią istotny problem naszej codzienności. Trzeba jednak koniecznie pamiętać o tym, że nierówności to nie jest problem odczuwany wyłącznie przez niższe warstwy struktury społecznej. Nie jest tak, że tylko klasa ludowa jest poszkodowana i tylko ona widzi szklany sufit. Klasa średnia widzi szklany sufit i szklaną podłogę. Ci nad nią mają o niebo od niej lepiej, nie płacąc podatków w Polsce, a ci z dołu często mają lepiej, nie ponosząc tylu wyrzeczeń i korzystając ze wsparcia państwa. Sufit i podłoga są niestety nie do przebicia.

Dlaczego zatem klasa średnia milczy?

TS: Wcale nie milczy, ostatnio wręcz zaczyna krzyczeć. Po prostu nieprecyzyjnie identyfikuje przyczyny swoich problemów. Nie zawsze jedynym ich źródłem jest niska pensja.

Do tego na reprezentantów klasy średniej nakłada się coraz to nowe obowiązki, po coraz to nowszych zmianach reguł działania systemu.

AK: To w tej właśnie kategorii społecznej rozpowszechnia się depresja, coraz częściej diagnozuje się i leczy nerwice lękowe. Klasa średnia zapija stresy „klasośrednim" kraftowym piwem lub włoskim winem, by choć w taki, konsumpcyjno-aspiracyjny sposób poczuć się na swojej pozycji. Spójrzmy też na reklamy, które są do niej adresowane. Jedna z marek motoryzacyjnych reklamuje nowy model samochodu, epatując hasłami wolności, zdobywania, odkrywania. Obrazy emanują przestrzenią, „oddechem", wyzwaniami, pełnią i radością życia. Tymczasem potencjalny klient tej marki w Polsce doświadcza raczej bezdechu, czuje się uwięziony i przytłoczony codziennością, a zamiast łowcy wrażeń jest zwierzyną z odczuciem, że ktoś na nią poluje...

Są na to wymierne dowody?

TS: Możemy to prześledzić, np. na poziomie wzrostu sprzedaży leków związanych z depresją, nerwicami i innymi zaburzeniami psychicznymi. Dostrzegamy też różne sposoby samodzielnego, na poziomie mikro, rozwiązywania problemów biorących się z poziomu makro. Bo co robi klasa średnia, próbując zaleczyć frustrację wynikającą z bezustannych porównań? Dyscyplinuje się, biega na potęgę, pakuje rozmaite apki do smartfonów po to, by kontrolować swój sen i stres.

AK: Przykład z brzegu: popularność *mindfulness* i aplikacje służące do codziennego uspokajania się, relaksowania. Liczba magazynów, które pokazują, jak znaleźć spokój w pędzącym i często niesprawiedliwym świecie, rośnie jak na drożdżach i dobrze się sprzedaje. Tam szukamy nadziei na ukojenie doświadczanych problemów.

To działa?

TS: Rozwój rozmaitych mikronarzędzi służących uspokajaniu się z pewnością działa bardzo dobrze na kieszeń producentów tych narzędzi. Socjologowie jak mantrę powtarzają, że nie ma mikrorozwiązań dla makroproblemów. Pozostawiona sama sobie klasa średnia jeszcze nie rozumie, że na poziomie smartfonowych apek czy wizyt u psychoterapeutów nie rozwiąże dotykających ją makroproblemów w postaci rosnącej nierówności, wzrostu zysków finansowych elit, wypłukiwania sensownej pracy z rynków, nasilania się wyścigu szczurów i nie-do-końca-udanych sposobów na redystrybucję podatków.

ARKADIUSZ KARWACKI

Klasa średnia ma świadomość, jakim wyzwaniem jest posiadanie dziecka: jak to wpływa na karierę, jakiej odpowiedzialności finansowej wymaga. To się przekłada na decyzje o dzieciach.

ANDRZEJ ROMAŃSKI / UMK W TORUNIU

ARKADIUSZ KARWACKI jest kierownikiem Zakładu Badania Jakości Życia w Instytucie Socjologii UMK w Toruniu, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej, przewodniczącym Rady Centrum Badania Opinii Społecznej.

Wszyscy mówią: ach ta biedna klasa ludowa! Trzeba jej koniecznie dodać w warunkach rosnącej nierówności społecznej, bo to u niej przecież pojawiają się problemy społeczne, które są efektem tej nierówności – np. kiepskie zdrowie, przestępczość, gorsze wykształcenie. Ale nikt nie patrzy na problemy reprezentantów klasy średniej.

Co się stanie z klasą średnią w Polsce w niedalekiej przyszłości?

TS: Wszystkie te kwestie, o których opowiadamy, niekoniecznie są przez klasę średnią ze sobą łączone. Co innego system podatkowy, który coraz brutalniej gniecie, co innego 500 plus i co innego brak usług społecznych, do którego klasa średnia się przyzwyczaiła. To normalne, że zęby leczymy za prywatne pieniądze. To normalne, że wymuszane przez kształt systemu edukacyjnego korepetycje z języków dla dzieci kosztują. To są rzeczy przezroczyste. My je wiążemy ze sobą, próbując pokazać, że w ich splocie może się pojawić zarzewie buntu. A wrze już choćby we Francji, gdzie klasa średnia zaczęła drgać w momencie i z powodów nieprzewidzianych przez poprzednich, i nierozumianych przez dzisiejszych rządzących.

AK: Zwróćmy uwagę, że na rynek pracy wkraczają ludzie już z inną orientacją. Że domagają się szacunku, poczucia godności i pewnych reguł nie są w stanie zaakceptować. To problem ponadnarodowy. Klaus Schwab w książce „Czwarta rewolucja przemysłowa" stawia przywoływaną już przez nas tezę, że klasa średnia nie ma dziś szans na styl życia tradycyjnie jej przypisywany. Pisze, że gospodarka rynkowa, w której zwycięzca bierze wszystko, a w której klasa średnia nie może się zrealizować, to choroba demokracji, złożone wyzwanie społeczne, a brak odpowiedzi ze strony polityków może przynieść niekontrolowane skutki.

Nasi politycy zdają się uważać, że klasa średnia to ta, która sama sobie poradzi.

TS: W dzisiejszych uwarunkowaniach systemowych na pewno sobie nie poradzi. Chociaż najczęściej nadal tak się w Polsce myśli. Klasę średnią coraz liczniej zasilają już jednak ludzie, którzy wcale nie chcą sobie sami radzić, tylko życzą sobie czegoś od państwa, które – jak dotąd – zajmuje się tylko wyciskaniem z niej soków. Wystarczy byle zapalnik, byle podwyżka cen, jak we Francji, byle niedopilnowany akt prawny, by wybuchł konflikt, jak mawiają socjologowie: o charakterze nierealistycznym – przypadkowe wyładowanie frustracji.

Partie rządzące na przestrzeni lat nie identyfikują tu dla siebie wyzwania – jedna strona polskiego sporu uznaje, że to ich naturalni wyborcy i nie trzeba dla nich nic specjalnego robić, druga zaś strona identyfikuje się z reprezentantami innych segmentów struktury. Żadna więc partia, żadna siła polityczna do tej pory nie stworzyła niczego dla klasy średniej. Od roku 1989 była ona traktowana jak dojna krowa, która sama ma się napędzać własnymi aspiracjami awansowymi i konsumpcyjnymi. Niechże w końcu rządzący się nad tym zastanowią. Być może przyszedł czas, by dopieścić akurat ten fragment struktury społecznej, zamiast dokładać mu ciężarów.

© Rozmawiała PAULINA BŁASZKIEWICZ

KRZYSZTOF KAROLCZYK / AGENCJA GAZETA

Ulotny hegemon III RP

PAWEŁ ŚPIEWAK

Czy klasa średnia ma przyszłość? Odpowiedź na to pytanie dotyczy niemal trzech czwartych Polaków.

Klasa średnia jest nadzieją. Naszym celem jest Zachód – pisał przed laty prof. Henryk Domański – a mitycznego Zachodu nie da się, przynajmniej zdaniem wielu socjologów, wyobrazić sobie bez tej warstwy. Już w 1989 r. Jacek Kurczewski witał przemiany ustrojowe esejem o tym, czym jest i czym może się stać klasa średnia. Tłumaczył, że Solidarność, ruch wielce zróżnicowany społecznie, wyrażała i reprezentowała nową klasę średnią, stworzoną w czasach realnego socjalizmu: ludzi, którzy zdobyli wykształcenie, kwalifikacje, mieli silne poczucie wartości, a co najważniejsze – posiadali aspiracje do zajmowania właściwych ich planom i wykształceniu miejsc w strukturze społecznej. Tamta klasa średnia napotykała stały opór nomenklatury partyjnej i została zepchnięta na drugorzędne pozycje, zderzając się z czymś, co można nazwać szklanym sufitem. Innymi słowy: klasa średnia była u kresu PRL jakoś ukształtowana i wystąpiła jako warstwa, która wybrała otwarty bunt. W przyszłości jednak, pisał Kurczewski, miała łagodzić i skutecznie realizować nasze aspiracje demokratyczne oraz modernizacyjne i odegrać tę samą rolę, jaką pełniła i pełni w rozwiniętych społeczeństwach kapitalistycznych.

Rozważania o klasie średniej mają więc przede wszystkim charakter projektujący. Nawet jeśli nie potrafimy wskazać, kto się na nią składa, wedle jakiego kryterium da się ją wyodrębnić, wiemy, do czego jest nam potrzebna i jak będzie istotna: przede wszystkim do realizacji liberalnych postulatów. Najważniejsze z nich to stabilizacja ładu politycznego i tłumienie konfliktów. Klasa średnia zwiększa efektywność gospodarczą poprzez typ zawodów, jaki uprawia, i szczególny etos pracy. Jest wreszcie (czy bywa) grupą, która kształtuje nowy typ czy model człowieka epoki kapitalizmu.

69 procent średniaków

Jak myśleć o klasie średniej w Polsce w czwartym roku rządów PiS? Co ją wyróżnia i stanowi o jej istnieniu? Wiele o tym pisano, zwykle dochodząc do całkiem różnych wniosków. Niektórzy badacze stawiali tezę, że stanowi ją nasza klasa przedsiębiorców, nie jest jednak jasne, dlaczego ta wielce zróżnicowana grupa miałaby tworzyć stan średni. Warto więc sięgnąć po inne kryteria.

Prawie trzy czwarte Polaków (dokładnie: 69 proc.) uważa, że należy do klasy średniej. Autoidentyfikacja jest czymś ważnym dla ludzi. Wskazuje na ich ambicje i pragnienia. Chcą żyć tak jak reszta. W pewnym komforcie i spokoju. Może to oni mają rację, biorąc pod uwagę ich style życia, aspiracje, nieco lepszy stan posiadania? Idąc ulicami Warszawy, Gdańska czy Puław miewam to samo wrażenie. Wszyscy nieźle czy może jako tako ubrani, jeż-

dżą w miarę nowymi samochodami, mają zadbane i przyzwoicie wyposażone mieszkania czy domy. Skrajnej nędzy nie widzę, chyba że ktoś mnie zaprowadzi na sąsiednią ulicę i poprosi, bym zasiadł między miłymi miłośnikami wszelkich tanich alkoholi. W znanych mi wsiach jest tak samo. Są stali klienci sklepów z piwem, ale większość rolników żyje tak, jak mieszkańcy miast, całkiem zręcznie dając sobie w życiu radę.

W takim pejzażu wydaje się, że projekt społeczny opisany przez Kurczewskiego już się spełnił. Tym bardziej że – jak wynika z różnych badań – Polacy wcale nie są tak podzieleni, jak się to przedstawia, i na ogół mają podobne poglądy społeczne na ważne kwestie, jak opiekuńcza i silna rola państwa, stosunek do własności prywatnej, ograniczanie podstawowych wolności obywatelskich, aspiracje Kościoła katolickiego.

Wielu socjologów (np. Maciej Gdula) łączy klasę średnią z szybko rozwijającą się grupą pracujących w różnego rodzaju usługach, administracji, edukacji. Przynależą podobno do tej grupy pielęgniarki, nauczyciele, ale też wyżsi i niżsi urzędnicy administracji, osoby pracujące dla sektora finansów, jak również lekarze, prawnicy, adwokaci itd. Ci, którzy w dużej mierze dawniej zaliczani byli do warstwy inteligencji. Grupa ta obejmuje jedną czwartą zatrudnionych. Ma wyższy prestiż, stabilne dochody, a ich pozycja oraz status rosną, gdy jednocześnie maleje udział w podziale pracy rolników i robotników.

W sieci powiązań

Inni chcą widzieć klasę średnią poprzez styl życia. Wymienia się tu indywidualizm, poleganie na sobie, zamiłowanie do porządku (punktualność, dyscyplina połączona z poświęceniem i planowaniem przyszłości), pracowitość, wysokie aspiracje i pragnienie awansu, gotowość inwestowania w siebie. Dodaje się kilka słów o merytokracji. Klasa średnia liczy na to, że o pozycji będzie decydowała wiedza, kompetencje, choć zarazem wie, że znalezienie nowej pracy w dwóch na trzy przypadkach zależy od znajomości i rzadko kiedy zdobywa się dobry etat ot tak, na wolnym i otwartym rynku.

Co ważne: klasa średnia nie ma szczególnych zainteresowań intelektualnych. Skończył się na dobre i na złe snobizm na czytanie dobrych książek. Zresztą na lektury brakuje skupienia i czasu. Przedstawiciele klasy średniej zawsze się spieszą i zawsze nie nadążają. Bywają bardzo zmęczeni, co często leczą wieczornym popijaniem wina i whisky. Alkoholizm, choć ukrywany, jest w tej grupie dość rozpowszechniony.

Za to socjologowie doceniają nowe trendy w stylach życia. Pisze się chętnie o modzie na bieganie i wyprawy rowerowe. Cykliści to już spore lobby, ważne w wyborach samorządowych. Liczy się także zdrowe i modne jedzenie. Powstają kooperatywy żywnościowe i sklepy z lepszą żywnością. Rynek otwiera się na tę grupę.

Mamy dość dowodów na to, że klasa średnia dysponuje większym kapitałem społecznym niż osoby z innych warstw. Zna więcej ludzi, prowadzi bogatsze życie towarzyskie, łatwiej jej znaleźć osoby chętne do pomocy w trudnych sytuacjach życiowych. Ta sieć towarzyskich kontaktów jest przekazywana dzieciom.

Klasę średnią wyróżnia też kapitał edukacyjny. Jej dzieci kończą lepsze szkoły (często prywatne), studiują na ważnych uczelniach. Wyższy jest też wskaźnik udziału w wyborach. W sumie oznacza to, że klasa ta ma silne tendencje reprodukcyjne. Dziecko z tej warstwy będzie miało zapewne zbliżoną lub wyższą pozycję niż rodzice.

Można oczywiście powiedzieć, że są to czynniki budujące mocne bariery społeczne. Wejście do tej grupy nie jest proste i nie jest łatwo (finansowo czy obyczajowo) sprostać jej wymaganiom.

Ważne okazuje się kryterium dochodowe, które określa wysokość zarobków. Zwykle próg startowy dla klasy średniej wynosić mają zarobki jednego z dorosłych członków rodziny powyżej 8 tys. zł netto. Jeśli jednak tak będziemy wyznaczać ową klasę, obejmie ona mniej niż jedną czwartą pracujących Polaków (ponad 3 mln osób, licząc z rodzinami). Zdajemy sobie sprawę, że granica ta nie jest ostra. Inna siła nabywcza owych 8 tys. zł jest w Warszawie, inna w Sanoku czy w Tczewie. Wiemy też, że pozycję majątkową wyznacza wartość zgromadzonego majątku. W moim starym domu mieszkania kupują ludzie wprost przeniesieni z małych wsi do miasta. Z dnia na dzień sprzedali ziemię i dobrze na tym zarobili.

Jednak zarobki same w sobie, liczone bezwzględnie, nie są mocnym wskaźnikiem położenia klasowego. Powiada się czasem, że do klasy średniej należą ci, którzy mogą po zapłaceniu kosztów mieszkania i jedzenia zostawić do swojej dyspozycji na wybrane cele nie mniej niż jedną trzecią dochodów. To pozwala im nie tylko kupować nowe auta i nowe urządzenia AGD, ale zadbać o zdrowie i zapłacić za wykształcenie dzieci.

Samoobrona

Klasa średnia ma łagodzić i chronić procesy demokratyczne (większość Polaków, jak wiemy, jest przywiązana do etosu wolnościowego i demokratycznego). Jej energia jest – jak uważa wiele osób – niezbędna kapitalizmowi. Daje mu moralne uzasadnienie i czyni czymś oczywistym i bezalternatywnym. Jej etos najbliższy jest etosowi mieszczańskiemu, jak opisywali to badacze od Marii Ossowskiej do Deirdre N. McCloskey. Nacisk kładzie się tu na rozwój będący efektem nie tyle nowych technologii, ekspansji wolnego rynku, co idei moralnych. W socjologii ↦

POŻEGNANIE

Ś. † P.

Helena ze Swieżawskich Deskur

urodzona 22 X 1934 roku we Lwowie
zmarła 3 IV 2019 w Krakowie

Msza św. żałobna zostanie odprawiona w Czorsztynie
w kościele Matki Bożej Fatimskiej
w poniedziałek 15 kwietnia 2019 roku o godzinie 13.00.
Po mszy św. nastąpi złożenie prochów na miejscowym cmentarzu.

O czym z wielkim żalem zawiadamiają

Dzieci, Wnuki, Prawnuki i Rodzina

Prosimy o modlitwę.

mówi się ostatnio, że istnieje szczególny habitus, obyczaj tej grupy. Jego elementami są m.in. przedsiębiorczość, gotowość inwestowania w siebie samego, zdolność do podejmowania ryzyka, wysoki poziom asertywności, docenienie sukcesu finansowego, zdolność racjonalnego myślenia. Nie ma tu miejsca na bierność i użalanie się nad sobą.

Taki etos ma powodzenie: można wręcz twierdzić, że ostatnie dekady przyznają warstwie średniej pozycję hegemoniczną. To jest model życia będący punktem odniesienia dla większości obywateli. Do klasy średniej aspiruje większość z nas i w miarę jak się rozszerza ten styl bycia, zaczyna wyznaczać logikę zbiorowego postępowania.

Owszem, może i klasa średnia czasem pełni zasadniczą rolę w stanowieniu i stabilizacji demokracji. W innych sytuacjach jednak, gdy znajduje się w zagrożeniu, zmienia się w groźny tłum anonimowych i radykalnych mieszczan. Hannah Arendt pisała o klasie średniej w kontekście zbrodni hitlerowskich. Uważała, że jest gotowa uczynić wszystko, co od niej żądano, byle tylko zabezpieczyć byt rodziny, rentę czy polisę ubezpieczeniową. Harold Lasswell w 1933 r. dowodził, że hitleryzm opiera się na klasie średniej, zagrożonej zarówno przez marksistowskie partie, jak i kapitalistyczną koncentrację kapitału. Wielki klasyk socjologii Seymour Martin Lipset doszedł do wniosku, że ustroje faszystowskie, antydemokratyczne i antyliberalne były skutkiem polityki centrowych i średnioburżuazyjnych partii. Dzisiaj używamy innych pojęć, ale rozumiemy dobrze zdanie tego wybitnego amerykańskiego socjologa nazywające faszyzm ekstremistycznym kierunkiem centrum.

Oczywiście ważne jest nie tylko wskazanie na rewolucyjne pragnienia tej warstwy, ale cały kontekst społeczny pierwszej połowy XX wieku, z rosnącą rolą robotników i wielkich kapitalistów. Zawsze chodziło o jedno, o przywrócenie klasie średniej poczucia bezpieczeństwa ekonomicznego i oczekiwanej przez nią znaczącej pozycji społecznej.

> Klasa średnia nie buntuje się przeciwko demokracji, ale przeciwko kiepskim rządom i **poczuciu ekonomicznego niezaspokojenia** już tak.

Dobrym przykładem w polskim kontekście była Samoobrona, kierowana przez realną polską klasę średnią, która nieźle się dorobiła na początku transformacji, a potem przegrywała z bardziej nowoczesnymi warstwami reprezentującymi kapitalizm zglobalizowany. Dziś z kolei we Francji obserwujemy żywiołowy i gwałtowny bunt „żółtych kamizelek" – populistyczny protest klasy średniej przeciw elitom władzy. Klasa średnia nie zawsze jest przeciw demokracji, ale często przeciw kiepskiej polityce rządów i ekonomicznej deprywacji. Czy protestów w USA i innych krajach (Occupy Wall Street i podobne ruchy) nie wywołali jej młodsi przedstawiciele?

Bez reprezentacji

Polityczna tożsamość polskiej klasy średniej jest mocno podzielona. Nie da się utrzymać tezy, że wyborcy PO to ludzie bogatsi, lepiej wykształceni, a PiS zagospodarowuje niższe klasy społeczne. Najbliższa klasie średniej chciała być PO w pierwszych latach swoich rządów. Sprzyjała temu jej bezideowość (trudno było powiedzieć, co stanowi program tej partii), pewien optymizm, więcej niż werbalna obrona orientacji proeuropejskiej i kanonu idei wolnościowych, które wiążą państwa UE. Gdy jechaliśmy wtedy za granicę, czuliśmy dumę, że zamieszkujemy nowoczesny, w miarę zamożny, otwarty kraj, że stajemy się „normalnym" społeczeństwem, bliskim już innym narodowym wspólnotom.

Wydawałoby się, że PiS ze swoją nieufnością dla przedsiębiorców, etycznym tradycjonalizmem, eurosceptycyzmem, wrogością wobec obcych, etatyzmem powinien być partią niechętną klasie średniej. Nic z tego: proszę zwrócić uwagę, jak funkcjonuje program 500 Plus. Mechanizm redystrybucyjny pozostawia rodzinom decyzje, jak mają owe pieniądze wydawać. Podtrzymuje w ten sposób reguły indywidualistyczne. To od racjonalności poszczególnych rodzin zależy, jak te pieniądze są inwestowane. Reforma szkolna z kolei jest wręcz otwarcie antyspołeczna i skierowana przeciw niższym warstwom. Skraca się czas edukacji – ewenement na skalę światową – likwiduje gimnazja, które w dłuższej perspektywie służyły wyrównaniu nierówności edukacyjnych i dawały większe szanse na studia osobom z mniejszych ośrodków. Również reforma szkół wyższych sprzyja większym i prestiżowym uczelniom, osłabiając ośrodki skromniejsze.

Przeniesienie sympatii na PiS w 2015 r. daje się w dużej mierze tłumaczyć rozbudzonymi oczekiwaniami i odczuwanym dość głęboko rozczarowaniem. Polska nie okazała się, jak chciała propaganda tamtej epoki, zieloną wyspą. Jej gospodarka pozostała peryferyjna i mało innowacyjna. Liberalny, jak na owe czasy, model życia społecznego w sposób oczywisty sprzyjał elitom finansowym. Lęk budził brak perspektyw młodych. Państwo wycofywało się z wielu zobowiązań, a było mało skuteczne. Szanse awansu społecznego malały. Wiedział o tym premier Tusk i jego doradcy, tyle że nic z tym nie zrobił. PiS odpowiadał wtedy na realne problemy społeczne – i niewiele się w tej mierze zmienia. Opozycja niegdyś tzw. liberalna ma tu niewiele lub zgoła nic do zaproponowania.

Czy klasa średnia ma przyszłość? Wszystkie dane z krajów zachodnich wskazują na zanik lub marginalizację tej grupy. Powiada się, że rosną nierówności, co oznacza polaryzację struktury społecznej oraz osłabienie pozycji politycznej i majątkowej tej klasy. Trzeba coraz dłużej pracować, coraz większym kosztem, by utrzymać się na powierzchni.

Czy mamy do czynienia z tym samym trendem w Polsce? Chyba tak. Jesteśmy krajem o największym stopniu rozwarstwienia w Europie. Nie ma więc powodu uważać, że klasa średnia, nawet po ewentualnym przejęciu władzy przez PO czy tworzoną przezeń koalicję, poczuje się bezpieczna i znajdzie pewniejszą przyszłość.

© PAWEŁ ŚPIEWAK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ opowie o Rohingach zbiegłych z Birmy (s. 52) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w środę 10 kwietnia o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

„TP" 14 / 2019

Szkoła przetrwania

Ubiegłotygodniowy blok materiałów na temat kondycji zawodu nauczyciela wywołał falę komentarzy na facebookowym profilu „TP". Oto wybrane głosy:

ANIA RZ: Wczoraj wychowawczyni mojej córki powiedziała na wywiadówce, że od trzech lat żaden nowy nauczyciel nie zechciał zasilić grona pedagogicznego. Powód? Pensja brutto 1700 zł. W moim powiecie brakuje ponad 120 nauczycieli. Za kilka lat nie będzie komu uczyć naszych dzieci.

MICHAŁ NIEWIŃSKI: Pracując jako nauczyciel dyplomowany, specjalista z dodatkiem motywacyjnym w jednej z lepszych szkół w Polsce mam 2900 zł na rękę. Zero możliwości korepetycji, zero nadgodzin, 22 godziny podstawowego dyżuru, szkolenia na własną rękę i z własnej kieszeni. Trzynaście lat w pracy. Tysiąc uczniów do opieki.

MARIANNA KOTUNIAK: A czy ktoś wie, ile zarabia przedszkolanka albo pani w żłobku? Ta pensja to ma dopiero siłę nabywczą... Te panie to dopiero są sfrustrowane.

KATARZYNA URBAN: Wszystkich krytykujących nauczycieli umieścić w klasie na 45 minut. Jeśli dzieci przeżyją, pozostawić na pięć lekcji plus trzy dyżury: boisko, przed szkołą i korytarz na długiej przerwie.

KATARZYNA KRAKOWIAK: Nie chcę przywilejów. Wakacje są dla mnie za długie, nudzę się bez pracy przez dwa miesiące. Za to bardzo chciałabym wziąć urlop w październiku albo w kwietniu, kiedy wyjazdy są tańsze, bo na te wakacyjne mnie nie stać. Chciałabym móc pojechać na pogrzeb koleżanki, a nie mogę, bo nie mam urlopu, a jeśli chcę koniecznie, to bezpłatny. Chcę pracować tylko 40 godzin i w domu mieć święty spokój.

MAGDALENA LESKA: Przeklinam system oceniający ucznia. Testowanie, sprawdzanie, które rzadko odzwierciedla umiejętności dziecka. Nie widzę potrzeby zaopatrywania każdego ucznia w podręcznik. Nie cierpię przerw, które przypominają wybieg. Dzieci nie mają gdzie się podziać. Szkoła jest ciasna, duszna, męcząca. Staję na głowie, wymyślam zmianę miejsca, tematu, ćwiczeń, by nie zanudzić, nie zniechęcić, zainteresować tematem, problemem, rozwiązaniem. Warunki są tragiczne, urągają ludzkiej godności. Nikogo nie obchodzi, jak się czujemy, gdy umiera nam rodzic, gdy popełnia samobójstwo ojciec, którego jeszcze wczoraj zapewnialiśmy o naszym wsparciu i przekonywaliśmy do innego spojrzenia na swoją sytuację. Nikt nie wie o wydeptanych ścieżkach do urzędów, domów pomocy społecznej, o walkach w sądzie o matkę, dziecko... O zajęciach w domach, gdzie cuchnie stęchlizną, sypie się sufit na głowę i płaczą dzieci w pokoju obok. O kanapkach dla Krzysia, Zosi trzeba pamiętać co dzień. Może spódnica, kurtka mojej córki nada się dla Marysi? Nikt nie wie, że nie przesypiam nocy, bo rozmyślam o tym, co dzieje się w domu moich uczniów.

***

Przemoc w płonącej książce

Palenie dzieł twórców literatury to w rzeczywistości próba unicestwienia słowa drukowanego, a pośrednio akt przemocy wobec autorów tych książek. Akt bardzo niebezpieczny, bo wskazujący winnych tego, że treści takie powstały, zostały wydrukowane i upowszechnione. Nie da się spopielić wszystkich egzemplarzy książki, ale stojący nad paleniskiem mogą dojść do wniosku, że można przecież uniemożliwić powstawanie takich „wytworów zła". A stąd już krótka droga do gwałtu, jakiego doświadczali niektórzy pisarze w ustrojach totalitarnych. Logika przemocy rodzi się w płonącej na stosie książce.

MIROSŁAW SZREDER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Natury prawdy

Pod górą Synaj stanęło 600 tysięcy dusz. Mistycy powiadają, że znalazły się tam wszystkie dusze Izraela, obecne i przyszłe. Jeszcze inni, że dusze żydowskie nie umierają. Odradzają się w kolejnych wcieleniach. Jest ich tyle, ile Hebrajczyków wyszło z Egiptu. Są tacy, co uczą, że dusz jest tyle, ile liter w Torze. Czasem jakaś dusza żydowska znajdzie się w ciele nie-Żyda i szuka miejsca w judaizmie, kierując się ku nawróceniu i powrotowi na religię starotestamentową. Jedno zdaje się w każdym razie pewne dla wielu rabinów: że każdej osobie stojącej u stóp góry odsłonięto jakiś wymiar Tory. Zapewne każdemu nieco inny. Nikt więc ze wspólnoty dusz nie może być wykluczony. Każdy głos powinien być wysłuchany. Pluralizm rozumnych opinii jest faktem i naszym bogactwem. Naturą tej wspólnoty musi być zatem jakiś rodzaj współżycia tych opinii. Można nazwać ową wspólnotę wspólnotą tolerancji – bez niej zaczniemy się siłą nawracać. A to oznacza zawsze przemoc i zgorszenie. Od tej zasady było wiele odstępstw, co zasady samej bynajmniej nie unieważnia i nie obala.

O Mojżeszu wielki Raszi mówił jako o osobie skromnej oraz pokornej. Skromniejszej niż inne osoby – *anaw mikol adam*. Był kimś cierpliwym, dostępnym w kontakcie, prostym wewnętrznie, choć nie prostakiem. On lepiej niż inni wcielał ową zasadę stanowczości – gdy tak nakazywał mu Wiekuisty – i tolerancji, gdy rozmawiał i spotykał się z ludźmi. Jeszcze jedna zasada w tym jest zawarta. Tolerancja jest cechą przynależną (a może wymaganą) ludzkiej naturze. Zgodną z jej powołaniem. Zgodną z wymogami, jakie postawił nam dialog Boga z Izraelem.

Uczył takich zasad brat Maharala, rabin Chaim ben Bezalel. Polemizując z przekonaniem, że „Szulchan Aruch" jest dziełem o niepodważalnym autorytecie (księga, która szeroko udostępnia i porządkuje zasady prawa, spisana w pierwszej połowie XIV w.), pisał: „tak jak Stworzenie i jej siły trwają do dzisiaj, tak też odróżniamy różne oblicza każdej ludzkiej istoty, i wierzymy, że mądrość jest rozdzielona pomiędzy sercami każdej osoby".

Możemy takoż myśleć, że prawda ze swej natury ma bardzo różne oblicza. Nie jest czymś, co ma tylko jeden wyraz, jedno przedstawienie. W tradycji żydowskiej jest mowa m.in. o nieskończonej naturze prawdy. Tora stoi poza poszczególnymi ludzkimi przedstawieniami, wymaga pokory i rozumności, *hesed*, czyli miłości – pisał wybitny rabin Kook. Boska obecność jest tak bogata, tak wielowymiarowa, iż może odziewać się nawet w sprzeczne opinie. Istnieje prawda dynamiczna, co oznacza, że uobecnia się pośród nas, ludzi, w postaci sądu, w którym stają przed sobą sprzeczne opinie. Różne są postaci prawdy, ale możemy być pewni, że wszystkie te opinie, sprzeczne zdania powrócą do jednego źródła, z którego wytrysły, tak iż świat zostanie udoskonalony pod bezpośrednim władztwem Boga. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Posłuszny Jezus

Jezus „mając naturę Boga – pisał Paweł Apostoł do Filipian – nie uznał za stosowne korzystać ze swojej równości z Bogiem, lecz ogołocił siebie samego, przyjmując naturę sługi i stając się podobnym do ludzi. A z zewnętrznego wyglądu uznany za człowieka, uniżył siebie samego, stając się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci na krzyżu".

Podejmując wyzwanie rzucone Mu przez ludzi, zgodził się na męczeńską śmierć, której mógł uniknąć. Nie przez cierpienie przecież, ale przez miłość wybawił nas od złego. Czasami można jeszcze usłyszeć, że to cierpienia, jako zadośćuczynienia, zażądał od Niego Ojciec. Syn musiał umrzeć, czyli złożyć siebie w krwawej ofierze, żeby w ten sposób uśmierzyć gniew Ojca.

Oczywiście taki obraz Boga ma zakorzenienie w Piśmie. Czy jednak nie stoi w sprzeczności np. z tym, co o Bogu powiedział Jezus Nikodemowi? „Tak bardzo bowiem Bóg umiłował świat, że dał swojego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, lecz miał życie wieczne. Bóg przecież nie posłał swego Syna na świat, aby go sądził, lecz aby go zbawił". Dlatego Bóg nie odpłaca nam według miary naszych grzechów, gdyż tam, gdzie jest miłość, trudno mówić o karze, ale przychodzi do człowieka, żeby go ratować, a nie wymuszać posłuch.

Podobnie rzecz się ma z uniżeniem, którego Syn Boży miał doznać, stając się człowiekiem. Znaczenie tego wydarzenia trafnie opisał Anioł Ślązak. Twierdzi on, że Syn Boży, stając się człowiekiem, w niczym nie uszczuplił swojej boskości. Przeciwnie, dołączył do niej człowieczeństwo. Dzięki czemu mógł powiedzieć apostołom: „Już nie nazywam was sługami, bo sługa nie wie, co czyni jego pan. Nazwałem was przyjaciółmi, gdyż dałem wam poznać wszystko, czego dowiedziałem się od Ojca".

Jeśli już trzymać się owego posłuszeństwa, to komu tak naprawdę Jezus je okazał, i to w stopniu najwyższym? Nam, ludziom, a zwłaszcza tym, którzy bezpośrednio brali udział w Jego prześladowaniu i uśmiercaniu. Jednak to wyrządzanie krzywdy Bogu nie ustało wraz ze śmiercią Jezusa, nadal trwa, gdyż od Jezusa wiemy, że złe traktowanie ludzi jest zawsze złym traktowaniem Boga. To myśmy zażądali Jego życia i Jezus nam je oddał. Tym samym potwierdził prawdziwość i charakter swojej więzi z Bogiem i z nami. Pokazał, że nie rzuca słów na wiatr, ale sam robi to, co zaleca innym. Nakazując nam miłość nieprzyjaciół, sam oddaje się w ich, w nasze ręce.

„Byliśmy umarli z powodu grzechu i niezdolni zbliżyć się do Ciebie – czytamy w pierwszej modlitwie eucharystycznej o tajemnicy pojednania – ale Ty dałeś nam najwyższy dowód swego miłosierdzia, gdy Twój Syn, jedyny Sprawiedliwy, wydał się w nasze ręce i pozwolił się przybić do krzyża". Dlatego w niedzielę świętujemy jednocześnie mękę, śmierć i życie Boga-człowieka. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Faryzeusz i celnik

Umysł oddany właściwej praktyce przyjmuje wyobrażenia tego świata, nie ulegając namiętnościom.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Strzeż uwagi.

SENTENCJE DELFICKIE

Wybrał PIOTR SIKORA

Dwóch ludzi przyszło do świątyni, aby się modlić: jeden faryzeusz, a drugi celnik" – w ostatnim tygodniu liturgia Kościoła przypomniała nam tę sławną Jezusową przypowieść (zob. Łk 18, 9-14). Przyszli do świątyni. Kto wie, może nawet weszli do niej razem. Chociaż jednak fizycznie znajdowali się w tym samym miejscu, to jednak w rzeczywistości każdy z nich był gdzie indziej. Nie owijając w bawełnę można by to ująć następująco: faryzeusz był w świątyni, a celnik – przed Bogiem.

Faryzeusz był w świątyni, ale dosłownie: „zwrócony ku sobie samemu (!) modlił się: Boże" (w. 11). To nie musi zapewne oznaczać od razu bezczelnego bałwochwalstwa (choć niektórzy z Ojców Kościoła w taki sposób to interpretowali), w którym człowiek traktuje siebie samego jako „boga"; może jednak z całą pewnością oznaczać tyle, że swoją modlitwę zredukował do rozmowy z sobą samym. Nie była ona dla niego formą dialogu – spotkania – a więc i słuchania Kogoś większego od siebie; raczej próbą zaspokojenia swoich własnych „duchowych" potrzeb (cokolwiek by to miało znaczyć).

Celnik – będąc w świątyni – stał przed Bogiem. Przekonuje o tym nie tylko początek jego modlitwy: „Boże" (faryzeusz tym samym słowem otwiera swoją kwestię: „Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie..."). Celnik mówi: „Boże, bądź łaskawy/miłosierny dla mnie grzesznika" (Łk 18, 13).

Nie sposób nie zauważyć podobieństwa modlitwy celnika do tej, którą wypowiedział Szymon Piotr przy pierwszym spotkaniu z Jezusem, opisanym przez św. Łukasza kilkanaście rozdziałów wcześniej. Kiedy w samo południe, wypłynąwszy – na rozkaz Jezusa – na „głębię" Jeziora Galilejskiego, zobaczył naraz w swoich sieciach (wbrew jakiejkolwiek oczywistości) niewyobrażalną liczbę złowionych ryb – w tym momencie pojął, że Ten, który wszedł do jego łodzi, nie jest jedynie człowiekiem. Do tej pory zwracał się do Niego jako do Nauczyciela (Łk 5, 5). Teraz jednak mówi do Niego: „Panie!", pochylając się przy tym do samej ziemi i obejmując Jego stopy (w. 8).

„Panie" (grec. *Kyrie*) to zwrot zastępujący w Septuagincie Imię Boga. To samo wypowiada Szymonowy gest. Rozpoznając obecność Bożą w Jezusie, co Szymon mówi? Mówi – to, co powróci echem modlitwy celnika – „odejdź ode mnie, bo jestem człowiek grzeszny".

Tak u Szymona, jak i u celnika świadomość bycia w obecności Boga wypowiada się najpierw pokornym uznaniem własnej grzeszności. Znalazłszy się przed Panem po trzykroć Świętym, nie można siebie samego opisać innym słowem jak „grzesznik". To właśnie jest dowodem na to, iż celnik „stoi przed Bogiem", a nie tylko „w świątyni" – autentyczne, nieudawane poczucie własnego grzechu.

W zgodzie z tym, co z częstotliwością refrenu powtarzają ostatni papieże, jednym z najważniejszych przejawów niewiary dzisiejszego człowieka jest zanik poczucia grzechu. Poczucie grzechu przed Bogiem nie jest samobiczowaniem, sadomasochizmem i nie zabija. Przeciwnie: „Ten wrócił do domu usprawiedliwiony, nie tamten". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 IV)

Niedziela Palmowa: Łk 19, 28-40; Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Łk 22, 14 – 23, 56;
Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;
Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;
Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14; Ps 116B; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;
Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12; Ps 31; Hbr 4, 14-16; 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;
Wigilia Paschalna: Rdz 1, 1 – 2, 2; Ps 104; Rdz 22, 1-18; Ps 16; Wj 14, 15 – 15, 1a; Wj 15; Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30; Iz 55, 1-11; Iz 12; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28; Ps 42; Rz 6, 3-11; Ps 118; Łk 24, 1-12;
Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4; J 20, 1-9.

CO Z TYM PREZESEM?

Bitwa o miejsca na listach do europarlamentu, o rekonstrukcję rządu, o pieniądze na „piątkę Kaczyńskiego". A fundamentalna wojna o sukcesję przybrała na brutalności. Czy prezes, osłabiony aferą wieżowcową, jeszcze kontroluje sytuację?

ANDRZEJ STANKIEWICZ

W polityce często sytuację można ocenić nie po wielkich wydarzeniach, sążnistych oświadczeniach czy kolorowych konwencjach – tylko po drobnych z pozoru sprawach, nieznaczących sytuacjach, po detalach.

Zbierzmy parę takich detali z obozu PiS z ostatnich tygodni. Oto bodaj najbardziej lojalny wobec Kaczyńskiego wiceprezes partii Joachim Brudziński w ścisłej tajemnicy ustala z prezesem swe kandydowanie do Parlamentu Europejskiego, czyli niemal pewny wyjazd z kraju. A przecież Brudziński typowany był dotąd do udziału w schedzie po Kaczyńskim – podczas gdy z zagranicy trudno się dziedziczy.

Oto w apogeum afery wieżowcowej prezes Jarosław Kaczyński fatyguje się na nieformalne spotkanie do gabinetu wciąż jednak z jego perspektywy politycznego poddanego, Zbigniewa Ziobry. A przecież to do Kaczyńskiego się przyjeżdża, po telefonie od jego słynnej sekretarki, pani Basi.

Oto zresztą nagle Kancelaria Premiera ujawnia rzutkiemu posłowi opozycji Krzysztofowi Brejzie przeszłość pani Basi, która za PRL była urzędniczką komunistycznego rządu. A przecież wcześniej, miesiącami, tego zrobić nie chciała.

Co więcej – rządowa sondażownia CBOS ni stąd, ni zowąd przeprowadza sondaż, z którego wynika, że suweren jest zły na Kaczyńskiego za jego deweloperski projekt, uwieczniony na taśmach Austriaka. A przecież CBOS nie musiał zrobić takiego badania i – na logikę polityczną – robić nie powinien.

Co z tym PiS? A – nade wszystko – co z tym prezesem?

Pieniądze się skończyły

Jedno jest pewne: pieniądze się skończyły. Gdy Jarosław Kaczyński ogłaszał swą słynną „piątkę" – 500 zł na pierwsze dziecko, dodatkowe pieniądze dla emerytów, ulgi podatkowe i inwestycje w transport – można było zakładać, że tak jak w przypadku wcześniejszych obietnic socjalnych, rząd te pieniądze po prostu ma albo mieć będzie.

Szybko okazało się, że tak nie jest. Z resortu finansów zaczęły płynąć niemal otwarte sygnały zdumienia przemieszanego z paniką. Dymisja minister finansów Teresy Czerwińskiej – która do rządu przyszła ze środowiska naukowego i kojarzona jest z liberalnym gospodarczo skrzydłem gabinetu – bardzo szybko stała się poważnym zagrożeniem.

Okazało się, że Kaczyński – chcąc kupić wyborców, ale także odwrócić uwagę od swych deweloperskich interesów – opracował liczony w dziesiątkach miliardów program w całkowitym oderwaniu od budżetowych możliwości. Ten rok da się jeszcze jakoś zacerować, wszak trzeba mniej pieniędzy, bo Kaczyński zarządził wypłaty od połowy roku. Kłopotem będzie rok przyszły, gdy budżet będzie musiał ponieść dodatkowe wydatki rzędu 40 mld zł – to wzrost o ok. 10 proc., podczas gdy nowych dochodów na horyzoncie nie widać.

Bitwa na soki

Jedno z pierwszych posiedzeń rządu po ogłoszeniu „piątki", trwa dyskusja na ten temat. Milcząca przez wiele dni – autentycznie lub dyplomatycznie chora – Czerwińska prosi o głos. Premier pyta, czy chce, by nagrywanie było włączone, czy też nie. W praktyce rządu brak nagrywania oznacza roboczą, nieformalną dyskusję we własnym gronie. Jest bardziej otwarcie i swojsko. Nagrywanie powoduje sporządzenie stenogramu, co potem może służyć za dowód na to, co kto mówił. A to usztywnia i zmniejsza wzajemne zaufanie.

Czerwińska chce nagrywania. Cały jej wywód to mniej lub bardziej skrywana krytyka „piątki" przetykana ostrzeżeniami przed katastrofą w finansach. Od tego momentu Morawiecki coraz częściej sugeruje, że jest Czerwińską zirytowany, co reszta rządu odbiera jako przyzwolenie do ataków na nią.

Wykazanie, że to, co robi Kaczyński z finansami publicznymi, stoi w całkowitej sprzeczności z przekonaniami Czerwińskiej, nie jest szczególnie trudne. Za rządów Platformy wiceminister finansów Ludwik Kotecki doprowadził do ustalenia dodatkowej kotwicy bezpieczeństwa w finansach publicznych. To tzw. reguła wydatkowa – polega ona pokrótce na uza-

PATRYK SROCZYŃSKI

leżnieniu poziomu wydatków od wskaźników gospodarczych. Czerwińska bardzo ciepło wypowiadała się o tej zasadzie. Wraz z „piątką" prezesa reguła wydatkowa zostanie pogwałcona.

Ale nie o samą „piątkę" i regułę tu chodzi. Tuż po zarządzeniu nowej orgii wydatków, Kaczyński utrącił jeden z flagowych projektów Czerwińskiej – tzw. matrycę VAT. Za tym chłodnym, technokratycznym określeniem kryła się próba uporządkowania podatkowych absurdów, które spotyka na co dzień każdy z nas. Dlaczego pieczywo i produkty ciastkarskie są objęte trzema stawkami: 5 proc., 8 proc. i 23 proc.? Albo dlaczego musztarda (23 proc.) ma inną stawkę niż sos musztardowy (8 proc.)? Czerwińska miała ambicję ujednolicić te stawki.

Poległa na sokach. Podczas sejmowej debaty posłanka PO Dorota Niedziela zastosowała najskuteczniejszy od dawna chwyt – zwróciła się bezpośrednio do Kaczyńskiego, jak do dobrego cara, którego otaczają źli bojarowie. Opowiadając o różnicach w opodatkowaniu soków i nektarów, przekonała go, że matryca Czerwińskiej wykończy polskich sadowników. Car skierował kciuk do dołu.

Oczywiście, można było się spodziewać, że przed kluczowymi dla przyszłości PiS i Kaczyńskiego wyborami parlamentarnymi rząd sypnie groszem, chcąc przekupić wyborców. Ale – powiedzmy to sobie otwarcie – takiej skali rozdawnictwa, i to tak szybko, niemal od ręki, nie spodziewał się nikt. Nie wiedziało o tym wielu ministrów i partyjnych notabli, o szeregowych posłach nie wspominając. Dziś okazuje się, że niewiele wiedziała nawet minister finansów.

Dość powiedzieć, że tuż po triumfalnym ogłoszeniu przez Kaczyńskiego „piątki" wicepremier Jarosław Gowin – ostatni poważny sojusznik Czerwińskiej w rządzie; zaczynała jako wiceminister w jego resorcie – na spotkaniu z przedsiębiorcami kazał im się trzymać za kieszenie i pocieszał, że już w przyszłym roku serial wyborczy się skończy.

Podczas wspomnianej, niedawnej rządowej dyskusji na temat politycznych obietnic rozsadzających budżet ważnym elementem była analiza kroków, jakie Bruksela może podjąć w razie przekroczenia dopuszczalnego prawem UE 3 proc. deficytu. Nawet co bardziej liberalni politycy PiS coraz częściej wyrażają obawy – może przesadzone – czy nie grozi nam „druga ↦

↦ Grecja". Jeśli jednak w greckich analogiach jest choć ziarno prawdy, znaczy to, że Kaczyński praktycznie nie uznaje finansowych ograniczeń przed wyborami.

Pielgrzymka do Ziobry

Tak sowity pakiet socjalny jest także oczywiście ucieczką od afery wieżowcowej, w którą się wplątał. Afera ta dziś nieco już przebrzmiała, przynajmniej w PiS panuje takie, dające ulgę, przekonanie. Sprawa powraca głównie w kolejnych, podobnych do siebie publikacjach „Gazety Wyborczej" i pismach procesowych Romana Giertycha – co nie ma już większego ładunku politycznego. Afera ta wbrew nadziejom przeciwników PiS nie zmiotła tej partii ze sceny politycznej. Ale osłabiła pozycję Kaczyńskiego w obozie władzy.

Prezes stał się w jakiejś mierze zakładnikiem wszechmocnego szefa prokuratorów Zbigniewa Ziobry. To od niego zależy, czy śledztwo w sprawie wieżowca zostanie wszczęte, czy też nie. Nawet jeśli Kaczyński ma na sumieniu niepomiernie mniej, niż pragnęliby jego przeciwnicy, to śledztwo byłoby dla niego niebywale groźne. Oznaczałoby prześwietlanie interesów deweloperskich PiS i wiwisekcję rodziny prezesa, przy czym – nie miejmy złudzeń – wszystkie choćby niejawne dokumenty ze śledztwa natychmiast lądowałyby na czołówkach niechętnych Kaczyńskiemu gazet. Czkawką odbijają się właśnie Kaczyńskiemu polityczne błędy popełnione po wyborach – cały resort sprawiedliwości i prokuraturę oddał w ręce Ziobry i jego ludzi. Nie ma tam ani jednego swojego człowieka. Jest zdany na Ziobrę.

14 lutego dziennik „Fakt" opublikował zdjęcia na pozór trywialne, ale w gruncie rzeczy zastanawiające. Oto dwa dni wcześniej Jarosław Kaczyński wyruszył z Nowogrodzkiej, by odwiedzić Zbigniewa Ziobrę w gmachu jego resortu. Wersja Ziobry o tym, że w apogeum afery wieżowcowej rozmawiali o ustawie antylichwiarskiej, jest obraźliwa dla rozumu.

Trzymanie w szachu samego prezesa umacnia Ziobrę i pozwala mu się szarogęsić. To on jest najtwardszym wyznawcą kursu na starcie z Unią Europejską, głównie w sprawie sądownictwa, choć nie tylko. Gdyby popatrzeć, w jakich obszarach PiS ma dziś problemy w relacjach z UE, to niemal wszystkie one podlegają Ziobrze.

Niedawna rozprawa przed Trybunałem Sprawiedliwości UE w sprawie legalności powołania Krajowej Rady Sądownictwa – to oczywiście obszar wpływów Ziobry. Reprezentujący Ziobrę prokurator Tomasz Szafrański składa wniosek o wyłączenie z rozprawy szefa TSUE, zarzucając mu brak obiektywizmu. Przedstawiciel MSZ jest w szoku. „Takie wnioski raczej nie przyczyniają się do tego, żeby to orzeczenie było korzystne" – mówi.

Efekt? Przewodniczący oczywiście wyłączony nie zostaje, Ziobro zaś tą zagrywką zwiększył prawdopodobieństwo przegranej rządu. A wstępne stanowisko TSUE będzie znane 23 maja, trzy dni przed eurowyborami. Trudno o gorszy dla PiS termin.

Ziobrowi prokuratorzy zaktywizowali się w kwestii głośnych i sugestywnych zatrzymań. Głośnych, bo dotyczą znanych nazwisk, sugestywnych, bo to nazwiska głównie z kręgu Platformy Obywatelskiej. Tymczasem – jak twierdzą współpracownicy Morawieckiego – duże badania zamówione przez Kancelarię Premiera pokazują, że Polacy, w tym wyborcy PiS, nie chcą takich pokazówek, nie chcą czuć, że mieszkają w państwie policyjnym.

Morawiecki jest jednak za słaby, by dziś, gdy w rękach Ziobry jest śledztwo dotyczące prezesa, powstrzymać jego krwiożercze zapędy. Jest w tym wszystkim także spiskowa interpretacja ludzi Morawieckiego – ich zdaniem Ziobro ostrą polityką wobec UE i posyłaniem swych szwadronów o świcie gra na porażkę PiS w wyborach europejskich. Po co? Ano dlatego, że twarzą tej porażki będzie Morawiecki, co osłabi jego pozycję w partii i notowania w elektoracie. Wedle tej teorii – którą wszak trudno jakkolwiek zweryfikować – Ziobro chciałby zadbać o to, by ta porażka nie była sierotą i miała jednego ojca.

Morawiecki z ogromnym zaangażowaniem uczestniczy w promowaniu kandydatów PiS przed eurowyborami. Ale z rządu coraz częściej napływają sygnały, że premier jest już zmęczony i czuje się coraz bardziej osamotniony podczas kampanii.

„Jojo" emigruje

Nieco w tle tej coraz bardziej destrukcyjnej dla PiS rywalizacji dwóch 50-latków o schedę po 70-latku Kaczyńskim dokonuje się inna, w tej chwili nawet ważniejsza dla PiS zmiana.

To największa sensacja list PiS do Parlamentu Europejskiego, informacja utrzymywana w ścisłej tajemnicy do ostatniej chwili – „jedynką" na liście w połączonych regionach Zachodniopomorskim i Lubuskim został szef MSWiA Joachim Brudziński. Ten najbardziej zaufany wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości, ślepo lojalny wobec Kaczyńskiego, kontroluje partyjne struktury i ma swoich ludzi w strategicznych miejscach partii, co w praktyce daje mu pozycję numer 2 w PiS.

Czemu chce wyjechać? Jedni mówią, że chce trochę zarobić – być może sądzą go według siebie. Drudzy twierdzą, że Brudziński chce nabrać międzynarodowego doświadczenia i wyrobić sobie kontakty w UE, by je potem wykorzystać po powrocie do Polski. – Brudziński nie lubi swojego resortu, źle się tam czuje, nie ma zbyt wielu zaufanych ludzi. Jest młody i może poczekać, zdobywając w europarlamencie nowe umiejętności. To honorowe, nobilitujące odejście – opowiada jeden z wpływowych posłów PiS.

U podstaw decyzji Brudzińskiego ma przede wszystkim leżeć przekonanie, że wojna Morawieckiego z Ziobrą jest głupotą, bo w najbliższych latach Kaczyński nie odda przywództwa w partii. W tej wersji Brudziński wyjeżdża nie tylko po to, by nabrać światowej ogłady, ale także po to, by przygotować się do późniejszej sukcesji, w której chciałby uczestniczyć. – Ziobro ma wizerunek zamordysty. Morawiecki też nie jest aniołem, co pokazały taśmy od „Sowy". Nie ma gwarancji, że nie wypłynie jeszcze coś, co go obciąża. W tej sytuacji „Jojo" Brudziński to dla Kaczyńskiego rezerwa strategiczna – opowiada znany poseł PiS.

Kandydowanie Brudzińskiego, Beaty Szydło, Elżbiety Rafalskiej, Patryka Jakiego i wielu innych członków rządu wymusi rekonstrukcję. Ma ona nastąpić jeszcze przed eurowyborami. Opozycja w wyjeździe tych czołowych postaci chce widzieć „wielką ucieczkę" – to podbudowuje jej wiarę w to, że w wyborach sejmowych na jesieni pogoni kota Kaczyńskiemu. Prawda jest jednak taka, że Kaczyński wystawił na listy popularnych członków rządu, bo walczy o maksymalny wynik wyborczy. Zdaje sobie sprawę, że minimalna nawet porażka w eurowyborach będzie mieć efekt psychologiczny, doda wiatru w żagle Koalicji Europejskiej i może doprowadzić do klęski PiS w wyborach krajowych. W tym sensie rząd, jego merytoryczna i polityczna siła, jest dziś dla niego mniej ważny. Dość powie-

dzieć, że PiS nie ma mocnych kandydatów do zastąpienia ministrów gotujących się do wyjazdu. A biorąc pod uwagę, że do tej pory nie ruszyła żadna poważna giełda nazwisk, można nawet założyć, że z następcami jest duży problem.

Telewizja z partią

Wśród polityków zawsze silna była wiara w to, że kontrolując państwową telewizję i radio, są sobie w stanie pomóc w wyborach. Ale w przypadku Kaczyńskiego to nie wiara, tylko obsesja.

Partia hurtem przejęła wszystkie media publiczne w 2016 r., obsadzając Jacka Kurskiego na fotelu prezesa TVP i dokładając mu nominata od Kukiza – bo wówczas PiS mizdrzyło się do rockmana. Choć Kurski budzi nawet w PiS gorące emocje, to do tej pory ten układ dość stabilnie funkcjonował, bo patronował mu Kaczyński.

Jednak kilka tygodni temu nagle doszło do zmian – człowiek od Kukiza stracił fotel, a do zarządu weszli Marzena Paczuska (usunięta wcześniej ze stanowiska szefowej „Wiadomości" przez Kurskiego) oraz Piotr Pałka (w 2018 r. wyrzucony przez Kurskiego ze stanowiska szefa rozrywki w TVP). Oboje, rzecz jasna, nastawieni wobec prezesa konfrontacyjnie, mieli stanowić nową, antykurską większość.

Na te zmiany naciskał prezydent Andrzej Duda, szantażując PiS, że inaczej nie podpisze ustawy, która zasila TVP ponadmiliardową kroplówką z budżetu państwa. Ale Kurski to stary wyga. Korzystając z tego, że po zwolnieniu z TVP Pałka pozwał telewizję – czyli jako członek zarządu procesowałby się z firmą, którą zarządza – Kurski doprowadził do jego zawieszenia. Dziś znów to on ma decydujący głos.

> Można było się spodziewać, że przed kluczowymi dla przyszłości PiS i Kaczyńskiego wyborami parlamentarnymi **rząd sypnie groszem,** chcąc przekupić wyborców. Ale takiej skali rozdawnictwa nie spodziewał się nikt.

Starcie o TVP nie jest wyłącznie pojedynkiem między Dudą a Kurskim. Prezesa TVP chciałby się też pozbyć Morawiecki, który uważa, że propaganda Kurskiego szkodzi PiS. Kurskiego wspiera za to grupa Ziobry – Kurski był współtwórcą Ziobrowej partii, potem się poróżnili, ale dziś mają pragmatyczne relacje.

Kiedyś TVP była wyłącznym terenem dominacji Kaczyńskiego. To się właśnie skończyło. Kurskiego jest w stanie obronić, ale przestał być wyłącznym decydentem w kwestiach personalnych.

Autograf prezesa

Kaczyński nie cierpi mediów, a w jego świecie nie istnieją niezależni dziennikarze – są albo podporządkowani mu żurnaliści, albo wrogowie. Każdy, kto zna realia PiS, wie, że gdy prezes jest silny, to albo milczy w mediach, albo wygłasza krótkie oświadczenia na konferencjach prasowych, na których nie można go o nic pytać.

Znów intrygujące detale: kryzys w PiS zawsze można poznać po tym, że prezes znacznie częściej odwiedza media, ba, zdarza mu się nawet zwrócić do uznanych za wraże redakcji. Dziennikarze „Polityki" musieli być ostatnio porządnie zaskoczeni, gdy do jednego z niedawnych tekstów – poświęconego wydawaniu przez PiS publicznych pieniędzy na potrzeby Kaczyńskiego – prezes osobiście napisał sprostowanie. Ale jakie to było sprostowanie! Merytorycznie dość drobne, za to podpisane przez Kaczyńskiego osobiście. Redakcja wydrukowała ów autograf niemal jak trofeum.

W jeszcze większym szoku musieli być redaktorzy „Gazety Wyborczej", którzy – pewnie nieco przekornie – postanowili przeprowadzić sondę wśród 41 najstarszych posłów, pytając, co zrobią z trzynastą emeryturą od Kaczyńskiego.

Odezwało się dwoje posłów, w tym... sam Kaczyński. Wypełnił ankietę, deklarując, że trzynastkę, którą przyznał sam sobie, odda na cele charytatywne. „Będzie to prawdopodobnie jakaś wiarygodna organizacja zajmująca się prawami i ochroną zwierząt lub np. zbiórka na wykup zwierzęcia przeznaczonego do rzeźni" – zapowiedział Radosław Fogiel, dyrektor biura poselskiego Kaczyńskiego.

Na wiele więcej od prezesa czworonogi liczyć nie mogą. Kaczyński musiał zrezygnować z forsowania w Sejmie ustawy o ochronie zwierząt, bo zabrakło mu politycznej siły, by przekonać do niej PiS i środowiska wspierające partię.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

REKLAMA

NIE DAJ SOBIE ODEBRAĆ SKRZYDEŁ!

ZMIEŃMY SZKOŁĘ, NAPISZMY RAZEM PODRĘCZNIK NA XXI W.

ZA NAJLEPSZY POMYSŁ NAGRODA 30 000 ZŁ

szczegóły na www.holistic.news i w drukowanym magazynie

HOLISTIC .NEWS

ADOBE.STOCK.COM

Nie ma offline i online

DR HAB. JACEK PYŻALSKI, PEDAGOG, EKSPERT W ZAKRESIE EDUKACJI MEDIALNEJ:

Myśląc o naszych dzieciach i ich zachowaniach w internecie, namalowaliśmy sobie ich portret, który ma niewielki związek z rzeczywistością.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Od ostatniej edycji EU Kids Online, badania zachowań młodych ludzi w sieci, którym Pan kieruje, minęła niecała dekada. Dla zmiany cyfrowych zachowań to jak epoka.

JACEK PYŻALSKI: Głównie dlatego, że zmieniła się technologia, pociągając ze sobą zmiany społeczne. Otóż internet przez ostatnie lata stał się dla wielu młodych ludzi bardziej mobilny, a dla części z nich – wyłącznie mobilny. Co piąty na pytanie, czy korzysta bądź korzystał(a) z komputera stacjonarnego lub laptopa, odpowiada „nigdy" albo „prawie nigdy".

Jakie są tego konsekwencje?

Radykalnie zmieniła się definicja „bycia *online*". Tak jak kiedyś oznaczało to odcięcie się od życia poza internetem, tak teraz sfera *online* towarzyszy nam po prostu w wielu codziennych czynnościach. Przykłady można mnożyć. Młody człowiek biegnie po lesie, a telefon rejestruje jego trasę. Później ta trasa zostanie – też za pomocą telefonu – umieszczona na portalu społecznościowym. Albo grupa młodych ludzi przegląda wspólnie album zdjęć ściągniętych z sieci bądź ogląda film. Są równocześnie *offline* i *online*. Internet jest niejako dodatkiem.

Dodatkiem do – jak zdarza nam się mówić – „życia realnego".

W publikacjach nie używamy już w ogóle podziału na „realny" i „wirtualny", bo to rozgraniczenie straciło sens. Właśnie z tego powodu, że nie ma już w zasadzie czegoś takiego jak ekskluzywne „przebywanie w sieci". To ma też swoje konsekwencje badawcze: wiele lat temu próbowano szacować, ile godzin dziennie młodzi ludzie „spędzają w sieci". Teraz stało się to bardzo trudne.

Przeceniamy rolę internetu w życiu naszych dzieci?

Absolutnie tak! Paradoksalnie to my, używając stereotypów w rodzaju „internet to ich świat", „nic tylko ta sieć", prezentujemy podejście internetocentryczne. W ramach naszych badań poprosiliśmy młodych ludzi, by odnieśli się do zdania: „Łatwiej mi być sobą w internecie, niż gdy spotykam się z innymi ludźmi twarzą w twarz". Tych, którzy odpowiedzieli, że mają tak zawsze, było 7 procent! To my, dorośli, przypisujemy młodszym generacjom masowe zaabsorbowanie siecią. Owszem, to jest część ich świata, ale w znacznie większym, niż sądzimy, stopniu jest on osadzony w świecie, jaki i my znamy.

Sieć to nadal obszar nierówności?

Owszem, ale zupełnie innych niż choćby dekadę temu. Dziś nie dotyczą już posiadania bądź nieposiadania sprzętu, dostępności do technologii. Różnice, często spore, związane są teraz z kompetencjami; z tym, do czego potrafimy technologii używać.

Tymczasem my wrzucamy ich wszystkich do jednego worka.

„W sieci czują się jak ryby w wodzie" – mawiamy. Tylko pytanie: co tak naprawdę umieją? Czy chodzi nam o umiejętności czysto techniczne, czy komunikacyjne, czy związane z poszukiwaniem i weryfikowaniem informacji z sieci? Cokolwiek byśmy z tego zestawu wybrali, okaże się, że oceniamy ich znacznie lepiej niż oni sami siebie. Na przykład pod zdaniem: „Wiem, jak stworzyć i publikować w sieci filmy lub muzykę" zdecydowanie podpisuje się jedynie 39 proc. pytanych. A tylko co trzeci w podobny sposób ustosunkowuje się do stwierdzenia: „Łatwo mi sprawdzić, czy informacja, którą znalazłem w internecie, jest prawdziwa".

Na szczęście stereotypem jest też przekonanie, że internet jest siedliskiem przemocy.

Po pierwsze: wszystkie dysfunkcjonalne zjawiska, jak mowa nienawiści czy cyberprzemoc, dotyczą zdecydowanej mniejszości młodych ludzi. Owszem, te przypadki są bardzo często dramatyczne, a w dodatku narzucają nam się medialnie, ale w wersji poważnej – tzn. bycia ofiarą bądź sprawcą – dotykają regularnie 9 proc. badanych.

Choć niektóre wskaźniki przemocy wzrastają.

Wzrosła nieco ta rówieśnicza. Z kolei o mowie nienawiści – rozumianej jako komunikaty skierowane wobec całych grup, np. mniejszości narodowościowych, seksualnych czy religijnych – niewiele mo-

żemy w kontekście zmiany zachowań powiedzieć, bo nigdy wcześniej nie była poważnie ilościowo badana.

Co innego jednak jest ważne: to już trzecie przeprowadzane przeze mnie badanie, które potwierdza, że jest niewielu młodych ludzi podejmujących wyłącznie cyberprzemoc. Po prostu jej sprawcy są też zwykle agresywni poza internetem.

Pada więc kolejny stereotyp: internetu jako przyczyny zła.

Wracamy do punktu wyjścia: sieć jest obszarem funkcjonowania, czasami również przemocowego, a nie przyczyną zachowań. Wniosek: problem leży gdzie indziej niż w naturze medium. Jeśli mam – albo ma młody człowiek – kłopot ze sobą i z funkcjonowaniem wśród ludzi, to ten problem objawi się równie dobrze na forum internetowym, co na szkolnym korytarzu.

Tymczasem my, także w szkołach, pozostajemy wciąż na etapie tzw. pogadanek o „szkodliwości internetu".

To zdecydowanie za mało, choć mam wrażenie, że i to się zmienia. A na pewno powinno się zmieniać – powinniśmy spojrzeć na problem przemocy, hejtu, szerzej. Na to, jak się do siebie odnosimy, jak radzimy sobie z agresją. Szerszego spojrzenia wymagają zresztą i inne negatywne zjawiska potocznie utożsamiane z siecią, choćby słynne fake newsy, czyli nieprawdziwe informacje. Dezinformacji możemy przecież ulec, i ulegamy, w wielu miejscach. Uczmy więc w szkołach samodzielnego myślenia i krytycyzmu wobec informacji nie tylko w odniesieniu do internetu. Tymczasem rodzice i nauczyciele idą często na skróty, skupiając się na zagrożeniach, a mniej chętnie podejmując pozytywne, wspólne działania w sieci.

O rodziców i opiekunów też respondentów pytaliście. Jaki wyłania się z tego portret?

Po pierwsze: niezbyt chętnie wchodzimy w świat młodych ludzi. Na pytanie, czy rodzicom bądź opiekunom zdarza się dawać rady, jak bezpiecznie korzystać z sieci, aż 40 proc. odpowiada, że nigdy albo prawie nigdy. Jeszcze więcej, bo niemal połowa, deklaruje, iż dorośli nigdy lub prawie nigdy nie rozmawiają z nimi o tym, czego młodzi doświadczają w sieci. To pokazuje, że dość duży odsetek dorosłych jest ze świata aktywności *online* swoich dzieci wyłączony.

Równocześnie stosunkowo niewielu młodych deklaruje, że ich rodzice nakładają na nich jakieś ograniczenia lub zakazy. Na przykład tylko 15 proc. respondentów powiedziało nam, że wymienianie się z innymi filmami, zdjęciami lub muzyką, jest w ich domu obwarowane całkowitym zakazem, a kolejne 20 proc., że jest to u nich dozwolone, ale tylko za zgodą lub pod opieką dorosłych. Na używanie kamery w telefonie podczas rozmowy, na przykład przez Skype'a, zakaz nałożony ma jedynie co dziewiąty badany. Jeszcze mniej mówi to samo o grach *online*.

Może dlatego, że sami w naszych zachowaniach cyfrowych nie jesteśmy święci.

Zdarza nam się udostępniać dane naszych dzieci, na przykład zdjęcia, nie pytając ich o zgodę. Do takich zachowań swoich rodziców przyznaje się między 7 a 9 proc. młodych ludzi. To zabawne, bo często mówimy, że młodych cechują „ryzykowne zachowania"...

Równocześnie zbyt rzadko w opinii młodych ludzi angażujemy się w ich aktywność. Oni wcale nie oczekują od dorosłych odcięcia się od tego, co robią w internecie. Wielu deklaruje, że akceptują działania wspierające. Tu dotykamy kolejnego mitu: wcale nie jest tak, że dzieci chcą mieć w sieci jakiś „swój azyl". Co dziesiąty deklaruje nawet, że oczekiwałby większego zaangażowania ze strony dorosłych.

To kolejny sygnał, że podział na online i offline traci sens.

I że myśląc o naszych dzieciach i ich zachowaniach w internecie, namalowaliśmy sobie ich portret, który ma czasami niewielki związek z rzeczywistością. Warto ten stereotypowy obraz odczarować.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANNA GNATKOWSKA

DR HAB. JACEK PYŻALSKI *jest pedagogiem, profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracuje na Wydziale Studiów Edukacyjnych UAM, zajmując się m.in. agresją elektroniczną, nowymi mediami czy komunikacją w szkole. Autor pierwszej polskiej monografii na temat cyberprzemocy: „Agresja elektroniczna wśród dzieci i młodzieży".*

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!
powszech.net/podkast

STEFANO MONTESI / CORBIS / GETTY IMAGES

Kto chce obalić Franciszka

Grupa katolickich milionerów przy wsparciu byłych agentów FBI chce, manipulując Wikipedią, ustawić wynik kolejnego konklawe? To nie jest scenariusz sensacyjnego filmu... Gdyby tę historię opisał Dan Brown, komentowalibyśmy, że to zbyt nieprawdopodobne. Ale opisał ją wybitny watykanista Andrea Tornielli z Giannim Valentem. Kto chce obalić papieża? – odpowiedzi w kolejnym odcinku Podkastu Powszechnego szuka nasz dziennikarz Edward Augustyn.

Słuchaj na powszech.net/podkast

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Na łące pamięci

MICHAŁ OKOŃSKI

Mogę tu mieszkać, bo ich wszystkich nie ma – mówi Monika Sznajderman. Po czym sprawia, że zaczynają znowu być. I wraca spokój.

A W MARCU, JAK PAJĄK PO MOKREJ OD PORANNEJ rosy pajęczynie, w głąb doliny zsunie się światło i wszystko zacznie się od początku" – brzmi ostatnie zdanie „Pustego lasu" Moniki Sznajderman, książki, w której mieszkająca od 30 lat w opuszczonych przez dawnych mieszkańców dolinach Beskidu Niskiego założycielka wydawnictwa Czarne przywołuje pamięć Łemków, Rusinów, Ukraińców, Romów, Żydów – w sumie nieważne, jak ich nazywać, bo dla niej po prostu: „moich sąsiadów". Jest właśnie marzec i w głąb doliny zsuwa się światło. W jego blasku trudno przyjąć do wiadomości, że za chwilę mamy rozpocząć wyprawę na cmentarze albo że pejzaż, który mamy przed oczami, jest efektem tylu końców świata.

NA SERCE I NIEUSTANNĄ ROBOTĘ Przez „Beskid Biedny", jak nazywa go Monika Sznajderman, na przestrzeni ostatnich stu kilkudziesięciu lat przeszły epidemia cholery, fala antyżydowskich pogromów i naftowa gorączka. Przeludnione wsie pustoszyły emigracja zarobkowa i zbierająca tu szczególnie krwawe żniwo – także podczas wywózek oskarżonej o moskalofilstwo ludności do austriackiego obozu koncentracyjnego Talerhof – I wojna światowa. Później na część mieszkańców przyszła Zagłada, a niemal wszystkich pozostałych wysiedlono do ZSRR lub na tzw. Ziemie Odzyskane w ramach akcji „Wisła", i nawet czas transformacji oznaczał upadek tutejszych pegeerów. Idziemy przez wieś, która 83 lata temu liczyła niemal 800 mieszkańców, i w której dziś zostało ich kilkunastu. Wieś tak długo odciętą od świata, że jeszcze pod koniec XIX wieku miejscowy proboszcz nie dawał się przekonać, iż Ziemia obraca się naokoło Słońca, a na początku wieku XXI Monika i jej mąż, Andrzej Stasiuk, gdy zimą drogi zasypywał śnieg, „pogrążali się w czymś w rodzaju snu". Wieś ciężkiej pracy, w której nigdy nie chciały mieszkać młode kobiety. Wieś zazwyczaj spowitą w ciemności, ciszy i mgle.

Mijamy opuszczone chałupy, a Monika wylicza nazwiska właścicieli. Ten umarł, tamta trafiła do domu pomocy społecznej. Piątkowie, z których dziećmi bawiła się jej córka, i które chodziły przez las do szkoły w Krzywej, a drogę wyznaczały im przywiązane do drzew kolorowe szmatki, wyjechali. Dom Kosków zarasta zielskiem. Jego dawni gospodarze, jak tylu in-

RADEK POLAK

nych tutaj, wrócili z wysiedlenia, odkupili własną ziemię, ale bardziej wegetowali niż żyli, a w końcu umarli. Ich syn Stefan wiedział wszystko o wszystkich: słynął z opowiadania historii, także, co tu kryć, podsłuchanych. W poszukiwaniu najświeższych wiadomości potrafił jeździć do gorlickiego sądu albo kontemplować tablice z ogłoszeniami. Zabił go rak ucha.

Autorka „Pustego lasu" mówi o tym wszystkim powściągliwie, zachowując emocje dla siebie i starannie oddzielając to, czym może podzielić się z czytelnikiem, od tego, co może mi powiedzieć w zaufaniu, i tego, o czym w ogóle mówić nie będzie (głównie nie będzie mówić o sobie). Kiedy mijamy chałupę, w której umarł ostatni z Dudyczów, Dymitr – w samotności, na wylew, leżąc trzy dni w kałuży krwi, zanim znalazł go obwoźny sprzedawca chleba – w jej głosie nie słychać smutku: po prostu taka jest kolej rzeczy.

Chce jednak wypowiedzieć te nazwiska, nawet jeśli nie wszystkie zapamiętam. Opowiada o Janku Tuzie, który zbudował te wszystkie zabudowania nad brzegiem rzeczki Zawoi i jeszcze pomnik męczeństwa Łemków postawił – z oplecionego drutem kolczastym kamienia. To od niego zaczyna się historia jej związku z Wołowcem, bo kiedy szła tędy ponad 30 lat temu, zaczepił ją, zaproponował kupienie łąki i przeniesienie na nią położonej w pobliżu starej łemkowskiej chaty.

– Był młodszy od nas, samotny, całe życie szukał kobiety, szczególnie śmiało po tym, jak zmarła mu matka – mówi Monika. – A potem też umarł, na serce i nieustanną robotę.

ZAMIESZKAĆ W PEJZAŻU, WZIĄĆ HISTORIĘ W OPIEKĘ

Czy będziemy przez cały czas rozmawiać o śmierci? A może raczej o tej nieustannej robocie powinniśmy? „Trudzę się więc, troszczę i uprawiam, krzątam i sprzątam, sadzę i koszę – do pejzażu, w którym przyszło mi żyć, dokładam nowe elementy i z każdym najdrobniejszym gestem zmieniam go na zawsze" – pisze w „Pustym lesie" i faktycznie: dom, który zbudowali z Andrzejem kilkanaście lat temu na łące u stóp Mareszki, dziś już kryje się wśród posadzonych przez autora „Opowieści galicyjskich" jodeł.

Z jednej strony jej książka przypomina odprawianie dziadów po tych, którzy – no właśnie nie wiadomo, odeszli czy nie odeszli, bo mimo iż Monika prowadzi teraz pod górę, na jeden z tutejszych cmentarzy, gdzie stoi kilkanaście nagrobków, to przecież pamiętam zdanie o księgach parafialnych zachowanych w przemyskim archiwum, dzięki którym może wiedzieć, „że głęboko pod ziemią ukryta jest inna wieś, że żyje swoim życiem podziemny wołowiecki świat". Inna sprawa, że nie wszystko wydaje się tu ukryte głęboko: że jeśli spojrzeć na ziemię pod stopami, widać zarysy kolejnych mogił.

↦ – Tysiące osób tu leżą – mówi autorka „Pustego lasu".

Z drugiej strony jednak nowa książka Moniki Sznajderman to deklaracja wzięcia tej ziemi w posiadanie, napisania nowego rozdziału jej dziejów, zostawienia własnego śladu. W buniorze na Zawoi, który właśnie mi pokazała, kąpały się jej dzieci – tak samo jak robiły to dzieci tych, którzy byli tu przed nią. W „Pustym lesie" pisze więc o wzięciu w opiekę cudzej historii i zamieszkaniu w obcym pejzażu, aż nieuchronnie staną się jej historią i pejzażem.

ARCHEOLOGIA KRAJOBRAZU O to, co właściwie znaczy, że „ci, których nie ma, w jakiś sposób są", zapytam tego dnia niejeden raz. Za każdym razem będzie mówić, że odżegnuje się od mistycyzmu, choć przyzna, że trudno wyjaśnić ciemną siłę przyciągania, która „zwyciężyła nad wszelkim rozsądkiem, wytrąciła mnie z trajektorii oczywistego życia i wyciągnęła z Warszawy na to odległe pustkowie z mroczną przeszłością, wyboistą teraźniejszością i niczego nieobiecującą przyszłością". Dociskana odpowie, że musi pomyśleć, i wróci do opisywania pejzażu, który właśnie się przed nami otworzy.

A może to właśnie jest jej forma odpowiedzi? Opis osamotnionych cerkwi. Cmentarzy, zwłaszcza żołnierzy z I wojny światowej, ale także tego w Długiem, gdzie zatrzymamy się przy obelisku upamiętniającym trzynaścioro członków rodziny Sabatowiczów, z których każdy umarł gdzie indziej (Józef tutaj, Anna i Jerzyk w Kijowie, Prokop i Teodor w USA, Andrzej w Argentynie, Dymitr we Lwowie, Michał na Ukrainie, Jan w Radocynie, Piotr i Julia w Siarach, a dopisani już z boku krzyża Katarzyna i Józef w Rochester). Kiwonów, czyli pomp służących do wydobycia ropy. Pieców do wypału węgla drzewnego. Przede wszystkim zaś: kapliczek i krzyży, czasem z ledwo widocznymi już napisami cyrylicą, czasem porośniętych mchem, w niektórych partiach doliny rozrzuconych co kilkanaście metrów – znak, że stały przy domach zamożniejszych gospodarzy. Śladów po domach domyślić się może tylko archeolog krajobrazu: świadczą o nich widoczne na rozciągających się wokół łąkach tarasy, gdzieniegdzie także miejsca po studniach, no i te dawno zdziczałe owocowe drzewa.

RUDY CHŁOPAK O SMUTNYM SPOJRZENIU – Karczma stała właśnie tutaj – Monika zatrzymuje się nagle na środku piaszczystej drogi, pomiędzy dwiema kałużami i przed figurą św. Mikołaja [zob. zdjęcie obok – red.]; chyba nawet archeolog nie domyśliłby się tu istnienia fundamentów sporego budynku.

Wcześniej pytałem o relację podróżującego po Beskidzie Niskim etnografa, który w Wołowcu zatrzymał się w żydowskiej gospodzie. „W dużej pustej izbie zastałem młodego karczmarza – pisał Roman Reinfuss. – Na jego wyblakłym obliczu przyprószonym gęstymi piegami rozlał się bezkresny ocean melancholii. Gładzi ręką niesforne rude loczki, skarży się żałośnie na los złośliwy, który takiego utalentowanego młodzieńca zamknął na głuchej wsi". Moją uwagę zwrócił nie tylko cytat, ale także komentarz Moniki: że tego jedynego śladu po życiu młodego żydowskiego karczmarza nie wolno przeoczyć, pominąć ani zgubić. Że aż nie wolno? Czy nie próbuje wzbudzić w odbiorcy poczucia winy?

– Ale ja to do siebie adresuję – tłumaczy. – To ja chcę pamiętać, że żył w mojej wsi rudy chłopak o smutnym spojrzeniu, którego marzeniem było się stąd wyrwać.

Ma rację: ze wszystkich książek opisujących poczucie straty, żal i krzywdy, jakie spotkały na polskiej dziś ziemi całe narody, i za jakie nigdy tak naprawdę nie przeproszono, „Pusty las" wydaje się najczystszy i najbardziej wolny od wciskania czytelnikowi moralnych zobowiązań.

– Na budzonym przemocą poczuciu winy budują się wyparcie, agresja, lęk – mówi Monika.

PIELĘGNIARKA, KTÓRA ZOSTAWIŁA RANNYCH O tym, jak pamiętać, rozmawiamy na przykładzie Gorlic. Położone kilkanaście kilometrów stąd miasteczko, w którym skądinąd mieści się jedno z biur wydawnictwa Czarne, w czasie I wojny światowej zostało zmiecione z powierzchni ziemi podczas niemiecko-austro-węgierskiej ofensywy. Co roku w maju grupy rekonstrukcyjne z całego świata próbują odtworzyć słynną bitwę. „Wszystko obliczone jest na efekt »wow«" – cytuje Monika jednego z rekonstruktorów. Płoną atrapy domów, są pirotechnicy i ubrani w stare mundury entuzjaści, publiczność jest zachwycona. Można by pytać: w czym problem?

– Z rekonstrukcjami jest tak samo jak z pomnikami: odtwarzają rzeczywistość tylko w wymiarze materialnym – mówi, brodząc przez grząską, od dawna nieuprawianą łąkę. I wspomina Florence Farmborough, angielską pielęgniarkę, która towarzyszyła wówczas armii rosyjskiej i która w apogeum masakry usłyszała rozkaz: „natychmiastowy wymarsz, zostawić wyposażenie i rannych".

– Jak zrekonstruować to, co czuła, gdy na jej oczach galicyjskie miasteczko obracało się w perzynę, a ona musiała odejść od swoich podopiecznych? I co czuli oni, osamotnieni i skazani na pewną śmierć? – pyta moja przewodniczka. – Albo jak zrekonstruować zapach, nie tylko trupów, które rozkładały się tu miesiącami, ale także wyczerpania, upodlenia i strachu? Jak zrekonstruować lęk moich sąsiadów z Wołowca i okolicznych wsi, którzy po wojnie przeszli przez wysiedlenia i obóz koncentracyjny w Jaworznie, a potem bali się już do końca życia – do tego stopnia,

MICHAŁ OKOŃSKI

że kiedy odbywało się głosowanie w sprawie dwujęzycznych nazw miejscowości, wielu głosowało przeciwko, żeby nie podpaść władzy, która znów może przyjść i wysiedlać? Ten lęk siedzi w nich do tej pory – i dziedziczą go następne pokolenia.

Czyli prawdziwa pamięć skazana jest na przeminięcie? – pytam, a wokół nagle robi się cicho, bo w tej chwili ustaje wiatr.

– Nie wiem, co to jest prawdziwa pamięć – odpowiada autorka „Pustego lasu". – Wydaje mi się, że najbardziej oszukańcza i intelektualnie niepłodna jest pozycja zewnętrznego obserwatora, który udaje, że wie, jak było. Ja nie pamiętam, jak było. Staram się to sobie wyobrazić i pokazać też swoje emocje, żeby być uczciwą. Wiem, że muszę być ostrożna, bo pamięć bywa użytecznym narzędziem tzw. polityki historycznej. Ci, których ona wykorzystuje, nie mogą zaprotestować, bo od dawna nie żyją.

NATURALNA HISTORIA PRZEMIJANIA Słychać ptaki, odgłos naszych kroków i szum poruszanej przez nie trawy. Spod Mareszki widać całą dolinę Wołowca, zamkniętą przez łagodne, porośnięte sosną, bukiem i jodłą zbocza. „Boże, jak tu pięknie" – wyrywa mi się w pewnym momencie, a Monika jakby na to czekała. Przecież kiedy stały tu chałupa przy chałupie, może wcale nie było tak pięknie. A po drugie: czy w miejscach, które widziały tyle cierpienia, w ogóle może być pięknie? I co tak naprawdę mówi ta soczystość i bujność?

– Czyjeś ciała użyźniły ziemię, po której idziemy – mówi. „To, co ludzkie, karmi teraz przyrodę i wiosną drzewa na Magurze są we wszystkich zieleniach świata – od jasnej, ledwie muśniętej kolorem, po ciemną i tak nasyconą, że aż niemal czarną" – czytam w jej książce, a ona znów zaczyna litanię nazwisk: tym razem pochowanych wokół żołnierzy, ale także Żydów, wywożonych do obozów zagłady, a czasem zabijanych na miejscu, jak Szulim Ziegler, ukrywany, a następnie zdradzony przez polskiego sąsiada w lesie koło Zdyni.

No dobrze: przyjmuję do wiadomości zdanie, że „w tej części świata natura jest piękna i bujna, ale to pejzaż tylko pozornie nietknięty", jednak przy dopowiedzeniu „tylko pozornie niewinny" chcę ↦

↦ zaprotestować – a jeszcze bardziej, kiedy cytuje Martina Pollacka, piszącego o krajobrazach „skażonych". Kiedy wylicza rosnące na jej łące nazwy roślin: różowych mieczyków i firletek, białej koniczyny, żółtego groszku łąkowego, dzwonków, jaskrów oraz tylu innych, trudno uznać, że są skażone. Może jest raczej tak, że przyroda ów krajobraz uzdrawia? Że wspomagając rozpad domów, pomaga duchom ich właścicieli znaleźć wieczny odpoczynek?

Monika mówi o historii naturalnej przemijania. I zgadza się, że „zraniony" brzmi lepiej od „skażonego": po pierwsze, co zranione, można wyleczyć. Po drugie, nie sugeruje niczego nieczystego. Tak, ludzie, których stąd wyrzucono, byli niewinni.

WŁAŚCIWIE NIE WIADOMO DLACZEGO Kończymy spacer przez Wołowiec, a w domu Andrzej parzy kawę, zganiając przygarnięte psy z kanap i spierając się z Moniką, którędy mamy się teraz udać do sąsiednich dolin. Kiedy wsiadamy do samochodu, robimy tak, jak powiedział: mijamy zabudowania dawnego PGR-u Jasionka, który ćwierć wieku temu opisywał w reportażu na łamach „TP" i w którym nowy właściciel terenu umieścił hodowlę krów rasy limousine oraz włochatych węgierskich świń mangalic. Mijamy nowo powstały ośrodek wypoczynkowy Lasów Państwowych, który – jak informuje napotkany po drodze znajomy leśnik – kosztował kilkanaście milionów i który wkrótce otworzy sam pan minister. Mijamy kolejny upadły pegeer, ten brzydszy, jak mówią tu ludzie, w Wyszowatce, gdzie przed laty było więzienie i gdzie byli osadzeni żyją wspólnie z byłymi strażnikami. Trochę wcześniej, w dawnej chałupie Stasiuków w Czarnem, nie zastajemy obecnych gospodarzy, Marysi i Jurka, ale odwiedzimy ich, gdy będziemy wracać – poza tym, że doprowadzono prąd, niewiele się zresztą różni od domu, który zapamiętałem sprzed ćwierćwiecza (odwiedziłem wtedy pewnego młodego pisarza, zaczynającego współpracę z „TP") i w którym Monika, po przyniesieniu wody ze studni i rozpaleniu w piecu, przy lampach naftowych pracowała nad etnologicznymi rozprawami.

– Głównie piszę, że sobie z tym nie radzę – moja przewodniczka wraca nagle do tych, których „nie ma, a przecież w jakiś sposób są". – Że nie umiem tego opisać. Mogę odczuwać żal za tamtym światem. Mogę współczuć z poczuciem wyobcowania i zdrady przez państwo polskie ludzi, których stąd wygnano. Mogę próbować nazwać ten stan, w którym zawsze było się swoim i nagle, nie wiadomo kiedy, stało się obcym – i właściwie nie do końca wiadomo, dlaczego tak się stało.

PATRZĘ PRZEZ PODWÓJNE OKULARY Zdanie to, zauważam, nie dotyczy tylko Łemków – to samo można powiedzieć o Żydach. Zaczynamy więc rozmawiać o poprzedniej książce Moniki, „Fałszerzach pieprzu", historii jej rodziny – a właściwie dwóch rodzin, żydowskiej, której tak wielu członków nie przeżyło Zagłady, i polskiej, która swoją zagładę przeżyła po wojnie, a był nią koniec świata ziemiańskiego.

Trudno znaleźć dobry przymiotnik na oddanie tej podwójności losu, w którym jedna babcia ginie w ukraińsko-niemieckim pogromie, a druga niemal tego samego dnia w eleganckiej sukni pozuje do portretu. Trudno opisać wyprawę autorki w okolice Radomia, skąd dziadek wyjechał na studia, z Izaaka stając się Ignacym i zrywając kontakty z ortodoksyjnymi krewnymi, i gdzie napotkana dziś kobieta mówi, że „jej się te Żydki nie śnią". Trudno zapomnieć fragment, w którym cytuje świadectwo jadącego przez skazane na śmierć getto polskiego dziadka i na jego podstawie rzuca oskarżenie całej kulturze i klasie, w zdaniu – „Brakowało mi dostojnego, z siwą brodą Lejbusia, którego nie tylko szanowałem, ale i lubiłem, podziwiając jego delikatność i przywiązanie" – widząc dowód nie tyle żalu za utraconym bliźnim, co za własną arkadią, której elementem byli też „szwargocący i uwijający się Żydzi w czarnych chałatach", a wśród nich „m ó j Zilberstein".

W Wołowcu patrzyłem, jak Andrzej tonuje emocje, którymi Monika dzieli się, mówiąc o nowych inwestycjach Lasów Państwowych, albo jak prowokuje ich wybuch zdaniem, że spotkał kiedyś człowieka, który cieszył się, że jego rodzinę wysiedlono, bo tu naprawdę się nie dało żyć. Była w tym prowokacja i trochę pozy, ale w kwestii, co zrobić z pytaniami, które rodzą się z opowieści o losie dwóch rodzin Moniki – czy nie nazbyt ocenia, czy ma prawo i kto jej to prawo dał – to właśnie Andrzej dał wskazówkę kluczową: że jeśli trzeba wziąć czyjąś stronę, musi to być strona słabszych. Tych, którzy nie przeżyli.

Polscy przodkowie Moniki byli patriotami i społecznikami. Byli ludźmi, których zwykle określa się mianem „dobrych". A zarazem byli obojętni na los ginących Żydów. „Patrzę przez podwójne okulary i oni patrzą ze mną. Straciłam niewinność i przez to odebrałam ją także im. Stają się odpowiedzialni za los moich żydowskich krewnych. Interesuje mnie to, czego nie zrobili i nie widzieli" – pisze więc o nich Monika.

PRZECIW TEMU MILCZENIU Poza tym jednak, podobnie jak w „Pustym lesie", głównie pyta, a najważniejsza w tych pytaniach nie jest kwestia polskiego samopoczucia, ale żydowski los. „Jak mam sobie ułożyć w głowie, że pewnego dnia Aluś idzie, trzymany za rękę przez mojego dziadka Ignacego, na Umschlagplatz, wsiada do bydlęcego wagonu i jedzie do Treblinki? Jak wyobrazić sobie własnego ojca, delikatnego starszego pana, jako chłopaczka, który po śmierci mamy wraca do getta w Warszawie i opiekuje się braciszkiem? Nawet nie wiem, ile to kilometrów. Polskich, bo te żydowskie kilometry były o wiele dłuższe".

„Fałszerze pieprzu" mają formę listu do taty, który przetrwał warszawskie getto (jego ojciec i młodszy brat, wspomniany Aluś, zginęli), a następnie obóz na Majdanku i Auschwitz, i który następnie zapomniał o wszystkim. „Mój ojciec należy do tych, którzy milczą. To milczenie jest ogromne, przepastne i można się w nim utopić. Dlatego zaczęłam pamiętać. Przeciw temu milczeniu" – deklaruje w pewnym momencie autorka. „Jestem twoją pamięcią, tato – pisze dalej. – Chcianą lub niechcianą". Choć wobec tego, co widział i przeżył w obozach ojciec, słowa są bezradne, a wyobraźnia zawodzi. A jednak...

– Kiedy przeczytał „Fałszerzy pieprzu", kiedy cieszył się, że to napisałam i kiedy na nowo budowaliśmy naszą relację, było w tym coś więcej niż ból – opowiada Monika. – Jakieś inne, jaśniejsze uczucie, które nie wiem, jak nazwać. Poczekaj, muszę się zastanowić.

Znów mówi o tym, co widzimy, ale ja chcę wiedzieć, gdzie to jaśniejsze uczucie.

– Może w tym, że tata przeżył, choć wydaje się taki kruchy i niezaradny – odpowiada w końcu. – Że był całkiem sam, a teraz ma dużą rodzinę. Że polski dziadek też nie zginął w komunistycznym więzieniu i w końcu doszło do tego, że Żyd leczył narodowca, który marzył o Polsce wolnej od Żydów. Że losy tych rodzin jakoś się splotły. Pewnie i w tym, że się urodziłam.

NA STACJI NIEZNAJOWA W końcu dojeżdżamy do Rozstajnego, nad Wisłokę. Zo-

stawiamy auto i wchodzimy w dolinę, w której kiedyś stały zabudowania Nieznajowej, a którą dziś wzięły we władanie bobry. Słońce zaczyna się już obniżać i w jego świetle, na tle czarnej ściany lasu, widzimy kwitnące na biało pojedyncze drzewa owocowe. Idziemy przez łąki, które były wsią, płosząc gniazdujące tu czajki i przerywając rozmowę, by posłuchać ich pełnego pasji „ir-ii łip łip". Tu również stajemy na cmentarzu, i jeszcze przy kapliczce Świętej Rodziny – jednej z tych, którą współtworzone przez Monikę Stowarzyszenie Rozwoju Sołectwa Krzywa przeznaczyło do renowacji, co zresztą dla niej wcale nie jest oczywiste, bo może lepiej byłoby, żeby mówiła do nas przez zacierające się rysy. Także tutaj kapliczki i krzyże, oprócz zdziczałych grusz i śliw, to jedyny ślad po dawnym życiu.

Kiedyś w Nieznajowej odbywały się wielkie targi bydła i ważne doroczne jarmarki, pracowały młyny i tartaki, był posterunek policji i elektryczność. Kiedyś był również projekt puszczenia tędy linii kolejowej, od Jasła do Koniecznej i dalej – aż do Bardejova, ale opis tego, jak wyglądałaby ta dolina, gdyby jeździły nią pociągi, wydaje się wręcz surrealistyczny.

– No więc nie wiem, co tu się zacznie – Monika wraca do pytania o ostatnie zdanie książki. – „Pusty las" w ogóle składa się z pytań bez odpowiedzi. Ze swojego egoistycznego punktu widzenia chciałabym, żeby wszystko zostało tak, jak jest, ale wiem, że to nierealne i że będą tu przyjeżdżać ludzie, z których wielu o Beskidzie Niskim wie tylko tyle, że są tu fajne trasy rowerowe i narciarskie. Z drugiej strony: rowerzyści i narciarze współtworzą ten pejzaż tak samo jak ja. Wołosi też tu kiedyś przyszli z daleka.

Na tym nie kończy. Mówi, że Beskid Niski to miejsce, którego fizyczność odpowiada takiemu stanowi umysłu, w którym właśnie zadaje się pytania. Pytania brzmią: skąd jesteśmy, co tu robimy, jak to jest, że żyjemy i jak mamy żyć po kimś?

DOBRZE MI TU JEST Milczę, bo czuję, że zbliżamy się do kwestii, która łączy wszystko, o czym mówiliśmy do tej pory.

– Trudno to wytłumaczyć, a może w ogóle się nie da, ale myślę, że nie przypadkiem się tu osiedliłam i nie przypadkiem tak bardzo mnie przyciągnęło to, co w Beskidzie Niskim najstraszniejsze, czyli pustka – opowiada. – Być może ten obraz odwołał się do jakichś głębszych pokładów we mnie, do poczucia wydrążenia i raniącej świadomości pustki, która nastała po Żydach. Tu, w Beskidzie, ta pustka nie została sztucznie zagadana, zabudowana, zaludniona, tu nie nastało hałaśliwe nowe życie, które ma wymazać to, co było przedtem. Ta pustka jest więc straszna, ale jest też autentyczna, niesklamana, łatwiej dostrzec to, co pod spodem, przywołać tych, którzy byli przed nami. Zobaczyłam puste miejsce i poczułam, że jest moje.

W Beskidzie Niskim trudno nie pytać, skąd jesteśmy, co tu robimy, jak to jest, że żyjemy i jak mamy żyć po kimś?

RADEK POLAK

Kiedy to mówi, nie jest wzruszona ani smutna. Jest spokojna, może nawet czuła (czułe z pewnością jest jej pisanie).

– Dobrze mi tu jest, po prostu – dodaje. – Gdyby nie to, że w Warszawie mam rodzinę i przyjaciół, że czasem muszę z kimś się spotkać w sprawach wydawnictwa, w ogóle bym się stąd nie ruszała. Z dala od miejskich potrzeb widzę, co jest najważniejsze. A przy tym niczego nie żałuję i wiem, że to się musiało tak właśnie potoczyć. Poczucie, że podejmowałam jakieś suwerenne decyzje, jest w dużej mierze złudne. Bo było też mnóstwo małych i większych cudów albo po prostu przypadków. Gdyby mój ojciec się nie ocalił, nie rozmawialibyśmy. Gdyby dziadek mojego najbliższego sąsiada, Michała Hutyriaka, nie pojechał do Ameryki i jego ojciec tam się nie urodził, cała rodzina zostałaby wysiedlona, Wołowiec podzieliłby los wsi, które opustoszały i zdziczały całkowicie, i nigdy nie zbudowalibyśmy tu domu.

Znowu chwilę milczymy.

– Ale wiesz, pamiętam, jak kiedyś myślałam, że gdybym nie musiała w kółko prać i nosić wody ze studni, to mogłabym czegoś dokonać – dodaje, a ja chcę zapamiętać uśmiech, z jakim to mówi.

Nie rozmawiam ze strażniczką grobów i kimś zanurzonym w przeszłości. Rozmawiam z pisarką i szefową firmy, która wydaje setkę tytułów rocznie, a przy tym żoną, matką i babcią. Z kimś, kto 20 lat temu jechał rozklekotanym maluchem do kościelnej drukarni po odbiór pierwszej książki Czarnego i na widok rozlanej farby na okładce słyszał od niestropionego zakonnika, że przecież może ją sobie „obtanić", ale dziś przez cały dzień pamięta, że jak tylko się pożegnamy, będzie za pomocą podpisu elektronicznego sygnować sprawozdania finansowe instytucji publikującej najlepszych pisarzy i reporterów Europy Środkowej. Z kimś, kto bardzo uważa, żeby się mentalnie nie zestarzeć, i dba o kondycję fizyczną (z myślą o pieszej wyprawie z Zakopanego do Wołowca wzięła na ten spacer nowe buty do rozchodzenia).

CO SŁYCHAĆ W CISZY Jechałem do Wołowca po lekturze „Pustego lasu" z poczuciem, że to, jak Monika Sznajderman wyobraża sobie pejzaż własnej wsi sprzed lat – pejzaż czarno-biały, kamienisty i jałowy – przegrywa z intensywnością opisu tego, co sama widzi przez okno, a co pełne jest kolorów. Ta opowiadająca straszliwe nieraz historie proza jest niebywale zmysłowa, słońce rzuca tu plamy na porudziałą ścianę lasu i farbuje ją na złoto. Tak jakby dziady zostały skutecznie odprawione, a duchy tego miejsca odzyskały spokój.

Wyjeżdżając, widzę jednak chałupę, której dawny gospodarz się powiesił i w której nikt od tej pory nie umie zagrzać miejsca – i nie mam już w sobie pewności. Dopiero teraz dostrzegam ilość leżącego wciąż wokół śniegu, dopiero teraz czuję przejmujący chłód, dopiero teraz słyszę, jak głośna jest tutejsza cisza. Wcześniej nie chciałem przyjąć do wiadomości, że od listopada do marca światło w zasadzie tu nie wpada.

– Spokój jest rzeczą względną – powiedziała, kiedy wróciliśmy pod dom. Ale przyznała, że udało jej się wyrazić to, co chciała. – Nie chcę mówić, że spłaciłam dług, ale jakoś uzasadniłam swoje bycie tutaj. A teraz chodź, zobaczymy, czy Andrzej ugotował zupę.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

RATOWAŁEM KSIĄŻKI

ABP ALFONS NOSSOL:

Nawet jeśli w książkach jest odczłowieczające myślenie, to nie będziemy mogli się z nim zapoznać, jeśli książkę spalimy. Palenie to oznaka końca kultury.

ARTUR SPORNIAK: Czy widział Ksiądz Arcybiskup palenie książek w gdańskiej parafii?
ABP ALFONS NOSSOL: Jakich książek?

Pokażę zdjęcia. Z Koszalina do Gdańska przyjechał ksiądz ewangelizator, by głosić rekolekcje, i namówił ludzi, aby przynieśli przedmioty mające związek z magią. Potem przed kościołem to wszystko spalili, m.in. figurki kota i słonia, dziecięcą parasolkę Hello Kitty, a także książki o Harrym Potterze, z serii „Zmierzch" i inne.
Jak można książki palić! Wiemy, jaką historię ma palenie książek. Jaką kontekstualność. To tragedia, że się o tym zapomina. Kiedy to się działo?

W wielkopostną niedzielę laetare. Na tym zdjęciu książki pomagają zbierać ministranci. Księża idą palić w strojach liturgicznych...
Do czego dochodzi!?

Proboszcz usprawiedliwiał się, że to były książki traktujące o magii.
Niestety magią się nie zajmuję.

Tłumaczył tak: „Bez Bożego Ducha trudno to pojąć. Człowiek Bożego Ducha widzi, że to szkodzi, że przeszkadza w życiu z Bogiem. I ludzie dojrzeli, by to odrzucić".
Tylko kto rozróżnia, co jest z Bożego Ducha, a co nie jest? Niebezpiecznie jest tak zrzucać wszystko na karb Bożego Ducha. To już się wtedy jest metaewangelizatorem.

Pismo Święte przed magią przestrzega. Nie jest ona groźna?
Groźna dla dzieci, ale nie dla człowieka normalnie myślącego, który potrafi rozróżniać prawdę i fałsz.

Nie jest duchowym zagrożeniem?
Magia może być zagrożeniem dla ludzi niepotrafiących logicznie myśleć. Człowiek daje się porwać urokowi zupełnie innego patrzenia na rzeczywistość. I daje się w ten sposób z normalnego logicznego życia wykołować. Ale tu jest potrzebny specyficznie uległy umysł.
Ale powtarzam, nigdy nie miałem z magią do czynienia. Miałem tyle racjonalnych tematów, którym nawet w części nie dałem rady sprostać, że magia mnie nie mogła zainteresować.

Tymczasem w każdej diecezji zostali powołani egzorcyści. Wielu z nich przestrzega przed zagrożeniami duchowymi. Właściwie powstało osobne duszpasterstwo tym się zajmujące.
Mam do egzorcystów swoisty stosunek. Nie uważam, że powoływanie ich jest zbyt szlachetnym pomysłem. Jeśli już, to na egzorcystę trzeba by powołać anioła, a nie człowieka skażonego grzechem pierworodnym.

Czy egzorcysta-człowiek nie poradzi sobie z Bożą pomocą?
Z Bożą pomocą tak, tylko czy ona przyjdzie na zawołanie?

Jeśli egzorcysta ma mandat biskupa...
Sam mandat nie wystarczy. Mandat nie zmienia człowieka – ani go nie uskrzydla, ani nie pogłębia. W tej dziedzinie trzeba być bardzo ostrożnym.

Wróćmy do sprawy palenia książek.
To oznaka końca kultury. Nawet jeśli w książkach jest odczłowieczające myślenie, to nie będziemy mogli się z nim zapoznać, jeśli książkę spalimy.
Poza tym historia... Tam, gdzie się zaczęło książki palić... Przeżyłem palenie książek. Jak Rosjanie do nas przyszli 17 marca 1945 roku, spalili naszą bibliotekę szkolną – niemieckojęzyczną – z której tak często korzystałem. Wcześniej czytałem, co się dało – począwszy od Karola Maya. Przy płonącym stosie Rosjanie zostawili wartownika. Ale potem go zawołali na obiad. Wtedy przeskoczyłem płot, podbiegłem do palących się książek i trzy z ognia wyciągnąłem.

Jakie?
„Quo vadis" Sienkiewicza (oczywiście po niemiecku), „Fizyka dla wszystkich" z 1942 r. – już wtedy autor pisał o bombie atomowej i o telewizji kolorowej!

Fizyka interesowała Księdza Arcybiskupa?
Bardzo.

A trzecia książka?
To był „Knaurs Lexikon", dzięki któremu nie musiałem nikogo pytać o sprawy, których nie rozumiałem. Wszystko tam miałem. Ta encyklopedia wprowadziła mnie w szeroki świat.

GRAŻYNA MAKARA

W naszym domu mieszkała staruszka – pani Mucha (myśmy mówili: Muszka). Ona mnie nauczyła czytać, zanim poszedłem do szkoły. A uczyłem się na dzienniku głogówieckim – „Oberglogauer Zeitung", którego nakład opłacał hrabia Oppersdorff z Głogówka. Dzięki temu w pierwszej klasie do Bożego Narodzenia miałem już przeczytany cały pierwszy elementarz. Ostatnia czytanka w tym elementarzu była zatytułowana „Wielkie miasto Wrocław", a jej ostatnie zdanie brzmiało: „Wrocław ma jeden z najsłynniejszych uniwersytetów europejskich". Poszedłem do mamy i zapytałem, co to jest uniwersytet. Mama odpowiedziała: „Nie wiem, zapytaj tatę, jak przyjedzie do domu". Tato pracował w Bytomiu i wracał do domu na sobotę i niedzielę. Pomyślałem: „Cały tydzień czekać to długo". Na następny dzień, gdy zaczęła się duża przerwa w szkole, zaczekałem na nauczyciela przy drzwiach. Dzieci wyszły (było nas 43 uczniów w klasie), wyszedł też nauczyciel. Widzi, że stoję, więc pyta: „O co chodzi?". „Czy mógłby mi pan powiedzieć, co to jest uniwersytet?". On na mnie popatrzył z góry w dół i z dołu w górę, i mówi: „Chłopcze, nigdy ci uniwersytet nie będzie groził". I poszedł.

ABP ALFONS NOSSOL (ur. 1932) jest teologiem i ekumenistą; w latach 1977–2009 biskup diecezji opolskiej, emerytowany profesor KUL. Laureat siedmiu doktoratów honoris causa polskich i zagranicznych uczelni. Uczestniczył w dialogu ekumenicznym katolicko-luterańskim i katolicko-prawosławnym. Zasłużony dla pojednania polsko-niemieckiego. Laureat przyznawanego przez „Tygodnik Powszechny" Medalu św. Jerzego.

Musiałem czekać, aż tato przyjechał i mi wyjaśnił.

A tata gdzie pracował?

Był specjalistą od podziemnych chodników – pracował po stronie niemieckiej i polskiej w górnośląskich kopalniach. W czasie wojny nie został wzięty do Wehrmachtu ze względu na specyfikę swej pracy. Inni górnicy byli zastępowani jeńcami rosyjskimi. Ci Rosjanie byli fatalnie karmieni – głodowali. Zawsze do moich obowiązków w sobotę po południu należało iść do naszego piekarza i przynieść od niego wszystkie suche bułki, które się nie sprzedały. Z mamą myśmy te bułki kroili na kawałeczki i moczyli w rozpuszczonym maśle czy margarynie – ponieważ byliśmy liczną rodziną, mieliśmy dużo kartek żywnościowych. Tato w poniedziałek zawoził ten chleb w plecaku do kopalni i w tajemnicy karmił tych Rosjan. Oni się odwdzięczali, strugając z drewna prezenty dla nas. Ja sobie wybrałem czołg. Proszę sobie wyobrazić, że miał ślicznie wyrzeźbione niemieckie znaki, a na odwrocie czerwoną gwiazdę. Wiedziałem, co to jest, bo o czerwonej gwieździe wyczytałem w „Oberglogauer Zeitung". Nie powiedziałem jednak o tym tacie, żeby się nie denerwował.

Ile Ksiądz miał wtedy lat?

Byłem w trzeciej klasie.

Rodzice przeżyli nadejście Rosjan?

Tak. Tato dzięki kontaktom z jeńcami troszeczkę mówił po rosyjsku. Rosjanie ↦

↦ byli zaskoczeni. Potrafił im wyjaśnić, dlaczego nie był w Wehrmachcie.

Wróćmy do palonych książek – to były książki tylko po niemiecku?

Tak. Po polsku były w księgozbiorze na plebanii. Po polsku, a właściwie po śląsku u nas mówili starsi ludzie. W naszej rodzinie – prababcia, która nami się opiekowała zawsze w czasie żniw. Wtedy czytała nam po niemiecku Pismo Święte. Najbardziej mnie interesowały ryciny w tym Piśmie Świętym. Kiedyś wyprosiłem prababcię, żeby mi pozwoliła je pooglądać. Powiedziała, żebym bardzo ostrożnie przewracał stronice, bo to wartościowa księga. Siadłem w kącie, otwieram i... nie umiem nic przeczytać. Okazało się, że ta Biblia była po polsku, a ona nam po niemiecku czytała.

Tłumaczyła?

Na poczekaniu. Prababcia pomagała w nauczaniu religii. A przed czasami hitlerowskimi o języku nauki religii decydowali rodzice: czy po polsku, czy po niemiecku. Dlatego proboszcz nauczył prababcię polskiego, w ten sposób mogła mu pomagać nauczać religii. Gdy odchodził z parafii, podarował jej tę Biblię – śliczną, ilustrowaną, ale po polsku.

A jaką pierwszą książkę po polsku Ksiądz przeczytał?

„Quo vadis" – posiłkowałem się oczywiście tym niemieckim egzemplarzem uratowanym z ogniska.

Zachował Ksiądz te uratowane trzy książki?

Długo trzymałem je w skrzyni na strychu – miałem taką specjalną skrzynię na książki. Ale potem wyjechałem na studia do Nysy, następnie do Lublina i w końcu gdzieś mi się one zawieruszyły.

A jakie były inne ważne książki?

Po maturze zacząłem książki zbierać. Już skrzynia nie wystarczyła. Mój brat był stolarzem i zrobił mi szafę. Wszystkie z tej szafy zachowały się do dziś. To znaczy, już ich przy sobie nie mam. Wszystkie oddałem do biblioteki na odrestaurowanym zamku w Kamieniu Śląskim. 40 tysięcy egzemplarzy.

Trochę się uzbierało...

Bo jak byłem w Lublinie i jak się szło do biblioteki KUL-owskiej, przechodziło się obok księgarni uniwersyteckiej. Te nowe książki kusiły – tak że mi zawsze pieniędzy brakowało. Wszystko wydawałem.

Nałóg?

To już był nałóg. Człowiek nawet nie czytał wszystkich – żeby tylko były pod ręką.

Ksiądz Arcybiskup znał Jana Pawła II. Ostatnio coraz głośniej słychać zarzuty, że nie był dostatecznie wrażliwy na problem pedofilii w Kościele.

I ja go mogę rozumieć, ba, ja bym nigdy sam z siebie nie przypuszczał, że księdza stać na coś podobnego.

Ksiądz był biskupem opolskim od 1977 do 2009 r. Ile takich przypadków było w tym czasie?

Miałem jeden taki przypadek. Przyszła do mnie matka i mi o tym opowiedziała. Na drugi dzień ksiądz ten już nie mógł mszy odprawiać. Zapowiedziałem mu, że już żadnej placówki nigdy nie dostanie w diecezji opolskiej. Chciał zaświadczenie, żeby się starać gdzie indziej. Odmówiłem. Powiedziałem, że nawet jeśli by się nawrócił i starał się o przyjęcie w innej diecezji, musi się przyznać tamtejszemu biskupowi, dlaczego nie może pracować w diecezji opolskiej, a wtedy tamten biskup zwróci się do nas z pytaniem, co i jak, a my mu odpowiemy – to należeć będzie do warunków autentycznego nawrócenia.

I wyjechał do innej diecezji?

Zniknął. Nie wiem, co się z nim stało.

Nie podjął Ksiądz wstępnego badania kanonicznego, by przekazać następnie materiały do Watykanu?

Wtedy jeszcze nie było takiego wymogu. Szczerze mówię – nie chciałem w to uwierzyć.

Wciąż nie potrafimy w Kościele wczuć się w położenie ofiary?

Tak. Wczuć się w ofiarę jest trudniej niż w perspektywę oskarżonego księdza. Jestem przekonany, że Janowi Pawłowi II trudno było uwierzyć, żeby ksiądz mógł być taki nieludzki. Sam to odczułem – niemoc uwierzenia! Przecież ja go znałem, dopuściłem do święceń, sam go święciłem. Żeby ten człowiek był zdolny do tak nieludzkiego czynu?!

Wytłumaczenia tu nie ma. Trzeba za ten czyn ponieść karę. Sprawca sam się odczłowiecza, a „odczłowieczony" nie może być sługą Słowa Bożego. Już się nigdy nie zdobędzie na radykalną proegzystencję – bycie dla innych.

W kapłaństwie siebie w wielu przypadkach trzeba zupełnie wykluczyć, a być radykalnie dla innych. Słowo „radykalny" pochodzi od łacińskiego *radix* – korzeń, być w samym korzeniu. Bycie chrześcijaninem polega na proegzystencji – „byciu dla", a dla kapłana i dla biskupa to „bycie dla" nie ma granic. Jest *in radice*. Stąd celibat ma w tym pomóc.

Ja w każdym razie mając własną rodzinę nie potrafiłbym być całkowicie dla innych. Nie potrafiłbym być księdzem bez celibatu.

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK SPECJALNY PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY

z POLSKĄ AKCJĄ HUMANITARNĄ

W dodatku:

- POMOC, CZYLI WSPÓLNOTA. Dlaczego dzieląc się z innymi, budujemy silniejsze więzi.
- POMOC, CZYLI SAMODZIELNOŚĆ. O mitach na temat działalności humanitarnej.
- POMOC, CZYLI SPOTKANIE. Jak zmieniając los innych, zmieniamy siebie.

Dodatek wraz z „Tygodnikiem" od wtorku 16 kwietnia.

pah
Polska Akcja Humanitarna

Teraz Kościół musi być radykalnie dla ofiar. Niestety z wypowiedzi przewodniczącego Episkopatu i jego zastępcy na niedawnej konferencji, podczas której ogłoszono dane statystyczne na temat przypadków pedofilii, ofiary nie mogły wnioskować, że stoją w centrum troski.

Ale nie można też wnioskować, że nie stoją. Zresztą nie mnie wypowiedzi Episkopatu komentować. Chcę natomiast zacytować słowa arcybiskupa Grzegorza Rysia, z którymi się całkowicie zgadzam: „Roztrwoniliśmy swoje powołanie. Mieliśmy prowadzić ludzi do Boga, a ich zgorszyliśmy. Roztrwoniliśmy charyzmat celibatu. (...) Sprowadziliśmy celibat do uciążliwego prawa, roztrwaniając łaskę, która jest w nim ukryta, charyzmat Boży. Roztrwoniliśmy orędzie, które nam zostało powierzone. Roztrwoniliśmy autorytet. Roztrwoniliśmy wiarygodność!". Ksiądz arcybiskup Grzegorz przepraszał, klęcząc razem ze swoimi biskupami pomocniczymi i księżmi. To jest właściwa postawa.

Episkopat Niemiec na kryzys proponuje „drogę synodalną". Biskupi zamierzają razem ze świeckimi oraz ekspertami zainicjować szeroki dialog na temat podziału władzy w Kościele, sensowności celibatu i możliwości zmian w katolickiej etyce seksualnej. Czy to dobry pomysł?

W ten sposób rozpocznie się historia „gdybania". Nie idzie załatwić gremialnie takich rzeczy. Nie da się ich przesądzić większością głosów. Owszem, nad tym, co ludzkie, zastanawiać się trzeba. Ale to powinni robić specjaliści. Niemcy mówią, że coś jest „*hinterfragt*" – do rozpatrzenia. Dlaczego? Po co? Czy nie ma innego sposobu? Ale wszyscy razem, gremialnie nie damy rady ustanowić jednolitej i najwłaściwszej drogi.

Mamy bazować na Słowie Bożym. Ono jest drogowskazem. O Bogu wiemy tylko tyle, ile sam o sobie objawił. Jan Paweł II powiedział, że najkrótszą drogą do Boga jest inny człowiek. W związku z tym tych dróg jest tyle, ilu jest ludzi. W wytyczaniu dróg nigdy nie będzie pełnej jednoznaczności, bo my nie umiemy myśleć myślami nieskończonymi, myślami Bożymi. Wszystko mamy uwarunkowane kulturowo. Każdy ma to uwarunkowane własnym temperamentem. Omawiany problem rozwiąże tylko radykalne nawrócenie konkretnego człowieka.

ABP ALFONS NOSSOL:

Magia może być groźna dla dzieci, ale nie dla człowieka normalnie myślącego, który potrafi rozróżniać prawdę i fałsz.

Ale Bóg nas nie zostawia samych. Pamiętam, byłem na KUL-u, gdy umarł Pius XII i nastał Jan XXIII. Moi profesorowie pytali: „Co teraz będzie? Po tym wielkim papieżu przyszedł staruszek!". Tymczasem ten staruszek zwołał sobór i przewietrzył Kościół. Owszem, on przewietrzył Kościół, a myśmy się zaziębili.

Gdybyśmy w Kościele usiłowali być więcej „dla" – *in radice*, wtedy nasze chrześcijańskie, człowiecze życie mogłoby się stać bardziej Boże.

Na koniec chciałem zapytać o spotkania Księdza Arcybiskupa z Janem Pawłem II.

Rozmawialiśmy właściwie tylko o sprawach teologicznych. Jan Paweł II był wychowany na tzw. nowej teologii francuskiej. W czasie studiów w Rzymie mieszkał przecież w Kolegium Belgijskim, gdzie mówiło się po francusku. Często zapraszał mnie do siebie. Wolał, żebym przychodził na kolację niż na obiad, bo po kolacji mieliśmy czas. Kiedyś rozmawialiśmy do wpół do dwunastej w nocy. Powiedziałem mu: „Proszę Ojca Świętego, muszę już iść, bo mnie szwajcarzy stąd nie wypuszczą". Odpowiedział: „A to pójdę z tobą".

Kiedyś w rozmowie powiedział, że *théologie nouvelle* w pewnym sensie doszła już do swojego kresu. A ponieważ teologia nie może się zatrzymać, tylko musi się rozwijać nadal, doszliśmy do wniosku, że teraz pałeczkę przejęła teologia niemiecka. Poprosił, abym wskazał mu trzech niemieckich teologów, z których pracami należałoby się zapoznać. Na pierwszym miejscu wymieniłem Josepha Ratzingera.

Miał go pod ręką, jako prefekta Kongregacji Nauki Wiary.

To jeszcze było, zanim go na to stanowisko mianował w 1981 r. Na drugim miejscu wskazałem zmarłego w zeszłym roku Karla Lehmanna, a na trzecim – Waltera Kaspera. Papież odpowiedział: „Dobrze. Teraz nie jestem w stanie się szczegółowo zapoznawać z ich teologią. Proszę mi wymienić trzy dzieła, które warto przeczytać". Wskazałem na „Wprowadzenie do chrześcijaństwa" Ratzingera, „Jezusa Chrystusa" Kaspera i małą książeczkę Lehmanna „Jezus tak, Kościół nie". I kapelan papieża ksiądz Stanisław Dziwisz postarał się zapewne o te książki. W każdym razie wiem, że je Jan Paweł II przeczytał.

Zamierzałem rozmawiać o Kościele, rozmawialiśmy o książkach. Dziękuję za rozmowę!

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

POŻEGNANIE

18 kwietnia 1999 roku, w dzień Święta ku czci Bożego Miłosierdzia,
zmarła moja ukochana Mama

Ś.† P.

prof. dr hab. med.
Alicja Graczykowska-Koczorowska

Człowiek wielkiej dobroci i prawości.
W dwudziestą rocznicę Jej śmierci wierzących proszę o modlitwę

CÓRKA

W sposób szczególny będziemy modlić się w Jej intencji
28 kwietnia 2019 roku, w Niedzielę Miłosierdzia Bożego,
w czasie Mszy św. o godz. 11.30 w kościele oo. Dominikanów w Poznaniu
(intencja zbiorowa).

Pielgrzymi od Mikołaja

JOANNA WIŚNIOWSKA

Maciej Okoński, przeor dominikanów w Gdańsku, wyszedł do dziennikarzy z informacją, której nikt się nie spodziewał. Kościół św. Mikołaja będzie zamknięty do odwołania.

Legenda głosi, że żołnierze radzieccy palący Gdańsk oszczędzili kościół św. Mikołaja ze względu na jego patrona, otoczonego w prawosławnej Rosji szczególną czcią. Wedle innej wersji dali się przekupić gorzałką z piwniczki proboszcza.

W marcu 1945 r. w gruzach legły wszystkie kościoły gdańskiego Śródmieścia. Wszystkie oprócz św. Mikołaja. 78 lat później bazylika dominikanów została zamknięta. Grozi jej katastrofa budowlana.

Jedyna słuszna decyzja

31 października 2018 r. o. Maciej Okoński, przeor dominikanów w Gdańsku, wychodzi do dziennikarzy z informacją, której nikt się nie spodziewa. Podkreśla, że to najtrudniejsza decyzja w jego życiu, ale jedyna słuszna. Kościół św. Mikołaja będzie zamknięty do odwołania.

– Nie możemy dopuścić do tragedii. Ludzie przychodzą do nas, bo nam ufają, a obecnie nie jesteśmy w stanie zapewnić im bezpieczeństwa – mówi. W kościele pojawiają się rusztowania, specjaliści zabezpieczają sklepienie. Z ruchu wyłączona zostaje ulica Świętojańska na odcinku wzdłuż południowej ściany gotyckiej świątyni. Miasto powołuje zespół antykryzysowy.

Latem 2018 r. na sklepieniu południowej nawy pojawiły się pęknięcia i szczeliny. Na początku o szerokości nitki, teraz można w nie włożyć zapałkę. Tam, gdzie można było włożyć palec, mieści się dłoń. Dwa filary zaczynają się zapadać, na posadzce pojawiają się wybrzuszenia. Jeden z łuków sklepiennych przesuwa się o kilka centymetrów.

Dlaczego kościół pęka? Konieczne będą badania geotechniczne. Wiadomo jedynie, że przyczyna tkwi w podłożu. Jedna z hipotez mówi o wysychaniu drewnianych fundamentów głęboko pod murami.

Gdy w październikową środę po południowej mszy zamykano kościelne drzwi, ludzie wbiegali jeszcze na chwilę. Podczas kolędy będą mówić, że udało im się pożegnać z ukochanym Mikołajem.

Dominikanie w Gdańsku

Pierwotny kościół romański powstaje w XII wieku na skrzyżowaniu dwóch szlaków handlowych. Służy mieszkańcom, ale i kupcom oraz żeglarzom z całego świata – to właśnie ich patronem jest w średniowieczu biskup Mikołaj. 22 stycznia 1227 r. kościół obejmują dominikanie, obok stawiają klasztor. W XIV w. kościół jest już za mały, więc dominikanie obok budują nowy, gotycki, istniejący do dzisiaj.

Wraz z reformacją nadchodzą trudne czasy, zakonnicy dwukrotnie muszą opuścić Gdańsk. Wracają w 1578 r. O znaczeniu świątyni świadczą wizyty królów. To właśnie tutaj Zygmunt III Waza odbierze akt elekcyjny – pisemne potwierdzenie wyboru na króla Polski. A król August II w Wielki Czwartek roku 1698 obmyje nogi dwunastu żebrakom.

Wojny napoleońskie przynoszą zniszczenia, a po kasacie w 1840 r. klasztor zostaje rozebrany. Dominikanie wrócą dopiero po zakończeniu II wojny, której ostatnie miesiące przyniosą zniszczenie 90 proc. miasta i wszystkich jego kościołów – poza Mikołajem. To głównie przybysze ze Lwowa, przywiozą ze sobą średniowieczną ikonę Matki Bożej Zwycięskiej.

W latach 60. trafia do Gdańska o. Ludwik Wiśniewski, zakłada tu duszpasterstwo. W Mikołaju zbiera się gdańska opozycja – w latach 70. i w czasie stanu wojennego. To tu na niedzielną mszę chodziła Aleksandra Dulkiewicz, obecna prezydentka Gdańska. Po ’89 roku to nadal ważne miejsce. Jarmark św. Dominika, tłumy zwiedzających, rekolekcje. Dominikanie uczestniczą w życiu miasta.

Ludzie

Na początku stycznia 2019 r. dobiega końca kadencja o. Okońskiego, decyzją kapituły – zgromadzenia wszystkich gdańskich dominikanów – nowym przeorem zostaje 32-letni Michał Osek. To najmłodszy przeor w Polsce, funkcję będzie pełnił przez trzy lata.

Osek pochodzi z katowickiego Giszowca. Do zakonu wstąpił w 2007 r., prezbiterat przyjął siedem lat później. W Gdańsku od dwóch lat.

– Nie byłem zachwycony, że mam jechać do Gdańska – przyznaje. Szybko jednak przekonał się do miasta, w którym o kościele dominikanów mówi się po prostu „Mikołaj”. – Chyba nie znam drugiego kościoła tak ważnego dla tożsamości mieszkańców. Gdańszczanie go po prostu kochają.

Z przenosin do Gdańska początkowo zadowolony nie był również brat Krzysztof. – Na Podkarpaciu, gdzie byłem wcześniej, wszyscy z daleka witali się mówiąc „Szczęść Boże”, tutaj ludzie mają większy dystans. Gdańszczan trzeba się nauczyć – opowiada. Spodobało mu się jednak śro-

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

O. Maciej Okoński, przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku, w zamkniętym kościele św. Mikołaja, październik 2018 r.

dowisko skupione wokół kościoła. I płakał wraz z mieszkańcami, gdy zamykano drzwi Mikołaja.

Ojciec Paweł w kwietniu ubiegłego roku pił kawę w jednej z rzymskich kawiarni, gdy zatelefonował prowincjał z pytaniem, czy chce iść do Gdańska. – Od razu odpowiedziałem, że tak – wspomina. Jest odpowiedzialny za duszpasterstwo akademickie, tak zwaną Górkę.

Zapadlisko

W starym kościele rysy na ścianach nikogo nie dziwią. Bracia dbają o bazylikę, przyglądają się, inwentaryzują, monitorują. Ale 25 czerwca 2018 r. wysyłają pismo do wojewódzkiego konserwatora zabytków z prośbą o zwołanie komisji. Bo przy ołtarzu Przemienienia Pańskiego pojawiło się zapadlisko.

– Myśleliśmy, że przyczyną jest zbutwiała trumna – opowiada o. Osek. Tymczasem na sklepieniu pojawią się widoczne dla każdego spękania. Pod koniec października sytuacja się pogarsza, bracia odgradzają nawę południową. Kilka dni później kościół zostaje zamknięty.

W grudniu płachty czarnej folii przykrywają zabytkowe wyposażenie: baptysterium, drewniane ławy, obrazy, gigantyczne kandelabry, organy i barokowe ołtarze. Rozpoczyna się pierwszy etap akcji ratunkowej, zabezpieczanie konstrukcji i badanie podłoża z wykorzystaniem georadaru. Władze miejskie przekazują na ten cel 142 tys. zł, umowę dotacyjną podpisuje Paweł Adamowicz. Z własnej kieszeni bracia dorzucą 47 tys. Równolegle trwa zbiórka publiczna, gdańszczanie i gdańszczanki są niezwykle hojni. Ale pieniędzy będzie trzeba znacznie więcej.

Zakrystia w torbie

Do tej pory pieniądze z niedzielnej tacy pozwalały opłacić rachunki – wodę i prąd, pensje pracowników – i prowadzić niezbędne naprawy. Za pogrzeb, ślub, chrzciny się nie płaciło, ale zwyczajowo wierni dawali ofiarę na utrzymanie klasztoru – teraz tych ofiar nie ma. Latem źródłem dochodu byli też turyści z całego świata, którzy chętnie zwiedzali Mikołaja i kupowali pocztówki czy przewodniki.

Michał Osek uśmiechając się przypomina pewną anegdotę: – Dziennikarz zapytał kiedyś Ernesta Hemingwaya, jak to się stało, że zbankrutował. Pisarz odpowiedział: „To było stopniowo, a potem nagle". Jesteśmy w podobnej sytuacji, powolutku bankrutujemy.

Dlatego najstarszy z ojców wyjeżdża do innego klasztoru. Kto wie, czy braci nie zostanie jeszcze mniej. Wszyscy kwestują, gdzie się da.

Msze odprawiają teraz w sąsiednich kościołach. Dużo krążą, a wraz z nimi przenośna zakrystia zapakowana do torby.

– Nie zabieramy szat liturgicznych, ale księgi z intencjami mszalnymi, komunikanty, wino, wodę, kadzidło. Nie chcemy żerować na gościnności innych, przecież wędrujemy ze sporą grupą ludzi – tłumaczy ojciec Paweł.

Niedziela zaczyna się w Kaplicy Królewskiej o godz. 8.00, potem torba wędruje na godz. 9.30 do kościoła św. Jana, na 11.30 wraca do Kaplicy, gdzie zostaje do godz. 17.30, żeby na 19.30 znaleźć się w św. Katarzynie.

Kościół zamknięty, więc znikły kolejki do konfesjonałów. Teraz wierni spowiadają się w domku duszpasterskim przy kościele, gdzie siedzibę mają m.in. studenci z Górki. Trochę tam jak w biurze. – Dla wielu to bariera, idą gdzie indziej – opowiada przeor.

Organy grają dalej

Mikołaja zamknięto, ale zabytki pozostały w kościele.

– One mają coś, co konserwatorzy nazywają pamięcią historyczną. Warunki, w których się znajdują, są dla nich najlepsze, źle zniosłyby przeprowadzkę – wyjaśnia Michał Osek. Przypomina, że nawet wtedy, gdy do Gdańska zbliżali się żołnierze radzieccy, z kościoła nie wynoszono ołtarzy. Zabezpieczono je workami z piaskiem. Teraz specjalnie zaprojektowane konstrukcje ochronią ołtarze boczne w razie zarwania się sklepień.

A zabytki są tu nie byle jakie. Gotycka Pieta z początku XV wieku, malowidła na północnej ścianie prezbiterium z ok. 1430 r., przedstawiające Mękę Pańską. W bogato zdobionym XVII-wiecznym ołtarzu głównym znajduje się współczesny mu obraz Augusta Ranischa, przedstawiający ↦

↦ św. Mikołaja klęczącego przed Chrystusem, który wręcza mu księgę, oraz Matkę Bożą, która wkłada na jego głowę mitrę.

Wszystko przykryte, wszystko uśpione. W pustym kościele tylko organy nadal grają, kilka razy w tygodniu. Bo z organami jest jak z samochodem – nieużywane się psują.

Rano zakonnicy sprawdzają monitoring, to już odruch. Jest też alarm: kiedyś, gdy się włączał, wiadomo było, że to gołąb wleciał do świątyni. Dzisiaj pierwsza myśl – coś runęło.

– Teraz jestem spokojniejszy – opowiada przeor – ale w pierwszych tygodniach byłem w dużym stresie. Gdy tylko coś zawyło, od razu myślałem: do kogo zadzwonić, kogo najpierw poinformować.

Wigilia

– Gdy Mikołaja zamknięto, powiedziałem przeorowi, że nie widzę w tym momencie miejsca dla siebie – wspomina brat Krzysztof. Od zawsze pracował w zakrystii – co teraz ze sobą zrobić? Wszystko miał zaplanowane na zbliżające się święta Bożego Narodzenia, gdzie jakie kwiaty staną, gdzie szopka i jak to wszystko będzie wyglądało. Od przeora usłyszał, że ma odkryć swoje bycie w Gdańsku na nowo. Szopkę zrobi u karmelitów w św. Katarzynie.

To ojciec Tadeusz, przeor gdańskich karmelitów, zaprosił dominikanów. – Mieliśmy w Gdańsku międzyzakonną pasterkę – uśmiecha się o. Michał. – Karmelita celebrował mszę, dominikanin mówił kazanie. To przykład dla ludzi, że w sytuacjach kryzysowych pomoc najbliższych jest kluczowa.

W Wigilię pani Maria, która pracuje w dominikańskiej kuchni, zwykle rano przygotowywała potrawy, zakonnicy odgrzewali je sobie wieczorem. Tym razem zrobiła tylko kapustę i kompot z suszu – resztę przynieśli wierni i rodziny zakonników. – Nie byliśmy w stanie tego wszystkiego zjeść, trzeba było mrozić jedzenie – dodaje o. Paweł.

Ludzie tęsknią

– Wiele osób mówiło, że zamykamy im dom, że czują się bezdomni. Ale my sami jesteśmy uchodźcami – komentuje brat Krzysztof. Ojciec Paweł woli określenie „pielgrzymi": – Podczas mszy w św. Katarzynie witam wszystkich „pielgrzymów od św. Mikołaja".

Przecież wszędzie jest ten sam Pan Bóg? Ojciec Paweł przytakuje. – Ale jest pewna nasza wrażliwość, która wynika z charyzmatu. Bóg stał się człowiekiem, my więc go chwytamy także przez człowieka, dociera do nas przez zmysły, ciało. Począwszy od kazania, przez piękny śpiew, całe otoczenie. Ludzie czują, gdy kadzidło śmierdzi, kwiaty są sztuczne, a świece plastikowe – opowiada. W internecie ludzie piszą, że czekają na powrót liturgii do dominikańskiego kościoła.

Zamknięty kościół to szansa, żeby przemyśleć, po co tu jesteśmy, co mamy robić, co chce nam powiedzieć Duch Święty, czego oczekują od nas ludzie – mówią dominikanie.

– Dla nas jest to mniejszy problem niż dla wiernych. Jednego dnia jesteśmy tu, a następnego dnia może już nas tu nie być. Bezdomność jest w naszych genach. Ale dla ludzi, którzy się tu wychowali, przyjmowali chrzest, pierwszą komunię, pobierali się, Mikołaj jest częścią ich opowieści wiary – mówi o. Paweł.

Na Górce

Poniedziałek: czytanie Pisma, medytacja. Wtorek: jutrznia, wspólne śniadanie. Środa: kuchnia św. Mikołaja, próba scholi, msza święta. Czwartek: próba scholi, msza akademicka, kolacja przy świecach. Piątek: adoracja. Sobota: wspólne wyjście do kina czy do teatru. Niedziela: msza akademicka, nieszpory.

Duszpasterstwo akademickie Górka działa prężnie. Studenci mówią, że u dominikanów nie jest „kościółkowo". Ciągnie ich tu. W ramach Kuchni św. Mikołaja gotują co tydzień 50 litrów zupy dla bezdomnych i potrzebujących. Jest co kroić. Seler jest dla twardzieli, za cebulę mało kto chce się brać, choć i tak potem wszyscy wspólnie płaczą.

– Teraz, gdy Mikołaj jest zamknięty, trudniej nam o pieniądze. W naszym kościele była na to specjalna puszka, leżały ulotki – opowiada Paweł, student Politechniki Gdańskiej, na Górce od trzech lat.

Studenci przygotowują też znaną w całym Gdańsku wigilię dla potrzebujących w jednej z hal gdańskiej stoczni.

– Każda z kilkuset osób otrzymuje paczki, są w nich kosmetyki, przybory toaletowe, ciepłe skarpety i rękawiczki, witaminy, jedzenie – wymienia Karolina, studentka psychologii i iberystyki. Wszystko to trzeba gdzieś zgromadzić, przechować, a potem zapakować. Robią to w swoim saloniku oraz Czarnej Sali. Teraz, gdy w sali odbywają się msze, miejsca jest mniej. Korzystają z życzliwości Szkoły Podstawowej nr 50.

Gdy Mikołaj został zamknięty, studenci się wystraszyli. Co dalej z ich salonikiem? Mają tam pianino, gitarę, mnóstwo książek, wygodne kanapy, to tu się spotykają, to tu rozmawiają.

– Gdyby salonik zamknięto, stracilibyśmy swoje miejsce – wyjaśnia Paweł. Salonik jednak został. To właśnie tutaj odbywają się niedzielne spotkania. Zwykle jeśli ktoś trafia na Górkę zachęcony mszą akademicką, zagląda tu w niedzielę. Zanim Paweł odważył się wstąpić na Górkę, krążył dookoła, bał się, jak przyjmie go grupa. Teraz przejmuje się, że ktoś tak nieśmiały jak on w ogóle nie trafi na Górkę. W Mikołaju było lepiej, wystarczyło przejść za ołtarz...

Mikołaj znaczy piękno

Krystyna trafiła tu w połowie lat 90., wówczas był tu jeszcze o. Michał Zioło, który później został trapistą. Przyprowadziła ją przyjaciółka – bo liturgia sprawowana z wielkim pietyzmem, piękna muzyka i zakonnik, którego słucha się z zapartym tchem. A Krystyna szukała czegoś prawdziwego, co ją przekona.

– Nie będzie przesady, gdy powiem, że to miejsce ukształtowało moją duchowość jako osoby dorosłej – mówi. W kościele widzi piękno, w końcu Bogu należy się to, co najpiękniejsze, najbardziej wzniosłe, a kościół św. Mikołaja taki jest. Zazwyczaj siada w okolicach ukochanej ikony Matki Bożej Zwycięskiej.

O zamknięciu Mikołaja dowiedziała się z Facebooka. Gdy przechodzi teraz obok świątyni, czuje, jakby w rzeczywistości powstała potworna wyrwa. – W rzeczywistości, którą uznawałam za niezmienną, stałą, naturalną, za ostoję mojego życia. Za duchowy dom.

Irena, dowiedziawszy się o zamknięciu Mikołaja, całą noc nie spała. Ona i jej mąż. Do kościoła ma 120 kroków, widać go z jej okien.

– Jesteśmy przerażeni niepewnością i ogromem wydatków. To nasz ukochany

kościół – mówi. Tu ochrzczono jej dzieci, tu brały śluby, tu ma być chrzest jej wnuków. Powtarza, że jest w szoku, że trudno wyrazić, co czuje.

Będzie zmartwychwstanie

W czasach PRL-u zomowcy biegali za Waldemarem z pałkami. Gdy już w wolnej Polsce robił remont w Mikołaju, rozpoznał twarz mężczyzny z firmy ochroniarskiej. Rozpoznał, bo ten mężczyzna był przedtem w ZOMO.

– Niedawno mnie jeszcze gonił z pałą, teraz stoi i pilnuje kościoła – nie może się nadziwić.

Waldemar jest elektromonterem, pracuje w firmie budowlanej. W połowie lat 90. dostał telefon od ówczesnego przeora: w Mikołaju akurat zmieniają dach, potrzeba kogoś, kto zrobi odgromówki. I już został. Co chwilę coś jest do roboty.

Gdy kościół zaczął pękać, przeor powiedział Waldemarowi, że potrzebny jest teraz jak nigdy. Gdy przychodzą specjaliści, naukowcy, ktoś musi pokazać im, gdzie mogą się podłączyć, gdzie rozstawić sprzęt.

– Wszystko w czarnych foliach, jak nieboszczyk w worku, ale wiem, że będzie zmartwychwstanie – opowiada. Bo dla Waldemara katastrofa to szansa. Bo dzięki niej w kościele przeprowadzony zostanie remont. Nie chce używać wielkich słów, po prostu podwija rękawy i działa.

– Płacz nie pomoże – mówi.

Szansa i wyzwanie

Zakonnicy nie płaczą. Widzą nadzieję.

Ojciec Paweł: – Dla mnie ta sytuacja jest symboliczna. Zaczęło się od sufitu, ale to nie on jest problemem, tylko fundamenty i podłoże. Każdy kryzys, każde pęknięcie przypomina nam o fundamentach. Dla mnie te zdarzenia to przyśpieszony kurs z ubóstwa, pytanie o nasz charyzmat, o to, jak żyjemy. Kiedy żyło się nam spokojnie, nie było potrzeby mierzenia się z takimi pytaniami. Teraz nie można ich zlekceważyć. Zamknięty Mikołaj to niezwykła szansa, żeby przemyśleć, po co tu jesteśmy, co mamy robić, co chce nam powiedzieć Duch Święty, czego oczekują od nas ludzie. Żeby dobrze wykorzystać ten czas, potrzeba nam trzech składowych: wiary, odwagi i braterstwa. Możemy wyjść z tego o wiele silniejsi.

Ojciec Michał: – My, dominikanie, mamy elastyczny charyzmat, zawsze spadamy na cztery łapy. W zeszłym roku podczas obchodów dnia życia konsekrowanego papież Franciszek powiedział, że to, co dla świata jest tragedią i zagrożeniem, dla życia zakonnic i zakonników stanowi wyzwanie. I tak to widzę. To, co nam się przytrafiło, to tragedia, ale równocześnie wyzwanie, żeby być bliżej ludzi i stworzyć wspólnotę, która się nawraca.

– No dobrze, ale czy coś jeszcze się zmieniło? – dopytuję przeora.

– Tak, zapach. Kiedyś kościół pachniał, świecami, kadzidłem. Po dwóch tygodniach nie było już tego zapachu. Teraz już wiem, jak pachnie smutek.

© JOANNA WIŚNIOWSKA

Wpłaty na ratunkowy remont kościoła św. Mikołaja w Gdańsku można kierować na subkonto klasztoru:
77 1140 1065 0000 3926 9300 1018
Klasztor Dominikanów, ul. Świętojańska 72, Gdańsk

REKLAMA

SERGIO ANELLI / BEW

Cristofano Fini, Powołanie synów Zebedeusza, XV w., kolekcja prywatna, Florencja

Uważność

MONIKA I MARCIN GAJDOWIE

Człowiek przestaje być posiadaczem prawdy. Ma raczej świadomość, że prawda objawia się w spotkaniu różnorodności.

Przez kolejne tygodnie Wielkiego Postu rozważamy fragment Ewangelii św. Jana. Dzisiaj część piąta i ostatnia. Pogrubioną czcionką zaznaczamy zdanie, nad którym chcemy się tym razem pochylić.

„Dwaj uczniowie (...) poszli za Jezusem. Jezus zaś odwróciwszy się i ujrzawszy, że oni idą za Nim, rzekł do nich: »Czego szukacie?«. Oni powiedzieli do Niego: »Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?«. Odpowiedział im: »Chodźcie, a zobaczycie«. **POSZLI WIĘC I ZOBACZYLI, GDZIE MIESZKA, I TEGO DNIA POZOSTALI U NIEGO"** (J 1, 37-39).

Pozostali u Niego... czyli gdzie? – zapyta czytelnik. Wiemy już, że wyrażenie „pozostali u Niego" możemy przetłumaczyć z języka greckiego także jako „trwali u niego". To samo słowo pojawia się w Ewangelii Janowej w innym miejscu: „Trwajcie [pozostańcie, mieszkajcie] we mnie, a ja będę trwał [pozostawał, mieszkał] w was" (por. J 15, 4). Autorom tekstu nie chodzi więc raczej o jakieś specyficzne miejsce na ziemi, lecz o stan wewnętrzny i wynikający z niego sposób bycia (życia). Uczeń poszukujący mieszkania Nauczyciela, rozpoznaje ze zdumieniem, że... sam jest przez Niego zamieszkiwany! Czyż nie to właśnie wyśpiewywał w swoich „Wyznaniach" św. Augustyn? „Późno Cię umiłowałem, Piękności tak dawna a tak nowa, późno Cię umiłowałem. W głębi duszy byłaś, a ja się błąkałem po bezdrożach i tam Ciebie szukałem, biegnąc bezładnie ku rzeczom pięknym, które stworzyłaś. Ze mną byłaś, a ja nie byłem z Tobą".

Kiedy ktoś doświadczy, że jest zamieszkiwany przez Boga, nic nie może pozostać takie samo.

Życie się upraszcza. Cieszę się, gdy mam. Nie rozpaczam, gdy nie mam. Opada lęk, co przejawia się głębokim pokojem serca. Jak dobrze jest wyprzęgnąć się z nieprzytomnej bieganiny, która jest udziałem tak wielu. Jak dobrze jest nie musieć udowadniać swojej wartości i nie drżeć ze strachu przed odrzuceniem. Jak cudownie jest odkrywać, że wszystko zmierza w dobrym kierunku i nawet jeśli na zewnątrz szaleje burza, to na dnie naszej łódki Chrystus śpi spokojnie (por. Mk 4, 38). Pojawia się ten stan, który nazywamy przytomnością (uważnością) – *habitare secum* – mieszkanie z samym sobą, w którym pogodnie przyjmujemy siebie, nie musząc się już przed nikim prężyć.

Odkrywamy, że Słowo mieszka między nami. Teraz staje się jasne, dlaczego uczniów jest dwóch. To, czego szukali, i Ten, którego szukali, objawia się w relacji. Odmienność drugiego człowieka przestaje przerażać. Znika agresja, tak przecież związana z lękiem, a pojawia się zaciekawienie i chęć spotkania. Wzbudzana przez ego przemożna potrzeba przekonania innych do własnego punktu widzenia ustępuje radości ze spotkania z kimś czasem bardzo odmiennym. Różnica zdań i przekonań, różnica religii i światopoglądów przestaje być zagrożeniem, a staje się wartością. Człowiek przestaje być posiadaczem prawdy; ma raczej świadomość, że prawda objawia się w spotkaniu różnorodności. Czyż stara teologiczna zasada nie mówi, że Bóg jest *coincidientia oppositorum* – współistnieniem, zbieżnością przeciwieństw?

Wszystko, cała rzeczywistość, zaczyna przeświecać Bogiem. Człowiek wydobywa się z iluzji oderwania od całości stworzenia. Złudzenie, w którym żył dotychczas, znika – jednostka przestaje mieć wrażenie, że istnieje sama z siebie. Odkrywając, że jest maleńką częścią całości, zaczynamy z szacunkiem odnosić się do innych stworzeń. Pamiętając, że atomy węgla, które my i inne istoty w sobie nosimy, powstały miliardy lat temu w jądrach wielkich gwiazd, widzimy, że „stworzenie z upragnieniem oczekuje na objawienie się Synów Bożych" (por. Rz 8, 15). A jeśli człowiek ma „panować" nad światem, to nie przez władzę, lecz pokorną służbę.

Jednym słowem, „pozostawać u Niego" oznacza odkryć, że królestwo Boże jest w nas, a największa jest w nim Miłość.

W ten sposób kończymy nasze ćwiczenia wielkopostne. Kończymy? A może przeciwnie – rozpoczynamy? Przy praktyce, którą zaproponowaliśmy tydzień temu, proponujemy pozostać (stała pora, stały czas trwania, stała postawa i stała forma modlitwy). Dołóżmy do niej świadomie podjęty, codzienny gest bezinteresownej miłości: do człowieka, do zwierzęcia, do świata. Nawet najmniejszy gest zaczyna mieć znaczenie: dobre słowo, czułe spojrzenie, wsparcie materialne i psychiczne, może burak na talerzu zamiast mięsa. Jeśli podjęte z miłości, nabierają wartości nieskończonej... ©

MONIKA I DIAKON MARCIN GAJDOWIE *są małżonkami od 28 lat, rodzicami czworga dzieci, terapeutami i rekolekcjonistami.*

SZYMON

Hołownia:
Wśród ludzi w drodze

Kryzys społecznego postrzegania duchownych (na który niektórzy duchowni swoją korporacyjną pychą albo, dla odmiany, maskowanym rozwagą tchórzostwem ciężko zapracowali) jest dla wielu powodem, by znów pytać o rolę, jaką w Kościele mogliby odgrywać świeccy. Wiele razy pisałem już o praktykowanym u nas „podhalańskim" modelu eklezjologii zakładającym, że Ewangelia jest w sensie dosłownym podręcznikiem hodowli: księża uwierzyli, że naprawdę są pasterzami, więc ich zadaniem jest latać za nami z kijem i zaganiać; my zaś uważamy się za owce, których aktywność ogranicza się do tego by (raz w tygodniu) beczeć i dawać się strzyc.

Tęsknota (i wołanie o ratunek), z jaką wielu z nas zwraca się dziś ku świeckim, nie może jednak ograniczyć się do pytania o to, w jakie nowe przyparafialne aktywności można by ich teraz ubrać. Czy oddać im do zarządzania kościelne finanse, budowy, szkoły, wydawnictwa? A może rozszerzyć grono lektorów, nadzwyczajnych szafarzy, uruchomić na serio diakonat stały? To wszystko ważne, ale ważniejsze dzieje się na innym poziomie. Obserwowany kryzys jest szansą nie tylko na reformę instytucjonalnego Kościoła. To okazja do tego, by przypomnieć sobie, jak fundamentalną rolę odgrywają w nim „zwykli" wierni (to zabawne i straszne, że trzeba nam o tym przypominać).

„Bez nich wyglądalibyśmy raczej głupio" – miał napisać o świeckich kard. John Henry Newman. Dopowiedzmy: w ogóle byście, drodzy księża, nie wyglądali – bo zwyczajnie by was nie było. W Kościele katolickim nie ma kapłańskich dynastii (jak to się czasem zdarza w Kościołach wschodnich, gdzie nie ma celibatu); tu ksiądz, zakonnik, zakonnica są dziećmi świeckich rodziców. A decyzji o wierze czy niewierze ludzie nie podejmują przecież wyłącznie na podstawie wizyt w punktach obsługi duszpasterskiej. Chrześcijaństwa nie przeżywa się tylko w przestrzeni wydzielonej parafialnym płotem. Chrześcijaństwo to pożywiający się Dobrą Nowiną w środku „całego świata" księgowi, sportsmenki, lekarki, piloci, gospodynie domowe, robotnicy. To ich życie, decyzje i słowa głoszą Ewangelię tam, gdzie nie dotrze żaden ksiądz czy inny oficjalny przedstawiciel. Nasza religia od samego początku tak właśnie była pomyślana. Jezus nie miał siedziby swojego ruchu, w której w godzinach urzędowych uzdrawiał i katechizował. On i jego uczniowie ciągle byli w drodze, docierali do ludzi tam, gdzie ci byli. Nie ograniczali się do komunikatu: „Jak chcecie, to sobie przyjdźcie".

Kościół instytucjonalny i dziś nie ma więc prawa się „ustacjonarniać". Winien to być rzutki, mobilny zespół obsługi ludzi będących w drodze. W niebie nie będzie sanatoriów o podwyższonym standardzie „tylko dla księży". Chrystusowe kapłaństwo – w które włączony zostaje przez pomazanie krzyżmem każdy ochrzczony – wypełni się tam we wszystkich.

Powtarzam to do znudzenia: znam w tym moim Kościele dziesiątki wspaniałych duchownych. Znam też i takich, którzy ludzi na potęgę od Kościoła odpychają. W ostatnich miesiącach coraz częściej doświadczam jednak (albo dopiero teraz umiem to zauważyć), jak genialnie Ewangelię głoszą mi czasem ludzie, z którymi kręcę się poza świątynią, wokół spraw codziennego dnia. Mam znajomego przedsiębiorcę. To jedyny mój znajomy przy poważnych pieniądzach (a mam ich więcej niż paru), który zamiast tworzyć karkołomne konstrukcje dowodzące, że „Jezus chce, by twój portfel był zbawiony", naprawdę wie, że wszystko, co ma, to „zasoby powierzone". Więc zamiast kupować bentleye i jachty, rozdaje je na prawo i lewo parafiom, artystom, potrzebującym jałmużny ludziom, dzięki czemu kiedyś nie będzie może najbogatszy na całym cmentarzu, ale zostawi po sobie pamięć dobrego człowieka. Choć on deklaruje, że przyjdzie w tym roku na moje rekolekcje, dla mnie rekolekcjami jest każda kawa z nim, wspólne odkrywanie wartości drogi (a nie tylko celu), dzielenie się świadomością doświadczanego każdego dnia – czy droga wiedzie akurat pod górkę, czy z górki – błogosławieństwa. Podobnie jak nie zgodzi się nigdy na występ na liście najbogatszych, tak nigdy nie uzna się za ewangeliczny autorytet, choć dla mnie jest nim jak mało kto. Polscy biskupi nauczyli mnie nie potrzebować biskupów. Jaką radością jest jednak dla mnie bycie w tym samym Kościele co ów świecki człowiek, który nauczył mnie więcej niż wszystkie listy pasterskie, jakie słyszałem w życiu!

W tym samym tygodniu spotykam się z lekarzem, profesorem, który kiedyś pomógł mi w leczeniu spustoszeń spowodowanych przez przywiezionego z Afryki pierwotniaka, i do którego muszę się zgłaszać na kontrolę. Precyzyjniej: to jedyne kontrole, na które chcę się zgłaszać, bo wiem, że znów usiądziemy w gabinecie i przez godzinę będziemy dyskutować o Jezusie, którym mój znajomy (zgadaliśmy się o tym na pierwszej wizycie) zafascynowany jest bardziej ode mnie. Chrześcijański radykalizm jest dla niego tożsamy z tym twardym, życiowym. Za każdym razem konstruktywnie się wstydzę słuchając, jak z zapałem mówi mi o konkrecie, jakim jest wybór Jezusa; albo o tym, że *ad mortem defeacatam* możesz debatować o „chrześcijańskich wartościach", ale kiedy odpowiesz na wezwanie „Idź za mną", nie możesz trochę tą drogą iść, a trochę nie iść. Widzę, jak rozmawia z pacjentami. To nie jest lekarz, który jest chrześcijaninem – to chrześcijanin, który jest lekarzem. Znowu, jak z owym przedsiębiorcą, robimy inwentaryzację codziennych cudów, konstatujemy, że choć modlimy się „przyjdź Królestwo Twoje", ono nie przychodzi, bo ani Boga nie słuchamy, ani siebie – więc co się dziwić, że mamy tu piekło zamiast jedności.

Kardynał. Siostra zakonna. Bezdomny. Inny profesor, tym razem neurochirurg. Nauczycielka. Architekt. Sprzedawca samochodów. Pielęgniarka. W tym Wielkim Poście w ramach odświeżających duszę ćwiczeń raz w tygodniu przeglądam listę kontaktów w telefonie, z wdzięcznością uświadamiając sobie, ilu nauczycieli wiary dobry Bóg porozstawiał obok mnie, pozwolił mi dzielić z nimi czas i drogę. Byłbym niespełna umysłu, gdybym narzekał na to, że w chrystusowym Kościele nie głosi mi się Ewangelii, że Duch Święty nie działa w nim przez swoich ludzi, że ogień gaśnie. Nie gaśnie. Po prostu pali się też w innym miejscu niż to, na które przyzwyczailiśmy się gapić. ©

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok.

Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: **rodzina.gov.pl**

Szczegółowy regulamin prenumeraty na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

+

KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

19. Dni Tischnerowskie

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 15/2019

WOJCIECH DRUSZCZ / EAST NEWS

Powrót zdrowego rozsądku

KS. JÓZEF TISCHNER:

Żeby porozumieć się z drugim człowiekiem, trzeba mu coś mądrego powiedzieć nawet w największej burzy emocji.

JĘDRZEJ KOGUT / MAT. PRASOWE

Robert Więckiewicz czyta artykuł ks. Tischnera „Darowane pięć minut"

NATALIA ADASZYŃSKA: Czytając teksty zamieszczone w naszym piśmie, zauważył Ksiądz z pewnością kilka pojawiających się tam koncepcji idealnego układu profesor–uczeń. „Moim ideałem – napisał ktoś – jest rozmowa, nie nauczanie (...), tylko w żywej, bezpośredniej rozmowie udaje się, jak sądzę, uniknąć podstawowych błędów rozumowania". Ktoś inny sądzi, że związek między studentem a profesorem „nie może polegać tylko na mniej lub bardziej chętnie spełnianych wzajemnych usługach", chodzi raczej o „potrzebę prezentacji własnego systemu wartości profesora", propozycję, z której „można skorzystać lub nie". Jeszcze inaczej widzi to ten, kto napisał: „Na przedzie sunący dostojnie Mistrz, za nim drepczący w pokorze uczeń. Poczucie dystansu, wzajemnego szacunku, wiara w konieczność wspólnej pracy". A zatem dialog i partnerstwo czy autorytet i dystans? Który model podsuwa Księdzu doświadczenie pedagogiczne?

KS. JÓZEF TISCHNER: Według mnie trzeba rozróżnić i osobno rozpatrzyć dwie sytuacje – wykładu i seminarium; z tych dwóch źródeł wypływa moje doświadczenie. W PWST jestem uprzywilejowany: mam i wykład, i seminarium na wydziale reżyserii, a poza tym tam wszystko odbywa się kameralnie. Na PAT (Papieska Akademia Teologiczna; obecnie: Uniwersytet Papieski im. Jana Pawła II – red.) i UJ, gdzie prowadzę wykłady, kontakt bezpośredni znika, trudno wychwycić indywidualne rysy poszczególnego słuchacza.

Ale zacznijmy od wykładu. To nie to samo, co odczyt. W moim mniemaniu słuchacz na wykładzie ma być świadkiem rodzenia się myśli, co znaczy, że wykład w pewnym stopniu jest improwizowany, w pewnym zaś nie. Wykładowca nie bardzo wie, jaka myśl mu się urodzi w czasie wykładu, co nie znaczy, żeby był do tego całkiem nieprzygotowany. I w tym sensie wykład jest zaskakujący dla samego profesora i dla uczniów. A z drugiej strony, żeby myśl rzeczywiście mogła się urodzić, trzeba się strasznie dużo napracować. Sytuacja wykładowcy jest bowiem taka: ma przed sobą słuchacza i za sobą pewne teksty, które musi słuchaczowi przekazać. Jest pomostem między, powiedzmy, Platonem a słuchaczem, który w zasadzie jest nieprzygotowany na percepcję Platona i który nie bardzo umie myśleć tak, jak myśleli klasycy filozofii.

Myślenie słuchacza jest kształtowane na literaturze pięknej albo na matematyce, fizyce, czyli na tym, co Heidegger nazywa kalkulacją. I tu jest główny problem: trzeba coś w tym słuchaczu zniszczyć. Zniszczyć jego przekonanie, że z tym, z czym przyszedł na wykład, pojmie to, o co chodzi. A z drugiej strony – trzeba być wiernym tekstowi, który się ma za sobą. Bycie mistrzem nie polega tutaj na tym, żeby być wzorem, żeby przekazywać hierarchię wartości. W ogóle mistrz to jest ten, który się umie skryć za tym, co mówi, za pewnym procesem myślenia. Wykład powinien być przygodą z myśleniem.

A seminarium?

Seminarium powinno być przede wszystkim wytworem słuchaczy, uczestników. Profesor ma, że tak powiem, tylko funkcję kontrolną. W szkole teatralnej, w której robimy stale cykl pod tytułem „Filozofia dramatu", gdy „kontroluję" dyskusję, bieg myśli, nie chodzi mi o to, żeby nauczyć filozofii, tylko żeby przy pomocy filozofii pokazać, jak można odczytywać dramat. Ale przede wszystkim dramat ludzki, a nie tekst literacki. Dramat, który jest w samym człowieku. I pod tym względem dobieramy teksty: Kierkegaarda, Nietzschego, Platona. Teksty, które ukazują dramat od strony filozofii.

A słuchacze na wydziale reżyserii to ludzie bardzo zdolni. O ogromnej wrażliwości. Indywidualiści, których gubi często własny indywidualizm i przez to potem nie potrafią nawiązać kontaktu z aktorem i publicznością. Jedynym czynnikiem ułatwiającym mi porozumienie z tymi ludźmi jest myślenie. Moim zadaniem – zadaniem skrywającego się mistrza – jest próba dokonywania przemiany uczuć, doznań, na słowo, które zawiera myśl. Próba wprowadzenia słuchaczy w świat duchowych pokarmów, którymi sam się karmię.

O doświadczeniach z jednym z takich pokarmów, przekazywanym studentom

w czasie stanu wojennego, opowiadał Ksiądz czytelnikom „Res Publiki". Napisał Ksiądz o „Fenomenologii ducha" Hegla – że pracując nad tym dziełem można „lepiej zrozumieć kilka pojęć, bez których nie możemy się obejść, gdy myślimy o naszym miejscu w historii". Patrząc rozumnie w świat przy pomocy tekstów filozoficznych, ułatwiamy sobie zrozumienie historii, „z pieśni żebraczej, śpiewanej przez wszystkie epoki, wyciągamy mądrość dla siebie".

Właśnie. Filozofia jest po to, żeby rozumieć świat tu i teraz. Kiedyś paradoksalnie Leszek Kołakowski, krytykując Gomułkę, powiedział, że Gomułka dopatruje się nawet u Sofoklesa aluzji do Polski Ludowej (bo jakieś tam wystawienie „Antygony" natrafiło na przeszkody ze strony cenzury). Otóż to jest paradoks, ale filozofia właśnie na tym polega, że aluzje do Polski Ludowej, do mnie, do pani, są już u Platona. Kiedy wykłada się Hegla, to tak naprawdę nie Hegla się wykłada, tylko bierze się go jako kanwę do wyłożenia naszych problemów. On miał podobne problemy. Głównym pytaniem Hegla było, jak połączyć konieczność z wolnością – a czyż to nie jest i nasz problem?

Podobnie Kierkegaard, z którym również przeżywaliśmy przygodę podczas stanu wojennego. Wykładałem na reżyserii „Dziennik uwodziciela". Proszę sobie wyobrazić, jak to może funkcjonować w czasie, kiedy jest stan wojenny, kiedy człowiek patrzy na człowieka instrumentalnie. Bo w stanie wojennym nagle staliśmy się instrumentami jakiejś siły historycznej, która nami miotała. Trochę bez własnej woli jedni byli po tej stronie, inni po tamtej. Zastraszeni, wściekli, źli, zawiedzeni. Ni stąd, ni zowąd byliśmy w jakimś teatrze marionetek. Poruszaliśmy się niby tak, jak chcieliśmy, ale po polu ruchu wyznaczonym przez jakiegoś tajemniczego reżysera.

A tu nagle tekst Kierkegaarda, gdzie otwiera się świat całkowicie inny: wolny, swobodny, gdzie tylko od nas, od Kordelii i Johannesa zależy, co on w niej zobaczy. I na tym wykładzie czuliśmy się wolni, niepodlegli, ważni. Jednocześnie odsłaniał nam się Kierkegaard od innej strony. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, czym jest u niego wolność – wolność polegająca na tym, by żyć tym, co niepowtarzalne, ulotne, jedyne, a nie tym, w czym działają wielkie mechanizmy historii. Na tym polega urok filozofii: to nauka, która karmi człowieka. Jeśli nie karmi, to lepiej iść na piwo.

Inny temat rozważań Księdza to kolejny pretekst do przedstawienia mistrzowi wątpliwości ucznia. Napisał Ksiądz o pracy: „ma to do siebie, że przede wszystkim łączy ludzi – i na tym polega jej siła społeczna, siła budowania wspólnoty". Dla wielu z nas – czemu daliśmy wyraz w piśmie – budowanie wspólnoty jest trudne i dodatkowo skomplikowane przez poczucie zagubienia w rzeczywistości. W ostatnim czasie nie tylko w nas to poczucie zagubienia mogło się pogłębić. Czy sądzi Ksiądz, że tak często słyszane teraz słowa o porozumieniu mogą stać się „czynnym myśleniem", a tym samym potwierdzić, że praca jest rzeczywiście „płaszczyzną autentycznego porozumienia między ludźmi", „przejawem i wyrazem dobrej woli człowieka"?

Najpierw chciałbym powiedzieć jedno: kryzys pracy, w którym uczestniczymy dzisiaj, to jest coś takiego, czego jeszcze w historii Polski nie było. Jaką głowę trzeba mieć, jak ideologicznie ta głowa musi być uporządkowana, żeby do tego doprowadzić! I tak sobie pomyślałem przewrotnie, że to jest szansa dla mnie – jeśli po mnie zostanie opis tej katastrofy. Wyobraża sobie pani, jak cenne będą wszelkie takie opisy? Bo to bardzo dużo znaczy. W pewnym sensie z tego żyją pisarze, publicyści, sam, gdzie mogę, namawiam ludzi na pisanie pamiętników, reportaży, wspomnień. Jest rzeczą ogromnie ważną, żeby nie marnować tej szansy, bo sytuacja jest naprawdę ciekawa.

Natomiast dzisiaj owo głośne „porozumienie", „perspektywy" to z filozoficznego punktu widzenia pojęcia raczej komiczne niż tragiczne. Tak naprawdę nie ma nieporozumienia. Ono byłoby wtedy, gdybyśmy zaczęli się wieszać. A my jednak w Polsce cały czas patrzymy na siebie trochę z przymrużeniem oka. Nie chcę przez to umniejszać tragizmu. Twierdzę tylko, że w socjalizmie największą rewolucjonistką jest matka natura: ona sprawia, że rewolucjoniści się starzeją, idą na emeryturę, umierają, a młode pokolenie... nie rozumie nic z tego, czym żyło stare. To nie do wyobrażenia, jak młodzi nie rozumieją języka tych, którzy mnie uczyli marksizmu-leninizmu. Jak pusta stała się ta mowa. Jak ideologia marksistowska odeszła od zdrowego rozsądku. Powrót zdrowego rozsądku, który może nastąpić wraz z marszem pokoleń, to jest jedyna rewolucja, która jest nadzieją dla nas. Szansa ↦

Jak doszło do tej rozmowy

JESIENIĄ 1988 R. przeprowadziłam wywiad z ks. prof. Józefem Tischnerem dla uczelnianego pisma warszawskiej PWST – „99" (nazwa wzięła się stąd, że publikacje w nakładzie nieprzekraczającym 99 egzemplarzy nie podlegały cenzurze). Byłam studentką Wydziału Wiedzy o Teatrze, z którego wywodziła się większość autorów i redaktorów. Mieliśmy po 19-20 lat, stanowiliśmy dość hermetyczne środowisko, skoncentrowane na własnych młodzieńczych bolączkach – a czas schyłku komunizmu sprzyjał przeżywaniu wszystkiego wspólnie. Dziś z zakłopotaniem, ale i rozczuleniem konstatuję, że równie często jak do klasyków, nawiązywaliśmy do tekstów kolegów (widać to w moich naszpikowanych cytatami pytaniach). A zarazem bardzo potrzebowaliśmy autorytetów.
Przypomnę, że o komórkach czy o komunikacji internetowej nikomu się wtedy nie śniło. Nie pamiętam, czy zdobyłam numer telefonu stacjonarnego księdza, czy umówiłam się, zagadnąwszy go na korytarzu krakowskiej PWST. Pamiętam za to, że nie musiałam specjalnie zabiegać o spotkanie – profesor Tischner, „ten" Tischner, potraktował małolatę reprezentującą szkolną gazetkę składaną na powielaczu bardzo poważnie.
Gdy teraz po latach czytam słowa profesora: o istocie wykładu, o relacji mistrz–uczeń, odnajduję tę samą charakterystyczną Tischnerowską ponadczasową mądrość, z którą nieodmiennie styka się czytelnik jego dzieł. Mam nadzieję, że odniosą Państwo podobne wrażenie.

© NATALIA ADASZYŃSKA

↦ porozumienia – jak go zwiemy – jest po stronie zdrowego rozsądku. To nie chodzi o rozprawianie przy okrągłych stołach. Niech gazeta będzie gazetą, a buty butami. Jedno spotkanie mniej, jedno więcej – niech po prostu pociągi jeżdżą punktualnie. Ale nie wiem, czy to jest odpowiedź na to, co panią boli.

Rzeczywiście, nie jest to proste. Ale pozostaje jeszcze kilka bolączek ze słowem „kryzys" związanych. Jedna szczególnie dotyczy naszego środowiska. Pozwoli Ksiądz, że zapytam, jakie stanowisko zajmuje Ksiądz w dyskusji nad sytuacją teatru, uważanego dziś za chory organizm? Jaki wpływ na pogląd Księdza ma znajomość najmłodszego pokolenia ludzi teatru?

Patrząc na owoce szkoły, w której uczę, muszę powiedzieć jedno: wszyscy – studenci i profesorowie – bluźnią na tę szkołę, na ten wydział, co słysząc, ma się wrażenie, że reżyserzy rzeczywiście marnują czas. Ale przecież już za moich czasów wyszli ze szkoły Bradecki, Babicki, Kocur (który jest we Wrocławiu po Grotowskim). Wyszedł także Teatr Witkacego. Ludzie, którzy się liczą.

Więc?

Cóż, ja nie twierdzę, czy jest kryzys, czy go nie ma. To jest tak ogólne pojęcie, że trudno je opisywać. Jeżeli jest, to przede wszystkim kryzys polityki w teatrach, polityki, która się gubi, która nie wie, co z tym fantem zrobić. I druga rzecz. Jeżeli jest kryzys, to raczej kryzys polegający na bezmyślności. Może to moja wada zawodowa, ale ja wzdragam się przed teatrem bezmyślnym. Dla mnie każda sztuka, w której jest nie tylko brak myśli, ale w której jest głęboki konflikt z myśleniem – to rzecz nie do zniesienia. Toleruję złą grę (dykcji złej nie lubię, bo już co jak co, ale tę umiejętność aktor powinien posiadać), nie toleruję bezmyślności.

Człowiek jest rzeczywistością niesłychanie bogatą. Ma wiele doznań, uczuć, emocji, które w sztuce można eksponować. Ale nie należy zapominać, iż aby porozumieć się z drugim człowiekiem, trzeba mu coś mądrego powiedzieć nawet w największej burzy emocji. Przykładem Szekspir, u którego nad wszystkimi uniesieniami góruje motyw mądrości. Bo powiedziano, że człowiek to homo sapiens – istota mądra. A skoro chcemy jeszcze promieniować na inne kraje poprzez teatr, to koniecznie musimy o tym pamiętać.

Czy więc ten eliksir na nasze bóle, czy – jak chcieliśmy – choć kilka słów otuchy, to po prostu: myśleć? Nie czekać na Godota, nie szukać Godota...?

Nie trzeba. Chociaż można i należy tego myślenia uczyć się u mistrzów. Sądzę, że mnie na przykład źle uczono. Po pierwsze – nie nauczono mnie obcych języków, epoka stalinizmu w tym punkcie była bardzo słaba. Po drugie – nie uczono mnie na klasykach. Brak tego jest ogromną stratą dla człowieka, dla człowieka sztuki zwłaszcza. Myślę, że Platon, Augustyn, trochę stoików, Pascal, z filozofii dramatu jednak ten niesłychany Hegel, którego trzeba zgryźć, „Krytyka władzy sądzenia" Kanta, z romantyków Schelling, mistrzowski Kierkegaard, ze współczesnych (trochę gorzej, bo nie ma po polsku zbyt dużo tekstów) filozofowie dialogu, mniej Buber, bardziej Levinas, Rosenzweig, Żydzi komentujący teksty biblijne, trochę Heidegger – to jest materiał na dwa, trzy lata seminariów. To wystarczy: nie żeby znać filozofię, ale żeby się troszkę nią nakarmić. Ona poszerzy duszę. Potem mistrz, jako ten pomost, powinien usunąć się na zasłużoną emeryturę, a słuchacz – stać się pasem transmisyjnym.

© Rozmawiała NATALIA ADASZYŃSKA

NATALIA ADASZYŃSKA *jest teatrolożką i animatorką kultury; długoletnia redaktorka pisma „Teatr", kierowniczka literacka w Teatrze Rozmaitości i Teatrze Dramatycznym, organizatorka kilkudziesięciu spotkań z ludźmi kultury pod szyldem „Evviva l'arte". Tytuł wywiadu pochodzi od redakcji.*

Kod człowieka

WOJCIECH BONOWICZ

To nie jest tak, że pewnego dnia zniknie nienawiść. Ale każdy powinien wykonać ten krok, na który go stać.

To słowa o. Ludwika Wiśniewskiego, wypowiedziane w sobotę 30 marca podczas gali Nagrody Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera. „Szanowni państwo, niech was nie ciągnie do miejsc, które są pełne zawiści, pełne złej mocy – wtórował mu Jerzy Owsiak. – Ludzie mają jakąś manię: »Wiesz, jaką wstrętną rzecz widziałem w internecie? Chodź, to ci pokażę«. No kurczę blade, po co mi to pokazujesz, po co mnie wprawiasz w zły nastrój?!".

Ten motyw osobistej odpowiedzialności za to, jak wygląda świat, przewijał się przez wszystkie spotkania 19. Dni Tischnerowskich oraz towarzyszącej im Strefy Tischnera. 23 marca, na tydzień przed galą, z Dworca Głównego w Krakowie wyruszył „Pociąg do Tischnera". Na kilka godzin wagon siódmy składu, który zmierzał do Sopotu, zmienił się w miejsce dyskusji o poznawaniu świata, o zjawiskach, które budzą obecnie największy niepokój, i o tym, jak można im przeciwdziałać. Wagonem podróżowali laureaci Nagrody Tischnera z lat ubiegłych: Wojciech Jagielski, Miłosz Puczydłowski, Jerzy Sosnowski i Kuba Wygnański. Pytania zadawała m.in. młodzież z VII Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie. „Czy warto pracować nad sumieniem?" – zapytała jedna z uczennic. „Tak – odpowiedział Puczydłowski – bo życie jest walką, przede wszystkim walką z samym sobą".

„Człowiek. Nowe wyzwania" – tak brzmiał temat tegorocznych Dni Tisch-

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 15/2019
REDAKCJA: Maciej Müller, Wojciech Bonowicz
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
SKŁAD: Marta Bogucka KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk
PARTNERZY DODATKU
ERGO HESTIA
UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE
60 znak

nerowskich (27-30 marca). Mowa była szczególnie o trzech: wyzwaniu, jakim dla etyki jest postęp technologiczny, zwłaszcza w medycynie; wyzwaniu, jakim jest silna emocjonalizacja życia publicznego i coraz bardziej przemocowy język; oraz wyzwaniu, przed którym stanęła współczesna filozofia: czy jest możliwe zbudowanie adekwatnej antropologii, która pozwoliłaby zrozumieć, co właściwie dzieje się z człowiekiem i między ludźmi?

„W naszym kraju przestaliśmy się rozumieć. Przestaliśmy właściwie ze sobą rozmawiać. Umiemy się nie kłócić, bo tego nie umiemy, lecz tylko się obrażać" – mówił rektor UJ prof. Wojciech Nowak, otwierając w czwartek 28 marca debatę zatytułowaną „Tischnera myślenie o człowieku". Jej uczestnicy, filozofowie Marek Drwięga, Adam Workowski i Wojciech Załuski, zastanawiali się nad tym, czy Tischnerowska filozofia dramatu przystaje do naszych czasów i jak wygląda na tle innych współczesnych propozycji filozoficznych.

„Żeby mówić o wolności czy demokracji, trzeba mieć jakąś koncepcję antropologiczną. I tak jest u Tischnera: wszystko zostaje odniesione do człowieka" – stwierdził Załuski. Z kolei Drwięga zwrócił uwagę, że Tischner potrafił połączyć indywidualistyczne i dialogiczne ujęcie człowieka, mówiąc, że człowiek jest „bytem dla siebie poprzez drugiego". A według Workowskiego charakterystyczną cechą myślenia Tischnera było podkreślanie, że w życiu „chodzi o wielką stawkę: można wszystko wygrać albo wszystko przegrać".

Temat wyzwań etycznych płynących z osiągnięć w nauce i technice podjął gość główny tegorocznych Dni, chirurg i transplantolog Marek Krawczyk. W swoim wykładzie zwrócił uwagę, że transplantacja od początku „należy do najbardziej kontrowersyjnych zabiegów medycyny klinicznej". Kontrowersje budziło i budzi zarówno pobieranie organów od osób nieżyjących, jak i od żywych dawców; w tym drugim przypadku lekarz podejmuje bowiem działania skutkujące pogorszeniem zdrowia dawcy, co jest sprzeczne z zapisaną w kodeksie etyki lekarskiej zasadą dobroczynności.

> Wojciech Załuski: Żeby mówić o wolności czy demokracji, trzeba mieć jakąś koncepcję antropologiczną. I tak jest u Tischnera: wszystko zostaje odniesione do człowieka.

Do tych zasadniczych dylematów z czasem dołączyły kolejne. Prof. Krawczyk mówił m.in. o zjawisku turystyki transplantacyjnej i sprzedawaniu organów przez obywateli z ubogich krajów zamożnym biorcom. „Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby istniał uregulowany prawnie system takich transakcji?" – pytał. Obecnie dawca (sprzedawca) nie ma żadnych zabezpieczeń medycznych. Z drugiej strony – czy wprowadzenie takich regulacji nie zachwieje relacjami pacjent–lekarz?

Wśród nowych wyzwań prelegent wymienił też chirurgię robotową, mało inwazyjną i dlatego bardzo cenioną, stawiającą jednak w nowym kontekście problem odpowiedzialności za ewentualne błędy. Te i podobne tematy pojawiły się później w „Jaskini filozofów", w której obok wykładowcy zasiedli etycy s. Barbara Chyrowicz i Piotr Grzegorz Nowak oraz psychiatra prof. Bogdan de Barbaro.

O trzecim ze wspomnianych wyzwań dyskutowano podczas panelu „Jak przerwać spiralę nienawiści?". Rozmowa, w której uczestniczyli założycielka Fundacji Mimo Wszystko Anna Dymna, Małgorzata Olasińska-Chart z Polskiej Misji Medycznej, animator działań społecznych Kuba Wygnański oraz kapelan więzienny ks. Józef Krawiec i dyrektor Zakładu Karnego w Sierakowie Śląskim ppłk Janusz Zdobylak, dotyczyła sytuacji, w których między ludźmi pojawiają się „krzywe zwierciadła", zniekształcające obraz jednej i drugiej strony, i w efekcie pobudzające nastroje wrogości. „Naturalną reakcją w sytuacjach zagrożenia jest izolacja, a następnie próba porozumienia się wewnątrz swojej wspólnoty, takie myślenie bardziej ławicowe – mówił Wygnański. – Ale siłą człowieka jest to, że może wznieść się ponad naturę".

Anna Dymna, mówiąc o ludziach z niepełnosprawnością intelektualną, którzy wciąż nie mogą się doczekać uznania w oczach innych, dodała: „Powinniśmy im pomagać, bo oni kiedyś będą nas ratować. Oni mózgami nie niszczą uczuć, bo nie potrafią. Mają w sobie kod człowieczeństwa. W naszym świecie my coraz mniej patrzymy się w oczy. My nawet nie musimy mieć »krzywych zwierciadeł«, ponieważ my nie patrzymy na drugiego człowieka".

Podobnych spostrzeżeń padło w trakcie 19. Dni Tischnerowskich wiele. Zarówno podczas opisanych spotkań, jak i pozostałych – choćby dyskusji wokół artykułu Tischnera „Darowane pięć minut", przeczytanego przez Roberta Więckiewicza (aktor wyznał, że z tekstami Tischnera zetknął się, gdy zaczął poszukiwać Boga i „szukał obejścia", pozwalającego ominąć to, co mu w Kościele przeszkadzało).

Zwieńczeniem refleksji nad naszą odpowiedzialnością i możliwością zmiany były słowa, które padły podczas wspomnianej gali. Obok o. Wiśniewskiego oraz Lidii i Jerzego Owsiaków, Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera odebrał w tym roku młody historyk Łukasz Garbal. Dziękując za wyróżnienie, przypomniał postać Jana Józefa Lipskiego, „prezydenta" antykomunistycznej opozycji: „Mam głębokie przekonanie, że on mówiłby dzisiaj o roli inteligencji, o tym, że są pewne zobowiązania tradycyjne, które trzeba sobie przypomnieć, o tym, że tę inteligencję trzeba doceniać (władza to też powinna robić), i o tym, żeby nie pozwolić dzielić się przez jakieś uprzedzenia, nienawiści. Lipski mówił, że patriotyzm jest z miłości i do miłości ma prowadzić". ©

Głównym organizatorem 19. Dni Tischnerowskich był Uniwersytet Jagielloński we współpracy z Akademią Sztuk Teatralnych im. St. Wyspiańskiego, Instytutem Myśli Józefa Tischnera, Społecznym Instytutem Wydawniczym Znak (wraz z Fundacją Kultury Chrześcijańskiej „Znak") oraz Uniwersytetem Papieskim Jana Pawła II. Współorganizatorzy: Akademia Górniczo-Hutnicza oraz Grupa ERGO Hestia. Partnerami wydarzenia byli: Wyższa Szkoła Europejska im. ks. J. Tischnera, Stowarzyszenie Drogami Tischnera, De Revolutionibus Books & Cafe, „Tygodnik Powszechny", Radio Kraków i Miesięcznik „Znak". Organizatorzy bardzo serdecznie dziękują Miastu Kraków za finansowe wsparcie tegorocznej edycji Dni Tischnerowskich.

Życie bez focha

JĘDRZEJ KOGUT / MAT. PRASOWE X 3

LIDIA NIEDŹWIEDZKA-OWSIAK i **JERZY OWSIAK**, laureaci Nagrody w kategorii „inicjatyw duszpasterskich i społecznych współtworzących »polski kształt dialogu Kościoła i świata«", poznali się w szkole średniej, w jednym z warszawskich ekonomików: on nie dostał promocji do następnej klasy, a ona chodziła o rok niżej. Zgodziła się pomagać mu w nauce, ale korepetycje z księgowości szybko przerodziły się w coś poważniejszego. Po maturze ona dostała się do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, a on próbował bezskutecznie do Akademii Sztuk Pięknych. Najpierw pracował jako terapeuta, potem trafił do pracowni witrażu prowadzonej przez Teresę Marię Reklewską. Pobrali się, kiedy Lidka była w połowie studiów. W 1979 r. urodziła się pierwsza córka – Ola. W 1987 r. wzięli ślub kościelny („Myślałem takimi kategoriami, że coś uregulowałem, coś rozliczyłem, coś ważnego się stało" – mówił po latach Bartkowi Dobroczyńskiemu), a w 1989 r. na świat przyszła Ewa.

3 stycznia 1993 r. odbył się pierwszy finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jurek był już wtedy znany jako gospodarz audycji muzycznych w Rozgłośni Harcerskiej, w Trójce, a także w drugim programie TVP („Róbta, co chceta, czyli rockandrollowa jazda bez trzymanki"). Wskakiwał na scenę podczas koncertów zespołu Voo Voo i z miejsca potrafił zaczarować publiczność: „Wita was Towarzystwo Przyjaciół Chińskich Ręczników, witają wszystkie dobre okoliczności naszej pokręconej rzeczywistości, wita was chwila dobrej pogody, która już nadpływa jak uśmiechnięta kromka chleba pozdrawiająca wszystko i wszystkich". Słuchacze i widzowie polubili go za niekonwencjonalne pomysły i oryginalny sposób prowadzenia. Był kolorowy, pełen energii – jego znakiem rozpoznawczym stały się czerwone spodnie i żółta koszula.

Mimo to pierwszy finał WOŚP był eksperymentem i mógł się nie udać. Wielu narzekało, że nazwa za długa, że muzyka nie taka, że nie powinno się kwesty na poważne cele (wtedy – pomoc chorym na serce) łączyć z radosną zabawą. Ale Owsiak ufał swojej intuicji i nie zawiódł się: zebrano (w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze) prawie dwa i pół miliona złotych. Wtedy z Lidką postanowili, że założą fundację, która zajmie się rozdzielaniem zebranych pieniędzy. Zarejestrowali ją jeszcze w marcu tego samego roku. W kolejnych edycjach finału sumy podwajały się, potrajały, a potem szły już w dziesiątki milionów. Niemniej głosy krytyki nie milkły. Któregoś razu Owsiak usłyszał od ks. Tischnera: „Niech pan to robi tak, jak pan to robi. Jak pan będzie to robił skromniej, zbierze pan tyle, co dziad pod kościołem". W bieżącym roku Orkiestra zebrała ponad 170 milionów.

Środki ze zbiórki przeznaczane są na różne cele, w ostatnich latach głównie na zakup sprzętu ratującego życie najmniejszym dzieciom oraz poprawę stanu opieki medycznej dla seniorów. Fundacja organizuje też m.in. szkolenia z pierwszej pomocy. Jurek jest na froncie: to on każdego roku szaleje w studiu telewizyjnym aż do zupełnego zdarcia gardła. Do obowiązków Lidki należy kontakt z beneficjentami: oddziałami szpitalnymi i lekarzami. Rzadko bywali nagradzani razem, jako małżeństwo. Odbierając Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera, apelowali, żeby „nie iść w stronę focha" i nie dzielić się z innymi złymi, krzywdzącymi wiadomościami. Jury Nagrody napisało w werdykcie: „uczą radości pomagania i pokazują, że dobro nie ma pokoleniowych, narodowych czy światopoglądowych granic".

© WOJCIECH BONOWICZ

Biograf u źródła

ŁUKASZ GARBAL (rocznik 1976) został w tym roku uhonorowany Nagrodą Znaku i Hestii im. księdza Józefa Tischnera za dwutomową książkę „Jan Józef Lipski. Biografia źródłowa". Wyróżniono go w kategorii „publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne, która uczy Polaków przyjmować »nieszczęsny dar wolności«".

Laureat wywodzi się ze środowiska lubelskiego – ukończył polonistykę, a potem doktoryzował się na KUL, był związany z Ośrodkiem Brama Grodzka – Teatrem „NN", który łączy działania artystyczne z obywatelskimi, niestrudzenie przywracając pamięć o wielokulturowej historii Lublina. Po latach studiów przeniósł się do Warszawy, gdzie pracuje w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską (oddziale Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza). W ciągu ostatniej dekady zasłynął jako edytor, biograf Lipskiego i znawca twórczości Gombrowicza. Oprócz monumentalnej biografii Lipskiego wydał: „»Ferdydurke«. Biografia powieści", „Edytorstwo. Jak wydawać współczesne teksty literackie", „Prezydent opozycji. Krótka biografia Jana Józefa Lipskiego". Spośród jego prac edytorskich wymieńmy opracowanie pism Jana Józefa Lipskiego (m.in. „Słowa i myśli. Szkice wybrane", „Dziennik 1954-1957", „Idea Katolic-

kiego Państwa Narodu Polskiego”) oraz korespondencji Jana Józefa Lipskiego z Jerzym Giedroyciem („Listy 1957-1991”).

Droga intelektualna Łukasza Garbala może wydawać się kręta. Jeśli jednak bliżej się jej przyjrzeć, widać, że jest konsekwentna i nieprzypadkowa. W jego działaniu rozmaitość pasji i wrażliwość obywatelska nie konkurują ze sobą, lecz coraz mocniej się ze sobą zrastają, czego zwieńczeniem jest opowieść czy raczej przypowieść o życiu i myśli Jana Józefa Lipskiego. Fascynacja Gombrowiczem pozwoliła mu zanurzyć się w klimacie Polski międzywojennej, naznaczonej sporami między frakcją endecką i piłsudczykowską. Benedyktyńska praca nad tekstami źródłowymi i archiwami otwarła przed nim świat materialnych śladów przeszłości, wyczuliła na wagę faktów i znaczących detali, które unieważniają łatwe uogólnienia czy ideologiczne dogmaty. Janem Józefem Lipskim zainteresował się dzięki Piotrowi Kłoczowskiemu, który przekonał go, że postawa tego nieformalnego prezydenta opozycji antykomunistycznej to dziś odtrutka na nacjonalistyczne resentymenty i głębokie podziały wśród Polaków. Dodatkowym bodźcem do pracy mogła być też świadomość, że Lipski przyczynił się do pierwszego powojennego wydania „Ferdydurke”.

Może wydawać się zaskakujące, że w kategorii publicystyki została nagrodzona biografia. Kto jednak po nią sięgnie (i zarwie kilka nocy, bo trudno się od niej oderwać), nie będzie się dziwił. Ta potężna co do kalibru i objętości książka (dwa tomy to prawie dwa tysiące stron!) nie jest pracą archiwisty, ale zaangażowanego czterdziestolatka, który poprzez rekonstrukcję życia i myśli Jana Józefa Lipskiego włącza się w spory o dzisiejszą Polskę. Podtytuł „źródłowa” można potraktować mniej literalnie, bo biografia pokazuje czyste źródło nowoczesnego patriotyzmu. Patriotyzmu otwierającego się na inność i w imię dobra wspólnego szukającego porozumienia ponad podziałami.

Łukasz Garbal kończy swoją książkę uwagą, że istnieje w Warszawie ulica Jana Józefa Lipskiego, ale nikt na niej nie mieszka. Dzięki „biografii źródłowej” możemy zbiorowo zamieszkać we wspaniałym dziedzictwie Jana Józefa Lipskiego i uwierzyć, że Polska może być inna – mniej skłócona, bardziej uśmiechnięta i w sensie elementarnym solidarna. © ŁUKASZ TISCHNER

Dwa koniki

Nagrodę Znaku i Hestii im. księdza Józefa Tischnera w kategorii „pisarstwa religijnego lub filozoficznego, stanowiącego kontynuację »myślenia według wartości«” otrzymał w tym roku **O. LUDWIK WIŚNIEWSKI OP**. Został wyróżniony za książkę „Nigdy nie układaj się ze złem. Pięćdziesiąt lat zmagań o Kościół i Polskę”, która jest owocem jego wieloletnich przemyśleń teologicznych, mądrościowych i obywatelskich.

Ojciec Wiśniewski (rocznik 1936) jest teologiem, duszpasterzem, publicystą i legendarnym działaczem opozycji antykomunistycznej. Do zakonu dominikanów wstąpił w 1952 r., a w 1961 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Studiował teologię i filozofię. Najpierw był duszpasterzem akademickim w Gdańsku, później w Lublinie, Wrocławiu i Krakowie. Formował tysiące młodych ludzi, których spora część współtworzyła później opozycję antykomunistyczną. Wśród jego wychowanków byli: Aleksander Hall i Arkadiusz Rybicki z Ruchu Młodej Polski w Trójmieście (nauczyciele śp. Pawła Adamowicza), lubelskie środowisko Spotkań (m.in. Bogdan Borusewicz i Janusz Krupski), a także niepokorna młodzież Wrocławia (m.in. Bożena Szaynok, Rafał Dutkiewicz i Jarosław Obremski). W marcu 1977 r. podpisał „Apel do społeczeństwa polskiego”, pierwszy dokument Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).

Przełomowym wydarzeniem w życiu ojca Wiśniewskiego był grudzień 1970 r., kiedy na własne oczy widział w Gdańsku płonący gmach komitetu wojewódzkiego partii. Zobaczył wówczas, jak rodzi się nienawiść, która tak łatwo prowadzi do przemocy. Pod wpływem tamtych wydarzeń na Wybrzeżu ojciec Wiśniewski zaczął propagować w Polsce model obywatelskiego nieposłuszeństwa oparty na idei *non violence*.

Po transformacji ustrojowej ojciec Wiśniewski pracował w Krakowie, a potem przez niemal sześć lat w Sankt Petersburgu. Obecnie mieszka w Lublinie. W ostatnich latach głośne stały się jego listy i wypowiedzi publiczne, w których potępia upolitycznienie polskiego Kościoła i działania jego przedstawicieli, które przeczą duchowi Ewangelii.

Jego książka „Nigdy nie układaj się ze złem. Pięćdziesiąt lat zmagań o Kościół i Polskę” jest lekturą zdumiewającą i budującą. Zdumiewającą, bo w spisie treści sąsiadują ze sobą listy-polemiki adresowane do Edwarda Gierka (1976), Adama Michnika (2001), a potem polskich biskupów (2017). W tym pierwszym ojciec Wiśniewski przeciwstawiał się programowi ateizacji społeczeństwa, w drugim polemizował z rozumieniem stanu wojennego jako dopuszczalnego mniejszego zła, w trzecim apelował o deklerykalizację polskiego Kościoła i przestrzegał przed działaniami (lub zaniechaniami), które tworzą klimat przyzwolenia dla nienawiści. Jego teksty są krystalicznym przykładem „myślenia według wartości”, bo ojciec Wiśniewski pokazuje, jak imperatyw sumienia wyrazić w dialogu. Jego nierzadko mocne stwierdzenia przepełnione są szacunkiem dla polemistów i poczuciem, że chodzi o większą sprawę niż rząd dusz.

Jak wyznał niedawno podczas gali wręczenia Nagrody, jego konikami są wolność i sumienie. To wolność stoi na straży autonomii sumienia, które nie przestaje obowiązywać nawet wtedy, gdy błądzi. Posłuszeństwo sumieniu jest autentyczne, gdy opiera się na osobistym przekonaniu, a nie uległości wobec zewnętrznego autorytetu. Ojciec Wiśniewski, jak niegdyś John Henry Newman, przekonuje, że nie ma innej drogi do praktykowania wartości ewangelicznych. © ŁUKASZ TISCHNER

NIE POZNAJĄ NAS PO LUNGI

Władze Bangladeszu wracają do pomysłu przeniesienia tysięcy zbiegłych z Birmy Rohingów na bezludną wyspę w Zatoce Bengalskiej. Nadal bez zgody samych zainteresowanych, za to już z błogosławieństwem ONZ.

MAREK RABIJ

Smród zmienia się wraz z porą dnia. Do południa, gdy gleba paruje resztkami pomonsunowej wilgoci, jest najbardziej intensywny, ale miesza się ze zdrową wonią ziemi, przez co wydaje się mniej dokuczliwy.

Najtrudniej znieść go późnym popołudniem i wczesnym wieczorem. W rozgrzanym szałasie powietrze zastyga między plastikowymi płachtami ścian, jak gdyby próbowało wydobyć cuchnące miazmaty z każdego przedmiotu. Nawet na klepisku chaty, w której z rodziną mieszka 22-letni Mohammad Atarullah, osiada niewidzialna, ale wyraźnie wyczuwalna kołderka zapachu zgniłych jaj.

– Codziennie budzimy się z bólem głowy – Mohammad, który właśnie wrócił z lasu, gdzie zbierał drewno, do rozmowy wkłada świeżą koszulę. – Od miesięcy śpimy z żoną na ziemi, która cuchnie. Dziecku zrobiłem hamaczek, który na noc wieszam z metr nad ziemią. Może dzięki temu nie nawdycha się tyle trucizny co my. Z drugiej strony – rozgląda się po okolicy – wszystko tutaj teraz cuchnie i grozi biegunką. Nie ma tygodnia, żeby ktoś nie pochorował się od brudnej wody.

Z głównej drogi przecinającej obóz Balukhali do szałasu Mohammada schodzi się kilkadziesiąt metrów, po schodach wydłubanych w gliniastym zboczu, które jest zbyt strome, by zbudować na nim coś więcej. Chaty stoją dopiero na dnie wąwozu, wciśnięte rzędem pomiędzy zbocze i rozlewisko nieczystości spływających z okolicy. Woda ma bladozieloną barwę, na brzegach zbiornika zebrał się kożuch plastikowych śmieci zmieszanych z gnijącymi odpadami organicznymi, a z dna stale wydostają się na powierzchnię bąble siarkowodoru. To nim cuchnie także klepisko w szałasie Atarulli.

Trzy tygodnie temu – jak mówi Mohammad, do którego prawie rok po pierwszym spotkaniu dodzwoniłem się przez komunikator WhatsApp zainstalowany w telefonie tłumacza – 26 rodzin mieszkających w tej części Balukhali odwiedzili przedstawiciele władz obozowych. Pytali o warunki mieszkaniowe, choroby i problemy z osuwającymi się zboczami. Przynieśli też nowe dywaniki modlitewne i trochę witamin dla dzieci, a kobietom wręczyli po nowej chuście.

Mohammad: – Potem wyciągnęli do podpisu jakieś dokumenty. Zapytałem, co to, bo nie czytam po bengalsku. Wtedy zaczęli kręcić, aż w końcu przyznali się, że to zgoda na przeprowadzkę na wyspę Bashan Char, gdzie ponoć zbudowali dla nas obóz lepszy od tego tutaj. Nie podpisałem. Nikt z sąsiadów się nie zgodził. Za to Nurul, dwie chaty dalej, tak się wkurzył, że skoczył na urzędników z pięściami. Musieliśmy go siłą odciągać.

Bo Bashan Char, jak przekonuje Mohammad Atarullah, to nazwa, która wśród Rohingów wywołuje strach lub wściekłość. A najczęściej jedno i drugie.

Oto ci sami bangladescy bracia w wierze, którzy niedawno przyjęli Rohingów pod swój dach, teraz podstępem lub może nawet siłą chcą wygnać ich na bezludną wyspę. Sądząc choćby po reakcji Mohammada, temat rzeczywiście budzi wielkie emocje. – Przez ostatnie lata żyliśmy w Birmie jak w więzieniu. A teraz mielibyśmy dobrowolnie zamknąć się w więzieniu na wyspie pośrodku morza? – krzyczy 22-latek. – Przysięgam, łatwiej będzie nas zabić niż stąd przenieść.

Symbolika węzłów

Bashan Char. Thengar Char. Char Piya. Różne nazwy tego samego skrawka lądu, wystającego nieśmiało ponad wody Zatoki

MAREK RABIJ

MOHAMMAD ATARULLAH: *Przez ostatnie lata żyliśmy w Birmie jak w więzieniu.*

Bengalskiej – właściwie już w delcie rzeki Meghna, która przecina Bangladesz z północy na południe.

Char w tutejszej odmianie bengalskiego to po prostu wyspa. Dla Rohingów, którzy w Birmie parali się głównie rolnictwem, morze to jednak żywioł obcy. Choć nie na tyle, by nie zdawali sobie sprawy, że na przełomie lata i jesieni, kiedy przez Zatokę przewalają się cyklony, Bashan Char zmieni się w więzienie, a być może śmiertelną pułapkę.

Tropikalny sztorm może przecież na tygodnie odciąć wtedy wyspę od lądu. Jak w takich warunkach władze wyobrażają sobie systematyczne dostawy leków, żywności i wody pitnej? A co z transportem ciężko chorych do szpitali, bo przecież nawet ONZ nie postawi pośrodku oceanu kliniki, w której leczyć będą najcięższe przypadki?

W Balukhali urzędnicy pokazywali Rohingom fotografie domów na wysokich palach i z czerwonymi blaszanymi dachami.

Na wyspie powstało już miasteczko dla ok. 140 tys. osób. Mają być targowiska, place zabaw, szkoły koraniczne i meczety, słowem – wszystko, czego potrzeba do normalnego życia.

– Wszystko pięknie – przerywa zirytowany Mohammad Atarullah. – Ale jak już się znajdziemy na tej wyspie, nie będzie odwrotu. Tutaj mogę szukać pracy u okolicznych rolników, sprzedać coś na bazarze albo zbierać drewno w lesie. Tacy jak ty, dziennikarze i pracownicy humanitarni, mogą też łatwo dotrzeć do obozu, dostrzec, że coś nie działa, i domagać się poprawy. A na wyspie będziemy skazani na to, co da nam rząd. A po tym, przez co przeszliśmy w Birmie, ja już nie chcę być zdany na łaskę żadnej władzy, choćby muzułmańskiej – kończy z wściekłością.

Mohammad nigdy nie był nad morzem. Owszem, nauczył się pływać, ale w rzece opodal wsi. Ocean go przeraża. Boi się także tego, że znajdzie się w świecie, którego nie będzie mógł zrozumieć. Dosłownie i w przenośni.

– Tu miejscowi mówią praktycznie tak samo jak my. Trochę inaczej nazywamy liczby, ale zawsze można się dogadać. Na północy posługują się już dialektem, który ciężko zrozumieć. Tu ludzie żyją z roli, tak jak my, a tam są duże miasta, przemysł, inne zwyczaje. My na przykład wiążemy lungi o tak – mężczyzna szybkim ruchem składa spódnicospodnie noszone w tej części Azji przez uboższych mieszkańców.

– Tymczasem ci z północy Bangladeszu wiążą je w taki charakterystyczny róg. ↦

↦ Niby drobiazg, ale gdybyś musiał się wtopić w tłum, nie dasz rady.

Pytanie o to, dlaczego akurat miałby się wtapiać w tłum, Mohammad Atarullah zbywa śmiechem: – Od razu widać, że nigdy nie musiałeś uciekać ze swojego domu...

Dodatkowy milion

Jednoznacznej odpowiedzi na pytania o przyszłość blisko miliona Rohingów, którzy utknęli w obozach przy granicy z Birmą, próbowały dotychczas unikać także władze Bangladeszu.

Dla Dhaki ich obecność oznacza zarówno zyski, jak i straty. Z jednej strony kryzys humanitarny, rozpętany przez birmańskich generałów, tymczasowo zwolnił gabinet premier Szejk Hasiny z obowiązku tłumaczenia się przed społecznością międzynarodową z ograniczania swobód obywatelskich i prześladowań opozycji.

W jednym z najbiedniejszych i najbardziej przeludnionych państw świata, jakim jest dziś Bangladesz, ze średnią ponad tysiąca mieszkańców na kilometr kwadratowy, dodatkowy milion do wyżywienia zawsze będzie jednak tematem politycznie niebezpiecznym. Zwłaszcza w bezpośredniej bliskości obozów, w dystrykcie Cox Bazaar, gdzie niespełna 800 tys. rdzennych mieszkańców w kilka jesiennych miesięcy 2017 r. z większości stało się nagle mniejszością.

Uchodźczą mapę tego miejsca tworzy dziś już 36 obozów z dziesiątkami podobozów. Kutupalong, Balukhali, Leyda, Nayapara, Shamlapur, Teng Khali. Dziesiątki nazw, do niedawna znanych garstce rolników zamieszkujących ten fragment pogranicza, w kłopotliwym sąsiedztwie dzikich słoni, nagle opromieniła wątpliwa sława największego obozu dla uchodźców na świecie. Zamieszkiwanego przez ponad 907 tys. osób stłoczonych na powierzchni mniejszej od warszawskiej dzielnicy Ursynów.

Słonie, o dziwo, zostały. Nawet częściej mają okazję wpaść w furię na widok człowieka, bo ludzi zrobiło się więcej, za to las, który je karmił i dawał schronienie, zniknął w niespełna osiem miesięcy.

Czwarte miasto kraju

Zdjęcia satelitarne z kwietnia 2017 r. pokazują jeszcze zielone połacie pagórkowatego terenu, którego prawym skrajem biegnie na południe jedynie droga w stronę miasta Teknaf. Fotografie tego samego wycinka bangladeskiego pogranicza z końca 2017 r. pokrywa już ziarnica punkcików, które w dużym zbliżeniu zmieniają się w prostokąciki szałasów, pobudowanych jeden obok drugiego w miejscu, gdzie niedawno była zwrotnikowa dżungla.

Pośród tysięcy chat i ścieżek oraz dróżek jedyna asfaltowa droga na południe wygląda już niczym główna żyła wielkiego guza, który wyrósł w miejscu dawnego lasu. Zdrowa zieleń ustąpiła na fotografiach zgniłemu brązowi ziemi, rozoranej w błyskawicznym tempie przez dziesiątki rządowych buldożerów oraz przez samych Rohingów. Gdyby ten wielki obozowy organizm uznać za miasto, na liście największych aglomeracji Bangladeszu uplasowałby się na czwartym miejscu.

– Tylko w dwóch małych gminach, Ukhia i Teknaf, pod osadnictwo dla Rohingów zajęliśmy dotąd ok. 100 hektarów pól uprawnych i jakieś 2 tysiące hektarów lasów. Wielu mieszkańców tych okolic nie ma dziś z czego żyć, nawet graniczna rzeka Naf stała się niedostępna dla rybaków z powodu napiętych stosunków z Birmą – wylicza Mohammad Kalam, dyrektor miejscowej delegatury ministerstwa klęsk żywiołowych, zarządzający terenem obozów. – Obecność cudzoziemców wywindowała ceny, zwłaszcza żywności. Szacujemy, że odsetek mieszkańców zagrożonych skrajnych ubóstwem w dystrykcie Cox Bazaar wzrósł od połowy 2017 r. z 31 proc. do 80 proc.

Dlatego Dhaka nie chce w żaden sposób usankcjonować praw Rohingów do pobytu w Bangladeszu. Rząd odmawia im oficjalnego statusu uchodźców, który gwarantowałby szereg praw – na czele ze swobodą poruszania się po kraju i gwarancją, że pewnego dnia władze goszczącego ich państwa nie deportują ich z powrotem tam, skąd uciekli.

Na terenie obozów nie ma również szkół. Oficjalnie działają tu jedynie „placówki dziennego pobytu", pod płaszczykiem których władze organizują dzieciom regularną naukę. Nawet w zaleceniach dla organizacji humanitarnych, rozpoczynających działalność na terenie obozów, podkreśla się wymóg, aby chaty i inne budowle dla uchodźców były w przyszłości łatwe do rozbiórki.

„Niejasny" plan relokacji

Już w 2012 r., kiedy po fali prześladowań do Bangladeszu uciekło z Birmy ok. 80 tys. Rohingów, władze w Dhace rozważały relokację zbiegów na wyspę. Realizację planu pokrzyżowała wtedy stanowcza reakcja społeczności międzynarodowej, która ulokowanie obozów na terenie zagrożonym cyklonami i powodziami nazwała bez ogródek „barbarzyństwem".

Wówczas spór dotyczył jednak losu kilkudziesięciu tysięcy przybyszów. Dziś skala problemu urosła o rząd wielkości, więc i ONZ zmienia retorykę. O oficjalnej zgodzie na relokację nadal nie ma mowy, ale nie słychać także jednoznacznych protestów.

A to w dyplomacji zwykle oznacza po prostu „tak". Yanghee Lee, specjalna wysłanniczka Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Uchodźców (UNHCR), która odwiedziła Bashan Char w marcu tego roku, po wizycie nie mogła się nachwalić nakładów pracy i środków na zapewnienie Rohingom godziwych warunków bytowych na wyspie, mimo że większość pieniędzy na ten cel pochodziła właśnie z kasy UNHCR. Wysłanniczka zaznaczyła jednak, że część przedstawionego jej planu relokacji, który miał ruszyć od kwietnia, pozostaje „niejasna". Na czele z pytaniem o to, czy przenosiny będą dobrowolne. „Inaczej wywołamy kolejny poważny kryzys" – zaznaczyła ze stanowczością rasowego dyplomaty.

„Śpimy na zmianę"

Mohammad Atarullah kolejny raz nie zamierza więc składać losu rodziny w ręce polityków. W 2012 r., jak mówi, dyplomaci z całego świata też potępili akcję militarną przeciw Rohingom. ONZ rzekomo nazwała ich nawet oficjalnie „najbardziej prześladowaną mniejszością etniczną świata" [w rzeczywistości taka deklaracja nigdy nie padła z wokandy Narodów Zjednoczonych – red.]. A po tym wszystkim wojsko birmańskie, nie niepokojone przez nikogo, wkroczyło jesienią 2017 r. do rohińskich wsi i spaliło trzy czwarte z nich. Według najnowszych ustaleń liczba zabitych i zaginionych sięga 30 tys. ludzi.

– Dlatego teraz śpimy na zmianę – mówi Atarullah. – Umówiliśmy się z sąsiadami na nocne dyżury. Gdyby przyszli w nocy, żeby wywieźć nas na wyspę, zwijamy w sekundę dobytek i uciekamy gdzieś w głąb obozu. A rano jak najdalej stąd.

W tej części Bangladeszu nie trzeba przecież nawet poprawiać lungi, żeby wtopić się w tłum.

©℗ MAREK RABIJ

Współpraca MOSTAFA SHIAFUL

BIKAS DAS / AP PHOTO / EAST NEWS

Premier Narendra Modi na wiecu wyborczym. Kalkuta, 3 kwietnia 2019 r.

Modi po raz drugi?

TOMASZ AUGUSTYNIAK

W Indiach, największej demokracji świata, ruszają wybory. Poprzedza je ostra kampania: medialna wojna na idee i konkurencyjne opowieści o podzielonym mocarstwie.

Raptem na kilka dni przed wyborami parlamentarnymi do indyjskich kin ma trafić film „Premier Narendra Modi". To kolejna po „Przypadkowym premierze" kinowa produkcja finansowana przez sympatyków rządzącej Indyjskiej Partii Ludowej (Bharatiya Janata Party, BJP), pokazująca w dobrym świetle obecnego szefa rządu i polityków BJP, a w złym – Indyjski Kongres Narodowy.

Tym razem zwolennicy Kongresu nie pozostają dłużni: wypuszczają filmową biografię Rahula Gandhiego, lidera tej głównej partii opozycyjnej. Obie formacje prześcigają się na populistyczne obietnice, ale głównym motywem kampanii jest spór o wartości. Modi sprzedaje rodakom mocarstwową i nacjonalistyczną wizję Indii. Gandhi – pacyfistyczną i wielokulturową.

Indyjskie wybory to poligon demokracji, zarówno ze względu na bezpardonową walkę, jak i skalę. Do głosowania (poprzez wciśnięcie klawisza na specjalnej maszynie, bo wybory odbywają się w całości elektronicznie) uprawnionych jest 900 mln ludzi – najwięcej w historii świata. Głosowanie odbędzie się w siedmiu fazach: pierwsi wyborcy wskażą swoich faworytów już 11 kwietnia, ostatni dopiero 19 maja. Wynik całej operacji bardziej niż kiedykolwiek będzie zależał od sprawnego operowania przekazem medialnym przez polityków.

Niespełnione obietnice

W 2014 r. nacjonalistyczna BJP odniosła przytłaczające zwycięstwo, grając kartą antykorupcyjną, stawiając na innowacyjność i rozwój gospodarczy, ale jej osiągnięcia w tej dziedzinie są dyskusyjne. Kampania „Make in India" i próba konkurowania z zamożniejszymi Chinami okazały się tylko sloganami. Nie udało się obniżyć bezrobocia, a budowa kolei dużych prędkości – przedsięwzięcia, mającego pokazać nowocześniejszą twarz drugiego najludniejszego państwa świata – bardzo się opóźnia. Gospodarka rozwija się wprawdzie w tempie ok. 7 proc. rocznie, ale to za mało, by zapewnić zatrudnienie kilku milionom młodych.

Opowieść o modernizującym się kraju przestaje być wiarygodna. Może dlatego tym razem BJP mocniej stawia na bezpieczeństwo i ideologię: pręży militarne muskuły, wykorzystując do tego lutowy atak terrorystyczny w Kaszmirze, o który Indie toczą spór z Pakistanem. Oraz promuje to, co uważa za tradycyjne hinduistyczne wartości.

Podział i dezinformacja

Za rządów Modiego pogłębiły się podziały religijne i nasiliły lincze na wyznawcach islamu, prowokowane przez usilnie lansowaną nacjonalistyczną ideologię Hindutvy. Ataki są usprawiedliwiane popularnymi teoriami spiskowymi i rzekomą obroną krów – świętych zwierząt hinduizmu.

Miejscowi muzułmanie, którzy od setek lat współtworzą kulturę i politykę, stanowią wprawdzie tylko 14 proc. populacji, ale w praktyce to ponad 170 mln ludzi, którymi łatwo straszyć wyznającą hinduizm większość. Sam premier Narendra Modi jest związany z faszyzującą Narodową Organizacją Ochotników (RSS), która głosi, że Indie powinny być przede wszystkim domem hinduistów, a wyznawcy innych religii mogą w nich żyć tylko, jeżeli zgodzą się na ich bezwarunkową dominację.

BJP doskonale operuje przy tym mediami, w tym społecznościowymi, z których korzysta się tutaj masowo: dostęp do internetu ma około pół miliarda obywateli, a 200 mln korzysta z komunikatora WhatsApp, za pośrednictwem którego prorządowe „trolle" rozsiewają antyislamską propagandę, obliczoną na dalszą polaryzację społeczeństwa. Pozostałe partie starają się za nimi nadążyć.

Problem szerzących się w sieci kłamstw zauważyły WhatsApp i Facebook: obie platformy uruchomiły przed wyborami specjalne serwisy, umożliwiające użytkownikom weryfikowanie zmanipulowanych informacji. Ten ostatni usunął też kilkaset fałszywych kont, należących do aktywistów obu głównych partii. Wiele mediów tradycyjnych sprzyja rządowi, a tych dziennikarzy, którzy go krytykują, politycy BJP określają mianem antynarodowych.

W warunkach powszechnej manipulacji wybory będą plebiscytem za lub przeciw wizji Modiego. Spodziewane jest, że partia obecnego przywódcy utrzyma się przy władzy. Ale już bez absolutnej większości w parlamencie, którą cieszy się od pięciu lat. ©

W moich żyłach płynie lexapro

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Bez nich nie położą się spać. Przynoszą im ulgę i pozwalają przetrwać kolejny dzień. Antydepresanty ratują życie, ale – nadużywane – potrafią z niego uczynić piekło. Miliony Amerykanów biorą je latami.

Idę rano pod prysznic. Mam do wyboru: odkręcić kurek z ciepłą lub zimną wodą. Przez dłuższą chwilę patrzę na czerwony i niebieski kolor. Mój mózg próbuje połączyć fakty. Najpierw odkręcam czerwony kurek, gorąca woda parzy stopy. Potem szybko odkręcam niebieski. Takich wyzwań mam w ciągu dnia więcej. Nawet najdrobniejsza decyzja może zająć mi kilka minut. Nazywam się Sheila i mam 36 lat. Znów chciałabym być sobą.

15 lat temu

Sheila, absolwentka psychologii na Queens College w Nowym Jorku, dostaje pierwszą pracę. W szkole specjalnej ma prowadzić zajęcia z dziećmi z autyzmem.

Jest wrażliwa. Gdy widzi, że dziecko płacze, chce je od razu przytulić i pocieszyć. Szybko dowiaduje się jednak, że to nieprofesjonalne i wbrew zasadom szkoły.

Po powrocie do domu Sheila często płacze. Mówi, że dzieci tresowane są w szkole jak psy. Coraz częściej czuje niepokój i ma problemy ze wstaniem z łóżka.

Gdy po kilku miesiącach przestaje chodzić do pracy, rodzice wysyłają ją do psychiatry. Po 15 minutach rozmowy lekarz stwierdza, że Sheila nie ma na co narzekać w życiu i cierpi na poważne zaburzenie depresyjne. Przepisuje jej 20 mg antydepresantu lexapro. Gdy dziewczyna patrzy z wątpliwością na receptę, psychiatra mówi: „Gdyby bolała cię głowa, nie wzięłabyś tabletki?".

– Od początku czułam, że nie powinnam brać psychotropów – wspomina Sheila. – Ale byłam tak zdesperowana, że chciałam natychmiastowej pomocy. Miałam tylko 21 lat, co mogłam wiedzieć o życiu? Byłam w toksycznym związku, miałam oparcie tylko w rodzicach. Pamiętam moment, gdy szłam do apteki zrealizować receptę. Przez całą drogę płakałam. Było mi wstyd, że potrzebuję leków, aby mój mózg funkcjonował. Dzięki tabletkom zaczęłam jednak chodzić do znienawidzonej pracy, miałam więcej energii.

Gdy po roku zdecydowała się odstawić leczenie, lekarz kazał jej zmniejszyć dwukrotnie dawkę. Sheila: – Zaczęłam mieć mdłości, czułam, jakby w moim mózgu coś przeskakiwało. Pojawił się niepokój, stany depresyjne i ciągłe wahania nastrojów. Nikt mi wtedy nie powiedział, że to normalne objawy po odstawieniu antydepresantów. Myślałam, że znów coś jest ze mną nie tak. Bałam się, że zawalę w pracy.

Sheila mówi, że od tego momentu jej życie dzieliło się na dwa etapy: albo próbowała odstawić psychotropy, albo do nich wracała: – Gdy brałam lexapro, czułam się jak na haju. Po dniu pracy szłam jeszcze na kilka drinków do baru. A potem wstawałam o piątej rano, szłam na jogging i zaczynałam nowy dzień. Przez mieszankę psychotropów i alkoholu robiłam rzeczy, których się teraz wstydzę. Zmieniałam facetów jak rękawiczki. Byłam w związku, a w barze flirtowałam z innymi.

Sheila: – Nie chcę robić z siebie ofiary, ale gdy twój mózg jest zatruty lekiem, nie jesteś już sobą. Wszyscy wokół mówili, że coś jest ze mną nie tak, a ja i tak zaprzeczałam. Przecież było mi dobrze. Nie odczuwałam smutku, wciąż byłam jak na pełnym gazie. Nie mogłam płakać nawet wtedy, gdy umarła mi babcia. Byłyśmy bardzo blisko, a ja nie potrafiłam jej godnie pożegnać.

Odwyk po raz pierwszy

Euforia skończyła się po 11 latach. Lexapro przestało działać i Sheila zaczęła cierpieć na stany depresyjne. Psychiatra stwierdził, że ma zaburzenie afektywne dwubiegunowe i przepisał jej abilify. Wytrzymała dwa tygodnie: nie odczuwała żadnych emocji, przytyła pięć kilo. Tęskniła za dawnym pobudzeniem i wynalazła sobie coś lepszego. Koleżanka poleciła jej wellbutrin, dawał porządnego kopa. Na jej prośbę lekarz przepisał jej 300 mg.

Sheila: – Znów patrzyłam na życie przez różowe okulary. Ale po roku czułam się coraz gorzej. Choć ćwiczyłam jak szalona, nie mogłam schudnąć.

Gdy wyszła za mąż, poczuła, że musi coś zmienić. Wspomina: – Planowaliśmy dzieci i bałam się, że skończę jak koleżanka. Gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, musiała odstawić psychotropy. Zaczęła mieć myśli samobójcze, próbowała rzucić się z balkonu. Mąż zamykał ją potem na klucz, przez całą ciążę była pod ścisłą kontrolą, do psychotropów wróciła dopiero po urodzeniu dziecka.

Sheila rzuca leki już od trzech lat. – Najłatwiej poszło mi z wellbutrinem, bo ten biorę najkrócej. Największe wyzwanie to lexapro. Od sierpnia 2017 r. stopniowo zmniejszam dawkę. Na ten czas musiałam zrezygnować z etatu. Jestem pod ciągłą opieką lekarza. Mam wiele objawów odstawienia: czuję się depresyjnie, mam problemy z pamięcią i koncentracją. Cierpię na bezsenność, straciłam połowę włosów. Choć nie jest łatwo, cieszę się, że w końcu zaczynam mieć naturalne reakcje.

Gdy niedawno umarła jej ciotka, Sheila płakała na jej pogrzebie. – Coraz bardziej czuję się sobą – mówi dziś. – Dużo medytuję, chodzę na akupunkturę i jem według ściśle ustalonej diety. W moich żyłach płynie już tylko 1,5 mg lexapro.

O tym, że odstawia leki, powiedziała tylko najbliższym przyjaciołom: – Reszta mnie nie zrozumie, bo też od lat biorą antydepresanty. W Nowym Jorku panuje zbyt duża presja. Każdy musi odnosić sukces, nie ma czasu na gorsze chwile.

Lady Gaga na prozacu

Cały świat słyszał o prozacu: „pigułka szczęścia", która zwiększa poziom serotoniny w mózgu, została wprowadzona na rynek w 1988 r. Od tego czasu antydepresanty przestały być dla Amerykanów tematem tabu, a w niektórych kręgach stały się wręcz modne.

Dziś, ponad 30 lat później, w amerykańskiej telewizji roi się od reklam leków antydepresyjnych. Wśród których, prócz

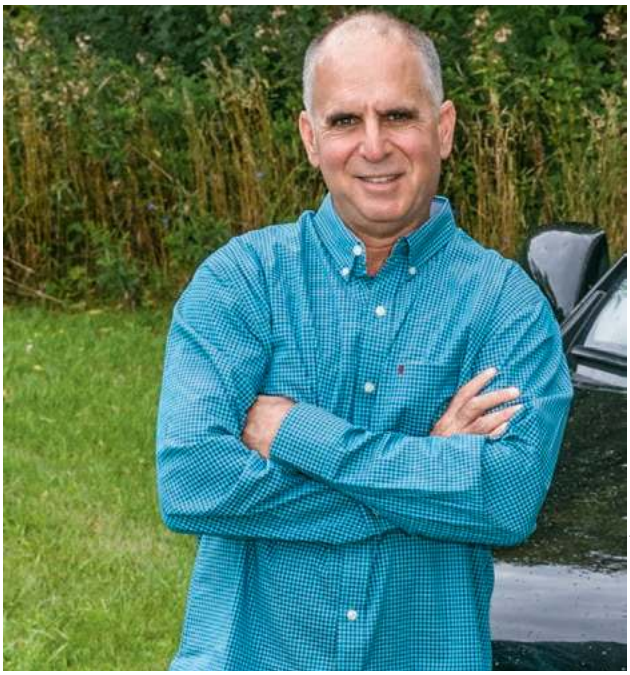

STEPHEN NARENS / ARCHIWUM PRYWATNE

STEVE WERNER: *...zalecił jeszcze dwa inne leki. Każdy w wysokiej dawce. Ufałem lekarzowi, myślałem, że to tylko doraźne leczenie.*

ARCHIWUM PRYWATNE

LAURA DELANO: *Jesteśmy nauczeni, że pigułka jest lepsza niż zmierzenie się z własnym bólem.*

prozacu, najbardziej popularne są lexapro, wellbutrin, paxil i zoloft. O leczeniu antydepresantami mówią otwarcie dziennikarze, pisarze i gwiazdy, jak Lady Gaga czy Jim Carrey. Szacuje się, że „pigułkę szczęścia" (pod taką czy inną marką) bierze już prawie 13 proc. Amerykanów powyżej 12. roku życia. To 65-procentowy wzrost w ciągu ponad 15 lat.

W USA to problem społeczny i systemowy. Choć nie podważa się skuteczności działania leków psychotropowych, naukowcy wciąż dyskutują o granicach medykalizacji psychiatrii.

Antydepresanty są trzecią – obok leków przeciwzapalnych i obniżających poziom cholesterolu – najczęściej przepisywaną grupą leków w USA. Szczególnie alarmujące jest długotrwałe ich przyjmowanie. Z danych amerykańskiego Narodowego Centrum Statystyk Zdrowotnych wynika, że aż 68 proc. osób stosujących psychotropy bierze je od co najmniej dwóch lat. Jedna czwarta deklaruje zaś, że kontynuuje leczenie od co najmniej 10 lat.

– „Pigułka szczęścia" to w Stanach fenomen kulturowy – mówi Laura Delano, założycielka internetowej grupy wsparcia Withdrawal Project, który skupia osoby planujące w bezpieczny sposób odstawić antydepresanty. – Wielu ludzi decyduje się na psychotropy, bo chce natychmiastowej ulgi. Jesteśmy nauczeni, że pigułka jest lepsza niż zmierzenie się z własnym bólem.

– Szacuje się, że ok. 70 proc. recept na antydepresanty wypisywanych jest przez lekarzy pierwszego kontaktu – mówi Delano. – Pacjent przychodzi na rutynową wizytę kontrolną i odpowiada na kwestionariusz dotyczący samopoczucia psychicznego. Jeśli odpowie, że miewa stany depresyjne lub jest wciąż zestresowany, lekarz może zapytać, czy wypisać receptę na antydepresant. Takie rozwiązanie jest tańsze niż skierowanie na psychoterapię; ubezpieczenie medyczne pokrywa tylko kilkanaście sesji roczne.

– Lekarze rzadko mówią pacjentom, ile potrwa leczenie albo z jakimi skutkami ubocznymi może się ono wiązać – uważa Laura Delano, która jest jedną z liderek toczącej się w Stanach dyskusji na temat antydepresantów i alternatywnych metod leczenia depresji.

Odwyk po raz drugi

Laura Delano zna się na psychotropach. Zaczęła je brać, gdy miała 14 lat. Była zbuntowaną nastolatką z bogatej dzielnicy w Greenwich, w stanie Connecticut. Jako uczennica prywatnej szkoły dla dziewcząt kwestionowała to, że w jej środowisku liczyła się głównie pozycja społeczna i osiągnięcia. Narastał w niej gniew, zaczęła się ciąć.

Zdesperowani rodzice zabrali ją do psychologa, potem do psychiatry. Ten drugi orzekł, że jej złość jest objawem manii, a smutek objawem depresji. Zdiagnozował zaburzenie afektywne dwubiegunowe i przepisał prozac. Z biegiem lat Laura uzbierała recepty na cztery inne psychotropy. Usłyszała też kolejne diagnozy: zaburzenie odżywiania, epizod depresyjny i pograniczne zaburzenie osobowości.

– Na początku nie chciałam brać tabletek – wspomina. – Chowałam je przed rodzicami, wymiotowałam. Po stałe leczenie sięgnęłam dopiero na studiach. Byłam na pierwszym roku na Harvardzie, czułam się zagubiona. Dużo piłam, brałam narkotyki. Kiedyś weszłam na dach pięciopiętrowego budynku na kampusie. Często przypalałam się papierosami. Zaczęłam się bać samej siebie. W końcu poszłam do psychiatry.

Przepisał antydepresanty, a Laura poczuła ulgę: – Jednak im dłużej brałam leki, tym częściej myślałam o śmierci. Leki zniszczyły mi metabolizm, nie miałam orgazmów. Byłam jak emocjonalny głaz. Nie mogłam się wysłowić. Pojawiły się problemy z czytaniem i koncentracją. Wierzyłam, że jestem tak chora, że nie dotrwam do trzydziestki. Gdy miałam 25 lat, próbowałam się zabić. Przedawkowałam antydepresanty i popiłam je butelką wina.

– Jestem pewna, że gdyby moi rodzice nie zaprowadzili mnie kiedyś do psychiatry, moje życie potoczyłoby się inaczej – mówi Laura. – Ale niczego nie żałuję. Od ośmiu lat nie biorę leków. Udało mi się ↦

↦ tylko dzięki wsparciu rodziny. Nie twierdzę, że każdy może funkcjonować bez psychotropów. Jednak pora skończyć z myśleniem, że pigułka jest dobra na wszystko. Jak już raz wejdziesz w ten system, trudno się z niego wyrwać.

Bezsenność biznesmena

Steve Werner, 60-latek z Northbrook w stanie Illinois, wiódł życie idealne. Przez 20 lat pracował jako przedsiębiorca w Izbie Handlu w Chicago. W 2001 r. odszedł z branży i założył z bratem firmę pożyczkową. Udzielali kredytu inwestorom, którzy kupowali stare domy, robili remont i sprzedawali je z zyskiem. Biznes się rozwijał, Steve zatrudniał 40 osób.

A potem nastał rok 2008, przyszedł kryzys finansowy i wszystko zniszczył. – To była powolna agonia – wspomina Steve. – Walczyliśmy o przetrwanie przez półtora roku. Razem z bratem przestaliśmy wypłacać sobie pensje, musieliśmy zredukować personel. Przytłaczała mnie odpowiedzialność za pracowników i ich rodziny. Nie mogłem spać nawet pięć, sześć nocy z rzędu. Zacząłem mieć myśli samobójcze.

Poszedł do lekarza. Ten zalecił terapię i przepisał klonopin. Steve: – Gdy po kilku tygodniach nie odczuwałem ulgi, lekarz dorzucił lexapro. Gdy i to nie zadziałało, zalecił jeszcze dwa inne leki. Każdy w wysokiej dawce. Ufałem lekarzowi, myślałem, że to tylko doraźne leczenie. Mijały jednak lata, a dalej brałem psychotropy. Zdążyłem założyć nową firmę, wszystko zaczęło się układać. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby odstawić leki.

– Codziennie czekałem tylko na jeden moment – wspomina. – Wyobrażałem sobie, jak wchodzę po schodach do sypialni. Na stoliku obok łóżka czekały buteleczki z kolorowymi proszkami. Bardzo je wtedy kochałem. Wystarczyło wziąć cztery tabletki i odpływałem na dobre. Nie reagowałem nawet, gdy dzieci przychodziły przytulić się na dobranoc.

Przez sześć lat brania antydepresantów Steve walczył z nadwagą. – Często wstawałem wcześnie rano, kładłem się na kanapie w salonie i płakałem. Kiedyś poszedłem z żoną na wesele kuzyna. Ktoś z rodziny wzniósł toast i powiedział, że każdy powinien brać ze mnie przykład. Mam pieniądze, kochającą żonę, wspaniałe dzieci, duży dom. Pomyślałem wtedy: „Gdyby tylko wiedzieli...”.

Odwyk po raz trzeci

Z uzależnienia od antydepresantów wyciągnął go znajomy lekarz. Pierwszy kryzys Steve miał już drugiej nocy po odstawieniu leków. Trząsł się jak narkoman, miał mdłości, płakał. Zdesperowany napisał do lekarza, że nie da rady i potrzebuje tabletek. W odpowiedzi dostał esemesa: „Załóż dres i idź pobiegać”. Pomyślał, że to szaleństwo. Była druga w nocy, luty, za oknem mróz. Ale pobiegł.

Od tej pory Steve wykonywał wszystkie polecenia znajomego lekarza. Przez 10 miesięcy odwyku nie opuścił ani jednego dnia w pracy: – Codziennie wstawałem o 3.30 rano i jechałem do całodobowej siłowni. W trakcie godzinnego treningu słuchałem nagrań o duchowości na YouTubie. Po wszystkim zatrzymywałem się w Dunkin' Donuts na kawę i wracałem do domu. Rozmawiałem z żoną, jadłem śniadanie i o siódmej jechałem do firmy.

Wspomina: – Choć męczyły mnie ciągłe mdłości i zawroty głowy, udawałem, że czuję się świetnie. Żaden ze współpracowników nie wiedział o tym, że biorę antydepresanty, a co dopiero, że je rzucam. Siedziałem na spotkaniu ze wspólnikami, uśmiechałem się szeroko i walczyłem ze sobą, żeby nie zwymiotować. Zdarzało się, że już w południe myślałem, że nie dotrwam do końca dnia. Kładłem się na podłodze w swoim biurze i pisałem esemesa do lekarza z prośbą o pomoc. On odpisywał, żebym zrobił 50 pompek, poszedł na spacer do parku lub prostu się pomodlił. Taki kryzys przychodził kilka razy dziennie.

Steve: – Najgorsze, że często jeździłem w teren. Moja firma zajmuje się systemami zabezpieczeń dla opuszczonych domów. Musiałem docierać do najbardziej niebezpiecznych dzielnic Chicago.

– Bliscy mówią mi, że w trakcie odwyku byłem bardzo skupiony. Pamiętam to jak przez mgłę – opowiada Steve, który w wolnym czasie rozkręca teraz firmę coachingową Hour of Champions.

Chce pomagać ludziom, którzy tak jak on zmagają się z depresją.

Mówi, że kiedyś wierzył w „pigułkę szczęścia”. I że teraz najlepszym lekiem jest dla niego wysiłek fizyczny i modlitwa.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Książki w cieniu wojny

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

Choć tylko dwóch na pięciu mieszkańców kraju umie czytać i pisać, coraz więcej Afgańczyków zagląda do księgarń. Coraz więcej jest też autorów i wydawców. „Czytają głównie młodzi” – twierdzi księgarz Kasimi.

Zahra Jagana wdarła się przebojem do afgańskiego świata literackiego, gdy opublikowała swoją debiutancką powieść. Trzy lata temu ukazało się „Światło popiołów”, które rozeszło się w 8 tys. egzemplarzy, co jest świetnym wynikiem jak na Afganistan. To powieść autobiograficzna. Jagana inspirowała się światowym bestsellerem „Chłopiec z latawcem”, także afgańskiego autora Khaleda Hosseiniego, w której jednym z wątków jest wykorzystywanie seksualne chłopca.

– Postanowiłam, że napiszę taką książkę z perspektywy kobiety, aby opowiedzieć o wszystkich trudnościach, z którymi się mierzymy, a których ludzie nie rozumieją – mówi dziś Zahra Jagana. – Większość kobiet w Afganistanie jest ofiarami przemocy.

Pisanie jako misja

35-letnia Jagana przyjmuje mnie w swoim biurze. To nieduże pomieszczenie z fotelami, stołem i biurkiem, za którym zazwyczaj pracuje. Na ścianie wiszą obrazy i zdjęcia. Jedno z nich to reprodukcja kultowej fotografii afgańskiej dziewczyny z obozu dla uchodźców w Pakistanie.

Chociaż tematy, o których rozmawiamy, nie należą do najweselszych, Jagana często i szeroko się uśmiecha. Mimo sukcesu literackiego, żyje przede wszystkim z pracy biurowej. Działa w organizacjach pozarządowych – jak Zielony Dom,

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Pisarka Zahra Jagana w swoim biurze. Jej debiutancka powieść „Światło popiołów" cieszyła się dużą popularnością wśród czytelników w Afganistanie. Kabul, 2019 r.

zajmujący się ekologią. Angażuje się także na rzecz kobiet. – Muszę pracować w różnych miejscach, by się utrzymać, ale pisanie biorę na poważnie – mówi. – To z tych prac biorą się pieniądze, dzięki którym mogła powstać moja książka.

Czas na pisanie musi znajdować po godzinach.

Zyski ze „Światła popiołów" przekazała jednej z ofiar trwającej od 40 lat wojny. Są niewielkie. Do tego książka to inwestycja. Jagana musiała zapłacić wydawnictwu za druk i mieć nadzieję, że pieniądze się zwrócą. „Światło popiołów" jeszcze się nie zwróciło.

Jednak nie żałuje swojej decyzji ani trochę. Nie pisała dla pieniędzy. – Chcę, aby poprzez moje książki społeczeństwo inaczej spojrzało na kobiety. Moim celem jest zmiana społeczna – mówi pisarka.

Noc poślubna trzynastolatki

W tej powieści Jagana występuje pod prawdziwym imieniem. I opisuje przeżyte traumy.

W wieku 13 lat wyszła za mąż za dwukrotnie starszego mężczyznę. Noc poślubna była dla niej koszmarem, nie miała pojęcia o seksie, czuła straszny ból. Nie pamiętała, co się wydarzyło, dopiero następnego dnia obudziła się w szpitalu.

W zasadzie do czasu intymnego kontaktu w noc poślubną nie wiedziała nic o mężu, bo wcześniej niemal nie rozmawiali. To rodzina wybiera, kogo ma poślubić kobieta. Albo – jak w tym przypadku – dziecko. Bohaterka książki Zahra, podobnie jak Jagana w przeszłości, jest bita przez męża. Musi pracować, by przynosić mu pieniądze, za które może kupić narkotyki.

W wieku 14 lat urodziła pierwsze dziecko, Narges (to druga postać, która występuje pod prawdziwym imieniem w powieści). Jednak córka zmarła po czterech latach. Jagana, gdy pisała o tych wydarzeniach, była tak poruszona, że musiała przerwać pracę na trzy miesiące.

Potem urodziła jeszcze dwójkę dzieci. Którejś nocy, pod koniec 2007 r., nie przyniosła pieniędzy do domu i mąż nie mógł zaspokoić swoich nałogów. Był wściekły. W nocy Jagana i dzieci obudzili się w domu pośród płonących ubrań. Drzwi był zamknięte, a okna zakratowane. Uratowali ich sąsiedzi. Po tym wydarzeniu podjęła decyzję, że trzeba to skończyć. Zaapelowała o rozwód, otrzymała go i wyjechała do Kabulu razem z córką i synem. To rzadkość, by kobieta uzyskała rozwód, a do tego mogła zatrzymać dzieci przy sobie.

W Kabulu łapała się różnych kiepskich prac, by zarobić na przeżycie. Dopiero z pomocą przyjaciół trafiła do telewizji, gdzie prowadziła program kulinarny. Obok pisania właśnie w gotowaniu Jagana odnajduje przyjemność. Zajmowała się kuchnią od dziecka, podobnie jak czytaniem książek. Z telewizji trafiła do teatru, a następnie zaangażowała się na rzecz praw kobiet. Ich problemom w pracy i społeczeństwie poświęciła część książki.

– Wskazałam na kwestie, które powodują, że kobiety nie są traktowane poważnie w naszym społeczeństwie i kulturze – mówi Jagana. – Ludzie uważają, że powinny siedzieć w domu i się domem zajmować. A najlepiej z niego w ogóle nie wychodzić.

Wzrost dziesięciokrotny

Sukces Jagany to szersze zjawisko, powiązane z popularyzacją książek w Afganistanie – choć, zgodnie z danymi za rok 2015, tylko 38 proc. jego mieszkańców (52 proc. mężczyzn i 24 proc. kobiet) potrafiło czytać i pisać.

Gdy w 1996 r. talibowie przejęli władzę w wyniku wojny domowej, wprowadzili restrykcyjne prawo religijne. Kobiety ukryli pod burkami i zamknęli w domach. Przez co straciły – i tak ograniczoną – szansę na naukę i pracę. Policja religijna pilnowała, by wszyscy modlili się pięć razy dziennie. Zabraniali tego, co mogło przeszkadzać w modłach lub co uważali za niezgodne z islamem. Ofiarą tych obostrzeń padły także kultura i edukacja. Szkoły świeckie zastępowały religijne, a biblioteki niszczono. Poezja i muzyka były zabronione. Książki w języku perskim zastępowały te po arabsku, przede wszystkim religijne.

Jesienią 2001 r., po zamachach na World Trade Center, Amerykanie i ich sojusznicy zaatakowali Afganistan, obalili wspierających Al-Kaidę talibów i zamontowali przyjazny dla siebie rząd.

Po latach wojny i rządach talibów edukacja wymagała ogromnych inwestycji – od infrastruktury po podręczniki. Po 2001 r. książki trafiały do Afganistanu z Pakistanu. Przeważnie były to tanie i niskiej jakości kopie. Z czasem jednak władze zleciły produkcję podręczników szkolnych kilku lokalnym wydawcom – głównie ze względu na napięte stosunki z Pakistanem, który do tej pory wspiera talibów.

Rynek książkowy ruszył na dobre, gdy organizacje pomocowe wpisały do swoich agend wsparcie dla powstawania i wydawania podręczników szkolnych. Z czasem zaczęły też drukować inne książki, aby biznes przynosił profity przez cały rok.

Raptem dwa wydawnictwa przetrwały rządy talibów – jedno państwowe i jedno prywatne. Potem, w ciągu niemal dwóch ↦

↦ dekad, ich liczba wzrosła ponad dziesięciokrotnie.

Michelle króluje na półkach

Podobnie było z niezależnymi księgarniami. Pod koniec 2001 r. była jedna – w hotelu Intercontinental. Niemal dwie dekady później w pięciomilionowym Kabulu jest ponad 60 księgarń.

Właścicielem jednej z nich, o nazwie University Books, jest 28-letni Tarek Kasimi. Otworzył ją pięć lat temu. Znajduje się w niedużym centrum handlowym w okolicach uniwersytetu, gdzie dużo się dzieje, jest wiele lokali, a styl życia luźniejszy. W centrum handlowym znajdują się zresztą niemal wyłącznie księgarnie. Z większości witryn szeroko uśmiecha się Michelle Obama – była pierwsza dama USA jest autorką popularnej na świecie książki „Becoming". Również w Afganistanie stała się ona bestsellerem.

– W mojej księgarni to tytuł, który najlepiej się sprzedaje – mówi Kasimi.

Jak ogromna większość książek, także przekład „Becoming" na perski został wydrukowany w Iranie. Obok paszto jest to język urzędowy w Afganistanie. „Becoming" dostępne jest też po angielsku. Znający ten język kabulczycy chętnie sięgają po książki w oryginale, by poprawić swoje umiejętności językowe; do tego nie muszą zawierzać przekładom, często wątpliwej jakości. Brak tłumaczy w Afganistanie powoduje, że większość książek musi być importowana. Kasimi twierdzi, że z tych znajdujących się na półkach w jego księgarni przynajmniej 90 proc. pochodzi z Iranu.

W University Books można znaleźć wiele różnych pozycji, głównie akademickich. – Największym zainteresowaniem cieszą się powieści, filozofia, socjologia, psychologia, podręczniki szkolne i uniwersyteckie – mówi Kasimi.

Księgarz obserwuje powolne zmiany społeczne, które napawają optymizmem. Mimo wysokiego poziomu analfabetyzmu, w ostatnich latach rośnie liczba czytelników. Kasimi twierdzi, że to przede wszyscy młodzi czytają. W ciągu ostatnich 18 lat – gdy przynajmniej część szkół w kraju (na terenach, gdzie nie sięga partyzantka talibów) mogła zwyczajnie funkcjonować – znacznie więcej dzieci niż kiedykolwiek wcześniej miało szanse na zdobycie wykształcenia. Teraz często bywa tak, że klienci wiedzą więcej o książkach od ich sprzedawców.

ZAHRA JAGANA

Większość kobiet w Afganistanie jest ofiarami przemocy. Chcę, aby poprzez moje książki społeczeństwo inaczej spojrzało na kobiety. Moim celem jest zmiana społeczna.

Polityków zajmuje wojna

– W Kabulu księgarnie z prawdziwego zdarzenia to rzadkość, w całym mieście jest ich może z pięć – mówi Szahed Farhusz. – W niektórych właściciele nie potrafią czytać ani pisać.

Farhusz ma 26 lat, studiował dziennikarstwo i prawo, pisze wiersze. W 2018 r. wraz ze znajomymi otworzył księgarnio-kawiarnię Book City. Znajduje się ona kilkadziesiąt metrów od księgarni Kasimiego. Book City to popularne miejsce, do którego przychodzą chętnie studenci, działacze społeczni, intelektualiści i dziennikarze. Poza kupnem książki i wypiciem herbaty albo kawy można nabyć tu rzeczy robione przez lokalnych projektantów, w tym ubrania, galanterię i ceramikę. W dwupiętrowym budynku odbywają się spotkania z autorami, koncerty, wieczory poetyckie i wystawy sztuki.

Podobnie jak Kasimi, także Farhusz dzieli klientów na dwie grupy. Większa to uczniowie i studenci, którzy kupują książki potrzebne im na lekcje i zajęcia. Mniejsza to ci, którzy przychodzą po książki, bo je lubią.

Farhusz zaznacza, że prowadzenie księgarni to trudny biznes. Rynek jest wciąż niewielki. Do tego książki często są piratowane i sprzedawane poza oficjalnymi punktami, którym zgodę na prowadzenie działalności wydało Ministerstwo Informacji i Kultury. Dla wielu niezamożnych Afgańczyków (średnie roczne zarobki w kraju to równowartość ok. 7600 zł) nie stanowi problemu to, że książka ukazała się nielegalnie, na gorszym papierze, a druk jest niższej jakości. Czarny rynek uderza jednak w miejscowych wydawców i autorów. Księgarze narzekają na opieszałość władz w walce z piratami.

– Nie przykładają wagi do problemów w sferze kultury, bo zajmuje ich wyłącznie wojna – stwierdza Kasimi.

Mężczyzna od czterech lat jest też wydawcą. W jego ofercie jest 30 książek akademickich napisanych przez pracowników naukowych afgańskich uczelni. Głównie mają służyć jako materiały dla studentów.

– Nie możemy być pewni, że jeśli wydamy jakąś książkę, to nie zostanie ona natychmiast skopiowana – mówi Kasimi.

Pisanie po nocach

Jagana pracuje nad kolejną książką. Ubodło ją, że mimo ogromnego zainteresowania wielu literaturoznawców i pisarzy przemilczało lub krytykowało jej „Światło popiołów". Zarzucali, że książka nie ma wartości literackiej. To dlatego, że autorka nie używała wyszukanego słownictwa. – Uwielbiam pisać prostym językiem – broni się Jagana. – Piszę tak, aby każdy, niezależnie od wykształcenia, był w stanie to zrozumieć.

Intensywnie pracuje. Chce, aby kolejna książka była lepsza niż „Światło popiołów" i krytycy nie mogli nic zarzucić jej warstwie literackiej. – Jestem bardzo ostrożna podczas pisania tej książki. To dlatego, że poprzednią pisałam o swoim życiu, a teraz piszę o cudzym – przyznaje Jagana.

Archetypem głównej bohaterki jest piętnastolatka, którą pisarka zna osobiście. Jako dziecko też została wydana za dużo starszego mężczyznę. Po jakimś czasie się rozwiedli, a dziewczyna znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Aby ją poprawić, zaczęła parać się prostytucją.

Bohaterka Jagany chciała jeszcze jednego: zaspokoić swoje potrzeby seksualne. Czerpanie przyjemności z seksu przez kobietę to wątek, który pojawił się już w „Świetle popiołów". Możliwe, że był on nawet bardziej skandalizujący niż przemoc domowa, bo życie seksualne kobiet i kwestie intymne (jak choćby menstruacja) to tabu. Jagana je przełamuje. Nową książką znowu chce poruszyć afgańskie społeczeństwo. A przynajmniej tę jego część, która czyta.

Zahra Jagana uważa, że jej twórczość w tym pomaga. Dlatego nie zamierza rezygnować z pisania, nawet jeśli wymaga to od niej szalonego trybu życia. Zarywa kolejne noce i wyrywa czas na pisanie, kiedy tylko może. A pieniądze? Na razie o nich nie myśli.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

ANNA

Dziewit-Meller: *Świetne dziewczyny*

Naprawdę uważnie studiowałam ten podpis pod zdjęciem. A jednak! Nie przywidziało mi się! Na Facebooku Komitetu Obrony Demokracji pojawiło się zdjęcie z gali przyznania Nagrody im. Anny Laszuk, która w tym roku powędrowała do inicjatywy Wolne Sądy. Na fotografii cieszą się cztery osoby. Podpis głosi zaś: Nagroda TOK FM im. Anny Laszuk dla naszego przyjaciela z frontu walki o praworządną Polskę Michała Wawrykiewicza, który wraz ze świetnymi prawniczkami Pauliną, Sylwią i Marią tworzy Wolne Sądy. Jesteście wspaniali! Gratulujemy!". Paulina, Sylwia i Maria, trzy aniołki Charliego, świetne prawniczki, ale cóż – ostatecznie bezimienne. Cóż kobiecie po nazwisku?

Tym, którzy chcieliby mi teraz zarzucić, że z niewinnej pomyłki czy głupiego niedopatrzenia robię niepotrzebną awanturę, od razu mówię, że śledząc poczynania tej skądinąd świetnej inicjatywy nie pierwszy raz widzę ten układ splendoru – Michał Wawrykiewicz i dziewczyny. Naprawdę świetne, ale niewystarczająco, by napisać, jak się nazywają. To może ja jednak napiszę – nazywają się Maria Ejchart-Dubois, Paulina Kieszkowska-Knapik i Sylwia Gregorczyk-Abram.

Zresztą to jeszcze nie koniec feministycznych utyskiwań. Nie mniej bowiem zainteresowało mnie po owej gali, dlaczego ani w laudacji, ani w przemówieniu nominowanego do nagrody Marka Lisińskiego z Fundacji Nie Lękajcie Się nie padło ani słowo o kobietach, bez których wiele spraw, za które Fundacja jest doceniana, nie mogłoby się udać. Dlaczego nie usłyszałam nic o wielomiesięcznej pracy Agaty Diduszko-Zyglewskiej i Joanny Scheuring-Wielgus? To ich dziełem jest mapa pedofilii i raport o odpowiedzialności biskupów. Świetne dziewczyny, naprawdę, szkoda tylko, że znów bezimienne.

Ale wiecie, jak to jest – lata treningu w niepewności siebie robią swoje, więc zaczęłam się zastanawiać, czy aby „nie jestem przewrażliwiona", w końcu tyle razy człowiek słyszał to zdanie, że je sobie trochę zintegrował. Zapytałam więc na wszelki wypadek kobiety w mediach społecznościowych: hej, znacie to?

I wiecie, co? Znają! Lekarki, kobiety zatrudnione na uniwersytetach, menedżerki, aktorki, dziennikarki, dziewczyny pracujące w branży budowlanej, marketingu, administracji publicznej pisały mi np. tak: „Byłam parę lat doradcą pewnego startupu zajmującego się łączeniem tech i art, bo ze sztuką właśnie związany jest mój zawód. (...) CEO naszej firmy wyciskał ze mnie informacje, jak funkcjonuje rynek sztuki, by potem samemu wcielać to w życie. Na spotkaniach Board of Advisers (pracuję w USA), gdzie byli sami mężczyźni, mój głos był jednak ledwo słyszalny. Cokolwiek zrobiłam – nigdy nie zostało mnie przypisane". Albo tak: „W pierwszej pracy często zdarzało się, że klient/architekt/kierownik budowy prosił mnie o podanie do telefonu jednego z kolegów (jeżeli na dokumentach było więcej niż tylko moje nazwisko). Kilkakrotnie usłyszałam, czy może rozmawiać z przełożonym, kiedy wyłącznie moje nazwisko było na dokumentacji. W obecnej pracy powiedziano mi otwarcie, że nie mogę się popisywać wiedzą przed moim szefem. Tzn. kiedy mój szef nie zna odpowiedzi, nie wolno mi się odzywać niepytanej". Albo tak: „W pracy w agencji reklamowej potrafiłam dostawać teksty typu: »chyba masz okres«, gdy kolega pracujący przy biurku obok mnie jeździł swobodnie po kobietach pracujących w firmie, a ja na to zareagowałam". Albo: „Przykład z planu filmowego, wydaję decyzje dotyczące oświetlenia świetlikom (plan trwał 3 dni). Pierwsze 3/4 dnia to był koszmar komunikacyjny, bo moje słowa do chłopaków docierały tylko przez usta reżysera – mężczyzny, tak jakbym ja nie istniała. Potem mi zaufali, ale przez dużą część czasu musiałam kierować swoją energię w zupełnie niepotrzebnym kierunku". Albo tak: „Jestem dziennikarką, zajmuję się polityką latynoamerykańską. Po publikacji jednego z moich artykułów usłyszałam: »to MOŻE być prawda. Jeden koleś o tym pisał«. Inny kolega napisał do mnie: »jak będziesz szła do radia, to mogę ci napisać, co masz mówić«". I jeszcze: „Pracuję jako dyrektor handlowy w dość dużej międzynarodowej firmie. W polskim oddziale drogą do sukcesu jest, by mój pomysł został ponownie opowiedziany przez kolegę. I wówczas są brawa i zachwyty".

Mogłabym tak jeszcze długo, nieprzebrana jest krynica cytatów z mejli, które dostałam. Na koniec scenka rodzajowa z własnego życia, powtarzająca się co jakiś czas. Do mojego męża, stojącego obok mnie, podchodzą ludzie z napisaną przez nas OBOJE książką i proszą go o autograf, mówiąc: „świetna książka, dzięki panu pojechaliśmy do Gruzji". Mitygują się dopiero gdy on, równie zażenowany jak ja, przekazuje mi książkę do podpisu. Tak, podobno całkiem świetna ta książka. I w dodatku w połowie MOJA. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA
- **piątek, 12 kwietnia, godz. 17.00**

Spotkanie „Naród, religia, polityka, Belfast". Gościem będzie Aleksandra Łojek. Miejsce: Książnica Beskidzka (ul. Słowackiego 17A).

GDAŃSK
- **czwartek, 11 kwietnia, godz. 18.30**

Spotkanie „Zupa na Monciaku". Miejsce: Dom Hospicyjny im. Ks. Dutkiewicza (ul. Kopernika 6).

KOSZALIN
- **niedziela, 14 kwietnia, godz. 18.00**

Spotkanie „Biblia na nowe tysiąclecie". Gościem będzie ks. prof. Janusz Lemański. Miejsce: Katedralny Dom Parafialny (ul. Bolesława Chrobrego 7).

OLSZTYN
- **sobota, 13 kwietnia, godz. 16.00**

Spotkanie informacyjne. Miejsce: Dom Mendelsohna (ul. Zyndrama z Maszkowic 2).

HISTORIA

DROGĄ DO SOBIBORU

77 lat temu przez ziemie okupowanej Polski przeszło kilkaset takich pochodów. My pójdziemy śladami jednego: z Michowa do Kurowa.

ANTONI SUŁEK

Z ARCHIWUM ANTONIEGO SUŁKA

Wiosną roku 1942 drogami Generalnego Gubernatorstwa posuwały się pochody. Od kilkuset do kilku tysięcy ludzi w eskorcie mundurowych szło lub jechało furmankami w różnych kierunkach, ale zawsze do jednego celu: najbliższej stacji kolejowej. To „Niemcy gnali Żydów". Ze stacji pociągi wiozły ich do celów ostatecznych, ukrytych na odludziu: Bełżca, Sobiboru, Treblinki. Ruszyła Aktion Reinhardt: operacja wymordowania Żydów z GG, które obejmowało wtedy pięć dystryktów: warszawski, lubelski, radomski, krakowski i galicyjski.

W socjologii chętnie opisuje się teraz moc sprawczą „aktorów pozaludzkich". Takim aktorem może być także droga. Ona otwiera na świat, drogami wędrują ludzie, towary i idee, płyną nowe prądy i przeciwprądy.

Dawna „polska droga" między Michowem (powiat lubartowski) i Kurowem (powiat puławski) była kręta i uciążliwa. Szosę bitą, z kocich łbów, wytyczono dopiero „za Polski" w latach 20. Jej budowa była dobrodziejstwem dla okolicy. Na drogę skupowano od chłopów kamienie z pól. Było ich tu tyle, że na „lepszych ziemiach" ludzi stąd przezywali „kamienia-

rzami," a tamtejsze panny z tutejszych kawalerów się tylko śmiały. Rząd płacił „żywym groszem". Mówiono, że sprawdza się przepowiednia, iż „przyjdą czasy, że ludzie z kamienia chleb jeść będą". Drogę wytyczono tak, że łączyła ze sobą i światem kolejne wioski.

Wkrótce pomaszerowała nią historia.

Słowami świadków

We wrześniu 1939 r. drogą odeszło polskie wojsko i wjechali Niemcy. Napotkali dwóch chłopów, którzy dla oszczędności buty związane sznurowadłami nieśli na ramionach. „U nas tylko psy chodzą boso" – rechotali. Potem doprowadzana z Kurowa brygada „Żydów roboczych" naprawiała nawierzchnię. Latem 1941 r. po tej drodze „Niemce szły na Rosję".

Za rok tą samą drogą, ale w drugą stronę, przeszła inna kolumna. 2 maja 1942 r., w szabas, z Michowa wyruszył w stronę stacji kolejowej w Nałęczowie konwój Żydów.

Michów był tradycyjnym chrześcijańsko-żydowskim miasteczkiem. Każdy tu klepał swoją biedę, żyjąc z roli, drobnego handlu i rzemiosła (w Yad Vashem zachowało się tylko jedno zdjęcie stąd, z lat 30.). Gdy przyszli Niemcy, przesiedlili tu Żydów z innych miejsc, w tym wielu z północnego Mazowsza i Wielkopolski – z terenów włączonych do Rzeszy. Skutkiem tego w 1942 r. w Michowie mogło być nawet 2,5 tys. Żydów.

Konwój miał przed sobą długą drogę: 20 km do Kurowa, potem jeszcze 10 km do stacji. W ostatnich latach obszedłem wsie wzdłuż pierwszej części tej drogi. Dorastałem w tych stronach, teraz poznawałem je jako badacz. Szukałem świadków, by opowiedzieć ten pochód ich słowami. Zebrałem sznur opowieści. Korzystałem też z opowieści, które nosiłem w pamięci od dawna, jako „świadek drugiej generacji".

Judenaktionen

Gdy wiosną 1942 r. Niemcy zaczęli wywozić Żydów z lubelskich miasteczek, ludzie na wsi nie wiedzieli, że od razu na śmierć. Raczej myśleli, że ich przesiedlają, do gett lub na roboty (jak rok wcześniej, gdy zabierali Żydów z wiosek, by zgromadzić ich w gettach). Ludzie myśleli w granicach swego doświadczenia. Już widzieli Żydów przywiezionych z innych stron, nawet ze

Macewa na mogile w Marcinowie, 2016 r.

ZE ZBIORÓW YAD VASHEM

Córka Chaima Fledenhandlera na ulicy w Michowie, lata 30. Dziewczynka nie przeżyła wojny.

Słowacji, Żydów pracujących w kamieniołomie i przy melioracji, Żydów katowanych i upokarzanych. Przemysłowe wyniszczenie wszystkich było czymś, co nie mogło im przyjść do głowy. Zresztą sami Żydzi, zwłaszcza na początku wywózek, też nie wiedzieli, dokąd Niemcy ich wywożą. Potem docierały wieści, że wywiezieni znikają gdzieś na wschodzie. Ale ludzie niełatwo uwierzą w nadejście ich własnej zagłady, w koniec świata.

Wcześniej, 9 kwietnia, Niemcy wyprowadzili 2 tys. Żydów z Kurowa. Kolejne „akcje" (Judenaktionen) odbywały się według tego samego schematu. 2 maja do Michowa musiało więc przyjechać małe komando Niemców i ukraińskich policjantów, ich pomocników. Nie bez przymusowego udziału członków Jüdischer Ordnungsdienst spędzili Żydów na plac, uformowali konwój. Wśród krzyków, płaczu, modlitw i strzałów ruszył on do Nałęczowa.

Nie wiemy, jak zachowała się ludność Michowa, czy tak samo jak mieszkańcy Kurowa i wielu innych miasteczek. W Kurowie iluś Żydów ukryło się u znajomych chrześcijan, pazerni gapie rozłapali zostawione tobołki, a „szumowina" plądrowała opuszczone „prowizorki"; „wandalizm był cholerny", jak po cichu potem wspominano.

Krowy orały ziemię

Żydzi w Michowie mogli więc myśleć, że także ich gdzieś wywiozą.

Wcześniej Niemcy kazali przygotować furmanki i wykopać przy drodze na polach wsi Glinnik, na dziesiątym kilometrze drogi, głęboki dół – na zwłoki tych, którzy mieli po drodze zostać zabici. „Ale już w Marcinowie" (na siódmym kilometrze) „wóz był pełny" – opowiada gospodarz. „Musieli tam drugi dół wykopać".

W Marcinowie kobieta tu urodzona, wówczas już dorosła, relacjonuje mi, co się stało: „Jedni już w pozycji leżącej na wozach, inni, którzy jeszcze mogli iść, młodzi, szli obok, i już trupów przywieźli kilkanaście osób, sołtysa wezwali, policjantów granatowych z pobliskiego posterunku, wykopali mogiłę i wszystkich wrzucili do tej mogiły i zakopali. Jedna Żydówka była jeszcze chodząca, miała przestrzeloną twarz, słaniająca się na nogach, odeszła od tego miejsca, moja mamusia skierowała ją jeszcze, żeby poszła tam za szosę, za most, prosiła wody, mamusia podała jej wody, napiła się, oddaliła się, ale granatowy policjant ją spostrzegł i ją przyprowadził, zastrzelił na miejscu i wepchnęli do tej wspólnej mogiły". Wyjaśniła też, że zastrzelonych Niemcy zostawili sołtysowi i policjantowi, sami poszli dalej.

Widok „stosu zakrwawionych ciał" nie dawał potem usnąć staremu gospodarzowi, wtedy dorastającemu chłopcu. Zachowanie zwierząt gospodarskich pokazuje, że zbrodnia nie mieściła się także w świecie natury. Gdy na łączce ze świeżą mogiłą pasło się bydło – wspomina kobieta – to „krowy rogami rozorywały tę ziemię, beczały straszliwie, czuły po prostu, że tam coś się dzieje i dla nas to był... Po prostu trwogę przeżywałam, jak widziałam, że te krowy klęczą na kolanach i rogami rozorują tą ziemię w tym właśnie miejscu".

Napisałem o tym do Gminy Żydowskiej w Warszawie. W 2014 r. jej ekipa z georadarem odnalazła mogiłę. Dwa lata później dwaj Żydzi z amerykańskiej Matzevah Foundation wkopali na niej drewnianą macewę i zmówili modlitwę. Dół stał się grobem. W prasie ukazał się artykuł, w którym ludzie ze wsi uzupełnili opowieść mojej rozmówczyni: granatowy zastrzelił także uciekającego młodego Żyda, a gospodarz przepędził chętnych do przeszukania zwłok. Ten okrutny policjant, Polak, zginął potem z ręki partyzantów.

Do widzenia, pani Małko

Pochód posuwał się dalej i przeciął wieś Wielkie. ↦

↦ Stary gospodarz (miał wtedy 16 lat) zapamiętał, że z kolegami „polecieli pod szosę zobaczyć, jak Niemcy Żydów gnają. Jechał wóz z trupami tych, co ich zastrzelili, bo nie mogli iść. Przy drodze, na Lońkowym polu, już wcześniej wykopali dół, jeszcze długo znać było, gdzie był ten dół" (poza tą relacją nie słyszałem, by Niemcy kazali kopać takie doły na dalszym odcinku drogi).

Miejscowi wspominali, że od strony zbliżającego się konwoju „coraz to puuuk, puuuk, słychać było strzały". Podpici żandarmi strzelali do Żydów z byle powodu, zabitych zostawiali w przydrożnych rowach, a ktoś (było to na głowie sołtysów) ich na miejscu grzebał. Ile takich zapomnianych mogił jest przy drodze każdego takiego konwoju?

Pochód, który dotąd szedł wśród pól, przeszedł teraz przez las, który oddzielał gminy lubartowskie od gmin powiatu puławskiego i na trzynastym kilometrze wszedł w wieś Łąkoć, ciągnącą się wzdłuż drogi. Był tak długi, że jego czoło już wyszło ze wsi, a tył jeszcze w nią nie wszedł.

W Łąkoci wysłuchałem opowieści sędziwego gospodarza, który wszystko pamiętał (nawet mojego pradziadka, weterana wojny rosyjsko-tureckiej 1877-78): „Szli i szli, całą wieś zajmowali, było tylko paru strażników, na końcu jechał wóz z trupami". Może coś więcej pan pamięta? – pytałem. „No szli i szli". A może coś się wtedy zdarzyło? „Jedna Żydówka z Kurowa, nazywała się Małka, wynajmowała przed wojną sad u Stefana Dąbrowskiego. Potem poszła za mąż do Michowa. Stefan chciał przejść na drugą stronę drogi, na swoje pole, ale musiał stać i czekać, aż Żydzi przejdą. Żydówka go poznała z daleka. Dzień dobry, panie Stefanie. Dzień dobry. A jak już go minęła, to się odwróciła i powiedziała: Do widzenia. Do widzenia – odpowiedział Stefan".

Ludzie na wsi wiedzieli, z niemieckich ostrzeżeń i z deportacji Kurowa, że za odezwanie się z pochodu Żyd będzie zastrzelony i to samo może spotkać każdego, kto Żydowi pomoże. Być może ta minimalna wymiana pozdrowień była maksimum tego, co kobieta z drogi i gospodarz z pobocza mogli do siebie powiedzieć bez zwrócenia uwagi wachmanów. Może więcej nie potrafiliby z siebie wydobyć. Może wszystkie inne słowa nie miałyby wagi współmiernej z ciężarem sytuacji. Wczucie się w tę niby-zwyczajną scenę może przejąć egzystencjalnym drżeniem.

Paczka dla Hindy

Łąkoć i kolejne wsie nie należały już do gminy Michów, ludzie stąd nie byli związani z tamtejszymi urzędami i rynkiem, nie znali tam sklepikarzy i rzemieślników. Wsie te nie leżały też na „terenie" michowskich Żydów. Nawet w Marcinowie, po lubartowskiej stronie lasu, wśród 17 grzebanych Żydów ludzie ze wsi rozpoznali i zapamiętali tylko jednego: „Lejzura" z Michowa, który chodził po wsiach za handlem. Wielu Żydów z konwoju było wygnańcami z innych terenów, nikt ich tu nie znał i oni nie znali nikogo; także na tym polegała ich samotność. Gdyby nie Małka i Stefan z Łąkoci, może żaden Żyd na tym odcinku drogi nie rozpoznałby żadnej znajomej twarzy przy drodze i żaden chłop nie rozpoznałby żadnej twarzy na drodze.

Następną wsią, na piętnastym kilometrze, były Barłogi, znane mi osobiście. Na wygonie z widokiem na szosę stanęła grupa mieszkańców. Myślę, że jedni przyszli z płytkiej ciekawości, a inni z głębokiej potrzeby obecności. Sądzę, że całkiem obojętni i szczególnie wrażliwi zostali w domach. Kobieta tu urodzona miała wtedy 12 lat. Dobrze pamięta ten dzień: „Furmankami jechali, cała kawalkada. Mówili, że całą kupę pieniędzy zapłacili za to, żeby ich po ludzku przewieźć". A strażników pani pamięta? „Nie pamiętam, ale chyba ktoś ich musiał pilnować". Coś się zdarzyło? „Nie, nie, spokojnie jechali na tych furmankach, siedziało ich tam dużo, każda furmanka była obsiedzona, na siedzeniach i w ogóle wszędzie było pełno, na każdej furmance i furmanem był tam Polak, bo to były wynajęte te podwody".

Rozmówczyni słyszała, a historycy to potwierdzają, że gminy żydowskie same musiały opłacać wywózkę. Strażników było tak mało, że ich nawet nie zapamiętała. Jednego zapamiętała inna kobieta: „Niemiec zaleciał na wieś po wódkę, skierowali go do Ignaca, Ignac sam trzymał wódkę, ale przyprowadził Niemca do nas, wziął ode mnie flaszkę, dał mi 50 złotych, a pierścionek, co mu dał Niemiec, wziął sobie".

Na przysiółku Krupa nie znalazłem już nikogo, kto pamiętał przejście Żydów. Ostatnie świadectwo pochodzi więc z Kurowa, zapisane jest w żydowskiej „Księdze pamięci" (z 1955 r.). Gdy Chana Kotlarz, po kwietniowej wywózce pozostawiona z dziećmi w Kurowie (jako kucharka w małym obozie pracy), usłyszała, że będą prowadzić Żydów z Michowa, poprosiła znajomą chrześcijankę, by przygotowała jej paczkę z żywnością. Chciała ją podać siostrze męża, która po spaleniu Kurowa przez Niemców w 1939 r. przeniosła się do Michowa, do teściów.

Chana wspominała: „Kiedy poszliśmy pod szosę, zobaczyłam pięciu lub sześciu Niemców, jak prowadzili całe to miasto Żydów. Mordechaj, mąż Hindy, próbował uciec, ale Niemcy go zastrzelili. Zobaczyłam Hindę i jej sześcioro dzieci siedzących na wozie i dałam jej tę paczkę. Wtedy ostatni raz widziałam siostrę męża i szóstkę jej dzieci". Własna rodzina Chany ocalała, przechowana u kilku polskich rodzin z okolicy, znalezionych przez miejscowego proboszcza.

Na stacji pod Nałęczowem oprawcy dokonali „selekcji" Żydów. Większość wysłali do Sobiboru, a część przejściowo do getta w Opolu Lubelskim lub obozu pracy w Poniatowej (skąd też trafili oni do Sobiboru lub zginęli na miejscu).

Cierpienie cudze, cierpienie własne

Jakie uczucia żegnały Żydów z konwoju? Sceny z Marcinowa pokazują, jak różne były postawy. Na jednym skraju samarytańskie miłosierdzie i wstrząs. Na drugim próba obszukania zwłok i policjant, który zabija. Podobnie jest w opowieści kobiety z położonej kilometr od szosy wsi Zastawie (miała wtedy 16 lat): „Wiosna to była, z naszego pola widać było szosę, jechało ży-

ZE ZBIORÓW ŻIH

Tak mógł wyglądać konwój opisany w tekście. Na zdjęciu: konwój Żydów z Mielca do obozu śmierci, 1942 r.

dostwo na wozach, cały tabor szedł. Matka ręce załamywała, a ojciec mówił, że z nami zrobią to samo". Na pytanie o innych odpowiada: „To nieprawda, co teraz mówią, nikt się tu nie cieszył, że Żydów zabierają". Po chwili dodaje: „Ci, co tak myśleli, nic nie mówili, tylko Żydów zabijali" (ma tu na myśli wcześniejsze i późniejsze zabójstwa Żydów ukrywających się w tej okolicy).

W pamięci miejscowej nie zachowały się ślady tego nastawienia wobec wywożonych Żydów, które mogło być tu dominujące, a które trudno nazwać jakimś jednym słowem. To uczucie nie wyrażało się w słowach i gestach, łatwiejszych do zapamiętania niż same przeżycia. Przeciwnie, wyrażało się w braku takich słów i gestów.

Przed wojną chłopi i Żydzi byli dla siebie nawzajem obcy społecznie i kulturowo. Wojna zmieniła dystans lub niechęć do Żydów w izolację. Przerwała więź ekonomiczną i kontakty między nimi; żydowskie interesy zniknęły z miasteczek, a kupcy i sprzedawcy – ze wsi. Żydzi w konwoju byli dla mijanych wsi obcy podwójnie: nie byli miejscowi, dla jednych pochodzili „zza lasu", dla drugich – nie wiadomo skąd. Żydzi przeszli, a mieszkańcy wiosek wrócili do domów i rodzin, by dalej zmagać się z niemieckim terrorem, bezwzględnym ściąganiem kontyngentu, okupacyjną biedą i brakiem wszystkiego.

Silna tutaj partyzantka (Bataliony Chłopskie, BCh) walczyła z Niemcami, ale strach przed represjami był na wsi powszechny: przed spaleniem i egzekucjami za partyzantkę i przed obozem za nieoddane parę kilo zboża (z obozu w Kazimierzu, jeśli kto wracał, to z tyfusem).

Za partyzantkę niemiecka ekspedycja rozstrzelała w Łąkoci 10 mężczyzn i przechodzącą przez wieś kobietę, a później spaliła wieś „do imentu". Barłogi były palone dwa razy. Gdy powiedziałem tam komuś, że wyniszczenie Żydów było czymś wyjątkowym, bo Niemcy cały naród spalili, usłyszałem: „Nas też spalili, całą rodzinę żywcem spalili, z małymi dziećmi". W lasku pod tą wsią Niemcy zakopali ciała 50 konspiratorów i zakładników, przywiezionych z Zamku lubelskiego, powieszonych i rozstrzelanych w Kurowie. Pod wpływem własnego cierpienia blaknie pamięć o cierpieniu innych. Socjologia nazywa to egoizmem ofiar.

Pochodów kilkaset

W słowach moich rozmówców odbija się co najmniej zdziwienie: dlaczego szli, dlaczego nie próbowali uciekać? „I tak na śmierć, i tak na śmierć, no nie? No, powstanie przecież żydowskie było w Warszawie" – powiedziała mi wiekowa sanitariuszka z BCh, która wiosną 1942 r. nie mogła jednak wiedzieć o obozach śmierci (ani o powstaniu, które wybuchnie następnej wiosny).

„Pilnowało ich paru starych śkopów, jakby się rzucili na nich, toby ich wybili i uciekli" – zapewniał gospodarz, dawny „trochę partyzant". I wyjaśnił to po swojemu, językiem krzywdzącej „antropologii": „Żydostwo było bojące". Inny gospodarz z tej samej wsi, młodszy, wyjaśnia to jednak sytuacyjnie: „Mogli się rozbiec, Niemców wydusić, ale gdzie się podziać?". Faktycznie, kilkuset Żydów z pobliskiego Markuszowa w przeddzień wywózki uciekło w lasy, ale wkrótce zostali tam wybici przez Niemców i ich pomocników z formacji kolaboranckich. Do udziału w obławach Niemcy przymuszali chłopów, jako nagonkę. Nieliczni ocaleli stworzyli zbrojną grupę przetrwania. Gdy zrobili „wypad", byli dla chłopów „partyzantami"; gdy przychodzili w nocy zabrać im żywność, byli „bandą".

Takich jak ten pochodów przeszło 77 lat temu przez ziemie okupowanej Polski kilkaset. Upamiętnia je relief na Pomniku Bohaterów Getta w Warszawie. Pochód do zagłady umieszczono na tylnej stronie pomnika – stanowi dyskretne tło dla wyrzeźbionej na frontowej stronie grupy Żydów walczących.

Zagłada Żydów z Michowa została upamiętniona przez ziomkostwo michowskie w Izraelu. Na cmentarzu w Holonie koło Tel Awiwu jest grób-pomnik z inskrypcją:

„MICHÓW, okręg Lublin.

Kości te to cały dom Izraela [Ez 37:11].

O Boże, nie trwaj w milczeniu, nie milcz i nie spoczywaj, Boże! [Ps 83:1]

Tu są pogrzebane popioły naszych świętych, którzy stracili życie 9 maja 1942 r.

Bóg pomści ich śmierć".

© ANTONI SUŁEK

Autor jest emerytowanym profesorem UW, pracuje na Uniwersytecie Łódzkim. Ostatnio napisał książkę „A Mirror on the High Road" (Berlin 2019), a w „Tygodniku" artykuł „Kto pomagał, kto zabijał" (nr 8/2018). Za badania nad Zagładą otrzymał Medal „Powstanie w Getcie Warszawskim".

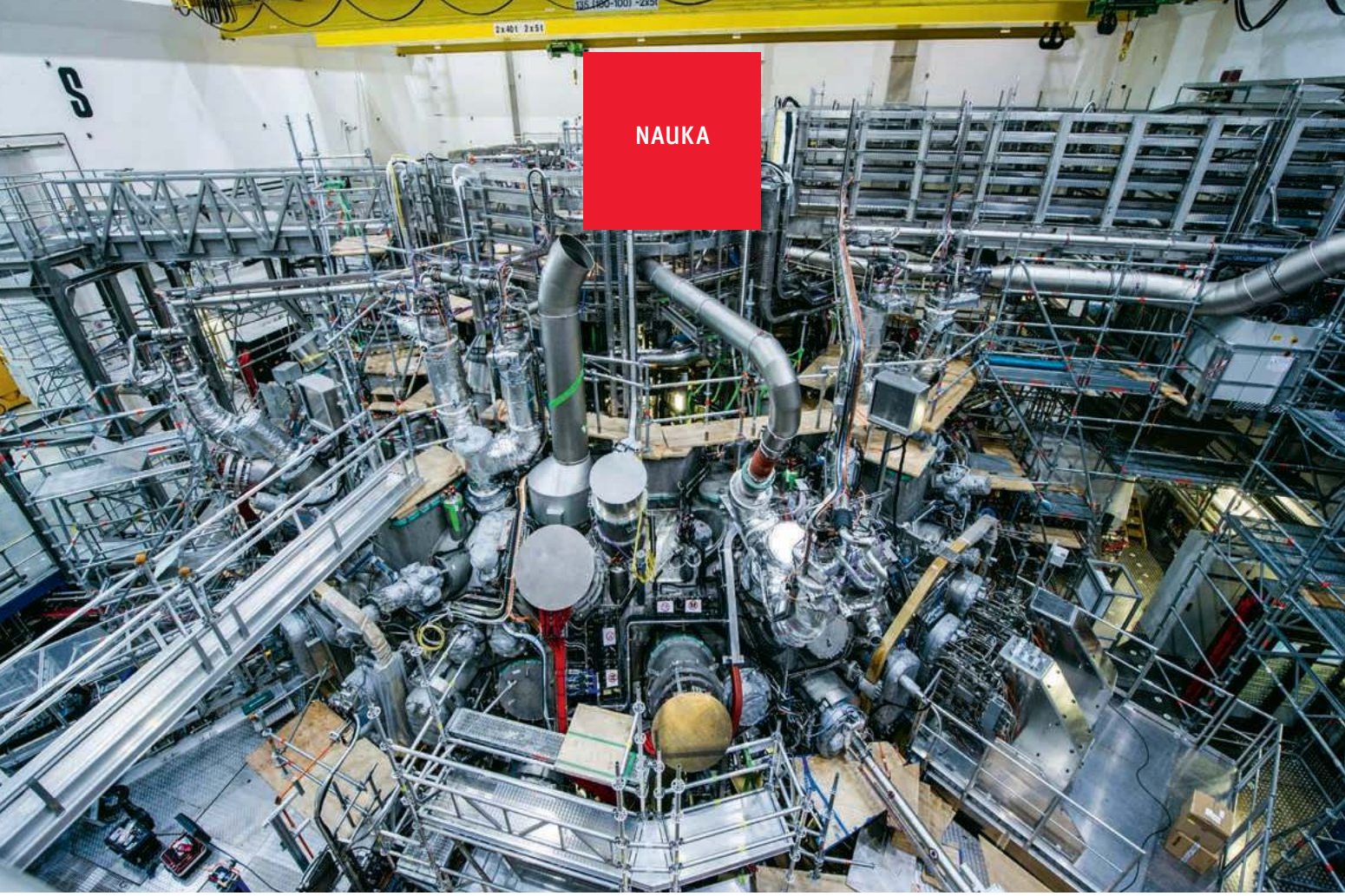

Stellarator Wendelstein 7-X w Instytucie Maksa Plancka w Greifswaldzie, Niemcy, 2015 r.

ENERGIA Z GWIAZD I Z OBWARZANKÓW

Od kilkudziesięciu lat słyszymy, że elektrownie termojądrowe to przyszłość wydajnej i przyjaznej środowisku energetyki. Niestety, ta przyszłość uparcie nie nadchodzi.

MIROSŁAW DWORNICZAK

Trzeba wziąć nieco deuteru albo mieszaniny deuteru z trytem, solidnie podgrzać – i gotowe. Rozpoczyna się proces fuzji jądrowej, prowadzący do powstawania cięższych pierwiastków i wyzwalający gigantyczną, a przy tym czystą energię. Idea w założeniu prosta, kopiuje zjawisko znane z przyrody. Ale jak dotąd nikomu się to nie udało w warunkach kontrolowanych.

Na początku był wodór

Historia badań nad fuzją jądrową sięga lat 30. XX w. Najbardziej zaawansowane prace poświęcone łączeniu się jąder atomowych prowadzono na Uniwersytecie w Cambridge w słynnym Laboratorium Cavendisha, którego szefem był Ernest Rutherford – odkrywca jądra atomowego. Zaczęło się od teoretycznych rozważań dotyczących tego, skąd się bierze energia gwiazd. W 1920 r. Arthur Eddington zasugerował, że jest ona wynikiem łączenia się jąder wodoru, ale jego pomysł spotkał się z dużym sceptycyzmem.

Jednak tuż przed wybuchem II wojny światowej spójną teoretyczną koncepcję nukleosyntezy przedstawił Hans Bethe. Zgodnie z nią w gwiazdach zachodzi cykl reakcji, który rozpoczyna się połączeniem dwóch protonów (jąder wodoru). W wyniku tej reakcji powstaje jądro deuteru, które wchodzi w kolejną reakcję z protonem, dając w efekcie jądro helu-3. Następnie dwa jądra helu-3 łączą się, dając jako produkt końcowy jądro helu-4 oraz dwa protony. Sumarycznie, w wersji uproszczonej: 4 jądra wodoru dają jądro helu-4 oraz sporą ilość energii. Powstaje ona w wyniku przekształcenia części masy jąder wodoru w energię, zgodnie ze znanym wzorem Einsteina $E = mc^2$.

Enrico Fermi obliczył w 1944 r., że aby reakcja była samopodtrzymująca, niezbędne jest osiągnięcie minimalnej temperatury 50 mln stopni.

W fizyce, ale też przecież w życiu, aby uzyskać pewną korzyść, trzeba zwykle najpierw zainwestować. Weźmy pod uwagę zderzenie dwóch protonów. Ponieważ są to dwie cząstki naładowane dodatnio, będą się odpychać. Aby doszło do ich zetknięcia się, trzeba je przyspieszyć do takiej prędkości, aby przekroczona została elektryczna „bariera odpychająca" – bo gdy protony będą odpowiednio blisko, znajdą się już pod wpływem swoich sił jądrowych, które odpowiadają ostatecznie za zajście reakcji jądrowej i uwolnienie energii. Potrzebna jest więc „na zaczyn" pewna dawka energii ruchu, czyli energii kinetycznej. Wysoka energia kinetyczna to natomiast tak naprawdę tylko inna nazwa na wysoką temperaturę – stąd „termo-" w określeniu „reakcja termojądrowa".

Pierwsze prace eksperymentalne nad tymi reakcjami to dzieło sir Marka Oliphanta, pracującego właśnie w Laboratorium Cavendisha. To on odkrył istnienie jąder helu-3 oraz trytu – najcięższego z izotopów wodoru, złożonego z protonu i dwóch neutronów. Oczywiście w tamtym czasie nie był w stanie uzyskać reakcji samopodtrzymującej, ale pokazał, że możliwe jest uzyskanie wspomnianych izotopów helu i wodoru. Pierwszy krok został wykonany.

Wyniki badań fizyków zainteresowały armię. Już w trakcie projektu Manhattan, mającego na celu stworzenie bomby jądrowej (uranowej i plutonowej), powstał specjalny zespół, którego zadaniem było opracowanie koncepcji bomby termojądrowej – opartej na procesie łączenia jąder lekkich pierwiastków, a nie na rozpadzie promieniotwórczych pierwiastków ciężkich (jak w bombie atomowej). Pracami kierował Edward Teller, a niebagatelną rolę odegrał w nich także polski matematyk Stanisław Ulam.

Pierwszy ładunek termojądrowy o mocy wybuchu ok. 10 MT (tzn. równej eksplozji 10 mln ton trotylu, ponad 600 razy potężniejszy od bomby atomowej, która spadła na Hiroszimę) został zdetonowany przez Stany Zjednoczone w 1952 r. Największa bomba termojądrowa powstała w ZSRR – jej moc szacuje się na 58 MT. Naukowcy oraz inżynierowie nauczyli się budować straszliwe bomby, ale już wtedy rozważano możliwość zaprzęgnięcia gigantycznej energii syntezy jądrowej do celów pokojowych. Pierwsze eksperymentalne elektrownie jądrowe oparte na reakcji rozpadu powstały pod koniec lat 40. XX w., a w kolejnej dekadzie zaczęto je budować na dużą skalę. W tym samym czasie powstawały też pierwsze projekty elektrowni opartych na zjawisku fuzji jądrowej. Wydawało się, że konwencjonalne wersje powstaną nie później niż na początku lat 70. XX w.

Problemy i tokamaki

Aby zainicjować proces fuzji, trzeba podgrzać izotopy wodoru – deuter albo jego mieszaninę z trytem – do wielkiej temperatury. To pierwszy problem. Drugim, jeszcze poważniejszym jest utrzymanie powstałej w tym procesie plazmę w jednym miejscu i w stabilnej formie. Nie istnieje żaden materiał, który mógłby być pojemnikiem dla gorącej plazmy. Można jednak wykorzystać jej właściwości. Jest ona dobrym przewodnikiem prądu (ponieważ składa się z jonów). Wiemy, że ładunki elektryczne oddziałują z polem magnetycznym. Jeśli więc stworzymy pole o odpowiednim kształcie, plazma będzie się poruszać ruchem okrężnym wokół linii pola, ale też wzdłuż tych linii.

To zjawisko legło u podstaw konstrukcji zwanej tokamakiem. Pomysł zrodził się w Związku Radzieckim w 1950 r., a jego autorami są Igor Tamm oraz Andriej Sacharow. Zaproponowali oni budowę komory w kształcie torusa (obwarzanka), wokół której umieszczona jest cewka magnetyczna. Do wnętrza tokamaka wprowadza się deuter albo jego mieszaninę z trytem. Włączenie prądu wokół torusa powoduje ogrzewanie i jonizację atomów, co daje w efekcie plazmę. Wytworzona gorąca plazma ma się utrzymywać wewnątrz torusa właśnie dzięki oddziaływaniu z polem magnetycznym.

Mamy tutaj poważne wyzwanie inżynierskie. Temperatura plazmy może sięgać 100 mln stopni. Z kolei pole magnetyczne musi być bardzo silne, co wiąże się z koniecznością silnego chłodzenia cewek (bliskiej zera absolutnego), aby można uzyskać tam efekt nadprzewodnictwa. W odległości kilku metrów mamy więc materię o ekstremalnie wysokiej i ekstremalnie niskiej temperaturze. Zapewnienie izolacji cieplnej jednej od drugiej jest bardzo trudne.

Eksperymentalne tokamaki powstały pod koniec lat 50. XX w. Jednak żaden z nich nie był w stanie osiągnąć dodatniego bilansu energii (tzw. wartości Q, czyli stosunku energii wprowadzonej do systemu do uzyskanej z syntezy jądrowej, większej od 1), mimo kilkudziesięciu lat eksperymentów. Do układu trzeba dostarczyć więcej energii, niż jesteśmy w stanie z niego uzyskać.

Największym działającym tokamakiem w Europie jest znajdujący się w Wielkiej Brytanii Joint European Torus, znany jako JET. Uruchomiony na początku lat 80. XX w. jest reaktorem testowym, gdzie bada się koncepcje konstrukcyjne, które będą wykorzystane przy budowie następnych tokamaków, w szczególności obecnie tworzonego europejskiego projektu ITER. Promień torusa tego reaktora ma 3 m, a objętość plazmy wynosi ok. 100 m^3. Torus otacza zespół 32 magnesów, z których każdy waży 12 ton. Przez uzwojenia biegnie gigantyczny prąd o natężeniu 5 mln amperów. Uzyskanie plazmy wymaga doprowadzenia energii rzędu 500 MW. Aby móc taką ogromną ilość energii zgromadzić, stosuje się tzw. akumulator energii kinetycznej, którego zasada działania zbliżona jest do koła zamachowego. Dalsze prace nad tą konstrukcją stoją pod znakiem zapytania ze względu na brexit.

Aktualnie trwa budowa niedaleko Marsylii innego międzynarodowego tokamaka w ramach projektu ITER. Pierwotne plany zakładały oddanie go do użytku – wyłącznie badawczego – w 2019 r., ale dziś wiemy, że nie stanie się to wcześniej niż w 2025 r.

Stellaratory

Gdy Związek Radziecki konstruował tokamaki, w USA w latach 50. XX w. astrofizyk Lyman Spitzer wpadł na pomysł innego urządzenia, które od łacińskiego ↦

STEFAN SAUER / AFP PHOTO / DPA / EAST NEWS

słowa *stella* (gwiazda) nazwał stellaratorem. W tym przypadku plazma nie jest zwinięta w helisę jak w tokamaku, ale przypomina kilkakrotnie zwiniętą wstęgę Möbiusa. Obliczenia sugerują, że w ten sposób łatwiej jest stabilizować gorącą plazmę. W pewnym sensie stabilizuje się ona sama z siebie. Wymaga to zbudowania specjalnej komory, zwykle z bardzo odpornego termicznie wolframu. Konstrukcja cewek oplatających komorę jest w tym przypadku znacznie bardziej złożona niż w przypadku tokamaka.

Pierwsze niewielkie konstrukcje dawały nadzieję na szybki postęp. Jednak w latach 60. XX w. okazało się, że większe modele generują istotne problemy. W każdym z urządzeń utrzymujących plazmę w pułapce następuje jej rozpraszanie – zaczyna ona po prostu uciekać ze stworzonej wstęgi. Zanikanie plazmy w stellaratorach następowało znacznie szybciej, niż przewidywały to modele teoretyczne. Początkowy entuzjazm dość szybko opadł i stellaratory przez jakiś czas były tylko ciekawostką naukową. Mniej więcej po dwóch dekadach powrócono do tej koncepcji i na przełomie XX i XXI w. rozpoczęły się ponowne badania. Obecnie zaawansowane są trzy konstrukcje oparte na stellaratorze – Helically Symmetric Experiment (HSX) znajdujący się na Uniwersytecie Wisconsin-Madison (USA), japoński Large Helical Device (LHD) oraz zbudowany tuż obok naszej granicy Wendelstein 7-X (Greifswald, Niemcy).

Ten ostatni na dziś wydaje się najbardziej obiecującą konstrukcją. Pierwsze plany zaczęto opracowywać już w 1980 r., ale sam projekt był wdrażany dopiero po zjednoczeniu Niemiec w 1994 r. (Greifswald leży na terenie dawnego NRD). Zakładano osiągnięcie zdolności operacyjnej w 2006 r., ale problemy z konstrukcją cewek spowodowały duże opóźnienia. Inauguracja gotowego stellaratora nastąpiła w maju 2014 r. Pierwsze testy prowadzono z użyciem helu. W grudniu 2015 r. udało się go podgrzać do temperatury miliona stopni, a już w lutym następnego roku – dziesięciokrotnie wyższej.

Obecnie w urządzeniu prowadzone są eksperymenty z plazmą wodorową. Kilka miesięcy temu poinformowano, że udało się osiągnąć temperaturę 20 mln stopni i utrzymać plazmę przez 100 sekund. To bardzo obiecujący wynik.

Projekt Wendelstein 7-X jest finansowany przede wszystkim przez Niemcy, ale pewna część środków pochodzi z Unii Europejskiej. Od jakiegoś czasu do budżetu dokładają się także Amerykanie. W badania zaangażowanych jest wiele instytucji naukowych z Niemiec, USA, Japonii oraz Unii. Swój udział mają też polskie placówki – Instytut Fizyki Plazmy i Laserowej Mikrosyntezy z Warszawy, Narodowe Centrum Badań Jądrowych z Warszawy oraz krakowski Instytut Fizyki Jądrowej PAN.

Marzenia o zimnej fuzji

Niezależnie od tego, czy dalsze prace rozwojowe pójdą w kierunku konstrukcji tokamaka czy też stellaratora, do rozwiązania pozostaje wiele problemów. Oprócz kłopotów ściśle konstrukcyjnych cały czas trwają prace nad metodami pozyskania trytu, który jest najefektywniejszym źródłem energii fuzyjnej. Jego produkcja jest jak na razie ekstremalnie droga, choć jeśli reaktory fuzyjne zaczną być budowane, pojawi się na niego duże zapotrzebowanie, co powinno napędzić produkcję i obniżyć ceny. Niestety, nie da się go wyprodukować na większy zapas – jego czas rozpadu to nieco ponad 12 lat.

Starsi czytelnicy zapewne pamiętają, że wiosną 1989 r. świat obiegła sensacyjna wiadomość o dokonaniu dwóch fizyków, Martina Fleischmanna i Stanleya Ponsa, którzy poinformowali, że udało im się uzyskać energię z fuzji atomów deuteru przez elektrolizę w temperaturze pokojowej ciężkiej wody na elektrodach wykonanych z palladu. Entuzjastyczne tytuły w prasie wieszczyły koniec problemów z energią na Ziemi. Jednak pomimo kilku lat eksperymentów nikomu nie udało się powtórzyć tych wyników.

Zimna fuzja Ponsa i Fleischmanna była powodem, dla którego noblista Julian Schwinger demonstracyjnie zrezygnował z członkostwa w Amerykańskim Towarzystwie Fizycznym po tym, gdy jedno z czasopism odrzuciło jego artykuł, który miał wyjaśniać przebieg tego zjawiska. Dziś pod pojęciem zimnej fuzji rozumiemy każdą metodę łączenia lekkich jąder, w której nie jest konieczna temperatura kilku lub kilkudziesięciu milionów stopni.

W niektórych ośrodkach naukowych trwają prace nad taką właśnie zimną fuzją, ale są to projekty ściśle naukowe i niewielu naukowców wierzy, że jest szansa na ich praktyczne zastosowanie.

© MIROSŁAW DWORNICZAK

Minimum pół wieku

MARCIN JAKUBOWSKI, FIZYK:

Spodziewam się, że elektrownie termojądrowe zaczną działać za 50 lat. Do tego czasu musimy inwestować w elektrownie atomowe i odnawialne źródła energii.

MIROSŁAW DWORNICZAK: Tokamak czy stellarator? Która z tych konstrukcji ma większą szansę na to, aby uzyskać efektywną energię? A może są plany zupełnie nowych urządzeń?

MARCIN JAKUBOWSKI: Dwa główne trendy badań to nadal tokamaki i stellaratory. Tokamak jest najbardziej zaawansowanym konceptem reaktora termojądrowego: europejski JET i amerykański TFTR potrafiły wytworzyć znaczącą ilość energii z reakcji syntezy termojądrowej (JET w 1997 r. 16 MW, co dało wartość Q = 0,65). ITER powstający na południu Francji ma już osiągnąć Q = 10, czyli wytworzyć 10 razy więcej energii, niż się w niego włoży.

Stellaratory w rozwoju są o jedną generację do tyłu. Dopiero Wendelstein 7-X – na którym obecnie pracuję, po wielu latach pracy na tokamakach – i japoński LHD rozmiarem dorównują dużym tokamakom i żaden jeszcze nie badał plazm z deuterem i trytem. Ale myślę, że w przyszłości to stellaratory będą pracującymi reaktorami. Są trudniejsze w budowie, bo mają bardziej skomplikowany kształt niż tokamaki, ale nie potrzebują prądu płynącego w plazmie, który jest niezbędny tokamakowi, by stworzyć utrzymujące ją pole magnetyczne.

Tokamak jest trochę jak baron Münchausen, który sam siebie wyciągał za włosy z jeziora; plazma sama wytwarza część pola magnetycznego, które ją utrzymuje w komorze.

W efekcie zjawiają się w niej niestabilności, które mogą doprowadzić do zerwania sznura plazmy. Dlatego tokamaki wymagają skomplikowanych systemów automatycznej kontroli, tak by móc uniknąć niestabilności. Stellaratory nie mają tego problemu. Całe pole magnetyczne wytwarzane jest przez zewnętrzne cewki magnetyczne, przez co działają bardzo stabilnie, co pokazał Wendelstein 7-X. Podczas ostatniej (drugiej w historii) kampanii udało nam się uzyskać plazmy trwające nawet 100 sekund. Tak długie wyładowania są ogromnym wyzwaniem dla tokamaków działających impulsowo. Stellaratory mogą działać w sposób ciągły. W przypadku Wendelsteina 7-X długość wyładowania była ograniczona powodami technicznymi, a nie możliwościami plazmy. W dodatku stellarator w Greifswaldzie zbliżył się także dość mocno do tokamaków pod względem parametrów plazmy (gęstości, temperatury i czasu utrzymania energii).

Co rusz z USA słyszymy o nowych startupach, które już za parę lat mają produkować energię w urządzeniach wielkości stołu. Bardzo sceptycznie podchodzę do takich stwierdzeń. Reaktory termojądrowe (wbrew wizji z filmu „Powrót do przyszłości") muszą być duże. Energia wyprodukowana w reaktorze jest proporcjonalna do jego objętości, straty energii są proporcjonalne do powierzchni plazmy. Im większy rozmiar reaktora, tym lepszy stosunek objętości do powierzchni.

Już kilkadziesiąt lat temu pisano, że elektrownie oparte na fuzji jądrowej to kwestia 10-15 lat. Jak Pan to widzi z dzisiejszej perspektywy?

Jest nawet taki żart wśród fizyków z mojej dziedziny, że jedyną wielkością stałą w badaniach nad syntezą termojądrową jest 30 lat do elektrowni termojądrowej.

W latach 90. weszliśmy w fazę rozwoju, w której potrzebne są duże eksperymenty, wykraczające poza możliwości jednego kraju. Dlatego projekty takie jak ITER powstają jako konsorcja międzynarodowe, które wymagały długich i skomplikowanych negocjacji polityków. Te opóźniły ITER o kilkanaście lat. Do tego dochodzi różnica skali i skomplikowania projektu. Wendelstein 7-X był opóźniony o siedem lat, bo na początku XXI wieku nie doceniono, jak bardzo jest skomplikowany. Wymagał wielu technologii, które trzeba było udoskonalić.

ARCH. PRYWATNE

DR MARCIN JAKUBOWSKI zajmuje się syntezą termojądrową, pracuje w Instytucie Fizyki Maksa Plancka w Greifswaldzie przy projekcie Wendelstein 7-X.

Teraz działa wyśmienicie, choć trzeba było przejść z eksperymentów czysto naukowych na eksperymenty, które coraz bardziej przypominają działające elektrownie. ITER ruszy na dobre około 2025 r., więc można się spodziewać, że pierwszy prototyp elektrowni powstanie 20-30 lat po jego uruchomieniu. Oprócz Europy mocno w syntezę termojądrową inwestują Chiny i Korea Południowa, co dobrze wróży rozwojowi technologii. Można też na to spojrzeć inaczej – gdy uda nam się opanować produkcję energii syntezy termojądrowej, to pozyskamy źródło energii na miliony lat. Paliwem reaktora termojądrowego jest deuter, który można pozyskać z wody w oceanach, i tryt, który zostanie wytworzony w cyklu zamkniętym w samym reaktorze. Czymże jest więc kilkadziesiąt lat oczekiwania wobec praktycznie – w skali czasowej ludzkości – niewyczerpalnego źródła energii?

Umiemy już „zapalać" plazmę i uzyskiwać znaczącą temperaturę. Co jest obecnie największym problemem, który trzeba rozwiązać, zanim stworzymy elektrownię opartą na fuzji jądrowej?

Widzę dwa duże wyzwania na następne lata. Pierwsze to krawędź plazmy i jej oddziaływanie z komorą reaktora. Musimy znaleźć materiały, które wytrzymają bombardowanie neutronów i ogromne strumienie ciepła (porównywalne z tymi, których doświadcza rakieta przechodząca przez atmosferę ziemską podczas lądowania) na tyle długo, by reaktor termojądrowy był opłacalny, czyli by nie trzeba było elementów pierwszej ściany wymieniać zbyt często. Drugie wyzwanie, w przypadku tokamaka, to zapewnienie stabilności plazmy, przy minimalnej informacji diagnostycznej, którą będzie miała elektrownia. Obecne eksperymenty mają dużo sensorów pomiarowych, które pozwalają dokładnie mierzyć, co się dzieje w plazmie, i reagować na niepożądane zjawiska. W elektrowni większość z sensorów nie będzie działała w wyniku bombardowania neutronami. Drugi problem staje się łatwiejszy do pokonania, gdy zdecydujemy się na stellarator.

W jakim kierunku powinna pójść energetyka, jeśli na elektrownie termojądrowe trzeba będzie jeszcze długo czekać?

Na pewno musimy zrezygnować z węgla, który truje nas, środowisko i powoduje ocieplenie klimatu. Najkorzystniejszy wydaje się miks energetyczny: wiatr, woda, słońce i obecnie elektrownie jądrowe. Gdy wieje i dochodzą do nas promienie słoneczne, energetyka odnawialna daje sobie świetnie radę. Problem zaczyna sie, gdy nie wieje i nie świeci, a tak się przecież zdarza. Nawet przy stuprocentowym pokryciu średniego zapotrzebowania (co jest ogromym wyzwaniem) przez znaczącą część czasu nie będzie na tyle światła słonecznego i wiatru, by wyprodukować w każdej chwili tyle energii, ile potrzebowałaby Polska. Zwłaszcza przemysł potrzebuje bazowego, pewnego źródła energii. Ale także najludniejsze państwa, jak Chiny i Indie, nie zaspokoją swoich potrzeb tylko przy pomocy wiatru i Słońca. W dodatku w krajach rozwiniętych rośnie, a nie maleje zapotrzebowanie na energię – wkrótce jeszcze więcej jej będzie trzeba do zasilania samochodów elektrycznych. Sam wiatr i fotowoltaika nie wystarczą, potrzeba nam pewnego źródła energii, które łatwo można multiplikować. Przez następne 50 lat widzę w tej roli elektrownie jądrowe, które jako jedyne są w stanie produkować energię na każdej szerokości geograficznej o każdej porze dnia i nocy, nie emitując przy tym gazów cieplarnianych. Później dołączą elektrownie termojądrowe.

© Rozmawiał MIROSŁAW DWORNICZAK

COPERNICUS FESTIVAL

Copernicus Festival 2019 poświęcimy językowi. Na wykłady, dyskusje, projekcje filmów, wystawy, warsztaty i koncerty zapraszamy do Krakowa od 21 do 26 maja.

DLACZEGO JĘZYK?

PRZYJĘCIE DWUNOŻNOŚCI, uwolnienie wyobraźni, opanowanie ognia, produkcja narzędzi, rozbłysk świadomości, rozwój moralności – wszystkie te zdarzenia były niewątpliwie kamieniami milowymi naszej ewolucyjnej podróży. Gdybyśmy jednak zapytali o najbardziej przełomowy etap historii naszego gatunku zarówno przypadkowych przechodniów, jak i wybitnych uczonych, to większość jednych i drugich prawdopodobnie wskazałaby na pojawienie się języka.

W KOŃCU TO JĘZYK POZWALA NAM PRECYZYJNIE się porozumiewać, porządkować myśli oraz wybiegać nimi w przyszłość i przeszłość. Bez językowej komunikacji nie bylibyśmy w stanie koordynować działań, stworzyć instytucji społecznych, zbudować cywilizacji czy założyć państw. Nie stworzylibyśmy filozofii, która mówi nam, jak powinniśmy żyć na tym świecie, ani nauki, która nam ten świat oswaja, a życie w nim – ułatwia. W języku wyrażane są normy moralne i prawne, a największe religie opierają się na boskim objawieniu – przekazanym słowami proroków i zapisanym w świętych księgach. Język to także narzędzie twórcze pozwalające pisarzom i poetom eksplorować światy, które istnieją tylko – a może wcale nie „tylko"? – w wyobraźni artystów i odbiorców. Bez języka niewiele byśmy stworzyli ani osiągnęli.

MIMO WIELU LAT REFLEKSJI, badań i odkryć, wciąż nie wiemy o nim wszystkiego. Nie potrafimy wskazać momentu, w którym nasi przodkowie zaczęli się nim posługiwać, ani zbyt szczegółowo zrekonstruować drogi, po której do niego doszli. Wciąż spieramy się o to, czy został wdrukowany w naszą naturę przez dobór naturalny, czy raczej jest naszym najwspanialszym wspólnym wynalazkiem. Nie umiemy go wyraźnie oddzielić od sposobów komunikacji, które spotykamy u innych zwierząt, ani odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu inne gatunki są w stanie – przy naszej wydatnej pomocy – nauczyć się nim posługiwać. Dopiero zaczynamy odkrywać, jak przetwarzany jest w naszym mózgu i jak bardzo przyswojenie go może ten mózg przeorać. Nie wiemy, czy potrafimy percypować świat inaczej niż przez językowe okulary, ani w jakim stopniu zwyczaje językowe zniewalają nasze myśli i kształtują zachowanie. Nie możemy być pewni, czy język nam czegoś nie zabiera.

JĘZYK MA SWOJE JASNE I MROCZNE STRONY. Pozwala przeklinać i błogosławić, budować i niszczyć, zniewalać i dawać wolność, jednoczyć i wykluczać. Zawierać sojusze i spiskować, przebaczać i pielęgnować urazę. Wyrażać miłość i rozsiewać nienawiść. Sprawiać radość i smutek, pocieszać i dręczyć. Nic tak dobrze jak język nie pozwala się wyrażać naszej ambiwalentnej naturze. Nic w większym stopniu nie czyni nas – aż i tylko – ludźmi.

W NASZEJ PODRÓŻY po różnych wymiarach języka tradycyjnie towarzyszyć nam będzie grono znakomitych przewodników – gości specjalnych Copernicus Festival. Wielokrotnie nagradzany kanadyjski filozof Charles Taylor, który poświęcił problematyce języka, znaczenia i rozumienia wiele rozpraw. Amerykański lingwista i antropolog Daniel Everett – słynny badacz zwyczajów językowych amazońskich plemion i popularyzator teorii języka jako kulturowego wynalazku. Fizyk Paul Davies, który zgłębia najsubtelniejszy język wszechświata – matematyczne prawa mechaniki kwantowej i kosmologii – a w ramach programu SETI poszukuje pozaziemskiego, być może zdolnego do komunikacji, życia. Elżbieta Muskat-Tabakowska – filolog angielska i kognitywistka, artystka przekładu. Jerzy Bralczyk – językoznawca, mistrz polskiej mowy i filar językowej poprawności.

FESTIWAL ZAINAUGURUJE 21 MAJA W MUZEUM NARODOWYM koncert zatytułowany „Leonardo da Vinci – gramatyki tworzenia". W jego programie znajdą się kompozycje i pieśni renesansowe z czasów Leonarda da Vinci oraz utwory wczesnobarokowe. Otworzy go kompozycja samego Leonarda, której zapis nutowy znajduje się na jego obrazie „Il musicista". Koncert nawiązywać będzie do obchodzonej w maju 500. rocznicy śmierci włoskiego artysty. Wystąpią: Sławomir Zubrzycki, budowniczy i wirtuoz zaprojektowanego przez Leonarda instrumentu viola organista, oraz Daniel Elgersma, młody, niezwykle utalentowany kontratenor z Holandii.

Wstęp na wszystkie wydarzenia festiwalowe jest darmowy (na niektóre wydarzenia obowiązuje rezerwacja miejsc), a wiele z nich będzie transmitowanych w internecie na www.youtube.com/copernicuscenter.
Więcej na **www.copernicusfestival.com**

W ramach Festiwalu odbędą się również między innymi wernisaż wystawy „Sztuka wystawiania języka" 21 maja w Fundacji Tytano, koncert Łony i Webbera 25 maja w Forum Przestrzenie, wystawa interaktywna „Inventio: Język maszyn" 26 maja w Cricotece oraz projekcje filmów w kinie Mikro.

TYGODNIK POWSZECHNY

muzyka W TYGODNIKU

Dodatek specjalny 15/2019

23. wielkanocny festiwal ludwiga van beethovena

IMPRIMIR / ADOBE.STOCK.COM // MATERIAŁY PRASOWE

NICOLAS BETS / MATERIAŁY PRASOWE

Beatrice Rana

Oczekiwane niespodzianki

JAKUB PUCHALSKI

Festiwal, który trwa od 7 kwietnia, to nie tylko pieśni i kwartety smyczkowe. Także wytrawni muzycy – w najróżniejszym repertuarze.

Pieśni od swych początków do współczesności oraz kwartety smyczkowe Beethovena – te dwa doniosłe wątki Wielkanocnego Festiwalu z pewnością dominują w tym roku w programie imprezy. O ile wykonanie ponad połowy kwartetów (o których na dalszych stronach pisze Artur Bielecki) jest konkretnym przedsięwzięciem artystycznym obliczonym na dwa lata, w związku z przypadającym w przyszłym roku 250-leciem urodzin Beethovena, o tyle pieśni (których istocie przygląda się dalej Dorota Kozińska) stanowią swobodny, lecz reprezentatywny wybór z nieskończonego repertuaru liryki wokalnej, od początku XIX wieku będącego probierzem poetyczności w muzyce. Dostaliśmy w tym roku wspaniały przegląd: począwszy od wstępu do romantyzmu, od pierwszego cyklu wokalnego, którym był – a jakże – Beethovenowski zbiór „An die ferne Geliebte" (Do dalekiej ukochanej), przez błyskawiczne i niebosiężne rozwinięcie tej koncepcji w pieśniach Schuberta „Winterreise" (Podróż zimowa), a później Schumanna „Dichterliebe" (Miłość poety), potem przez modernistyczne mroki Mahlera „Lieder eines fahrenden Gesellen" (Pieśni wędrującego czeladnika) i tak bardzo wciąż niedocenianego Zemlinskyego „Lyrische Symphonie" (Symfonia liryczna), po całkiem współczesne wcielenie tego samego ducha w VIII Symfonii „Lieder der Vergänglichkeit" Pendereckiego (Pieśni przemijania). Nadzwyczajny zestaw repertuarowych arcydzieł, prawie niespotykany na polskich estradach.

Wydarzenia na orkiestrę...

Festiwal to jednak nie tylko pieśni, i nie tylko wielki cykl Beethovenowskich Kwartetów. To także defilada muzyki symfonicznej od ostatniego wiedeńskiego klasyka do XX wieku (niekiedy uzupełnianej kameralną), w wykonaniach, które niejednokrotnie dadzą się zapamiętać.

Szczególnie zwróciłbym uwagę na Johannesa Brahmsa: jeden z największych melodystów, a zarazem najbardziej porywających romantycznych konstruktorów monumentalnych form, reprezentowany będzie czterema utworami – trzeba tu dostrzec zwłaszcza wieczór 13 kwietnia, kiedy to usłyszymy dwa jego wielkie dzieła poniekąd w lustrzanym odbiciu. Najpierw potężny, wstrząsający I Koncert fortepianowy d-moll, w którym wystąpi świetna młoda włoska pianistka Beatrice Rana (podobała się już w Warszawie – ale także na innych największych estradach światowych), a następnie utwór przeznaczony przez kompozytora na fortepian i smyczki – który jednak usłyszymy bez fortepianu, za to z orkiestrą: błyskotliwy i przejmujący I Kwartet fortepianowy g-moll, w opracowaniu Arnolda Schönberga. Utwory te wykona orkiestra zżyta z tą muzyką: Drezdeńska Filharmonia pod batutą Michaela Sanderlinga (*nota bene* syna słynnego Kurta Sanderlinga).

W programie znajdzie się jeszcze jedna symfoniczna aranżacja: wielki dyrygent węgiersko-amerykański George Szell przełożył w swoim czasie na orkiestrę najwybitniejsze chyba dzieło kameralne Bedřicha Smetany: pełen chwytliwych melodii, w najlepszym stylu czeski Kwartet e-moll „Z mojego życia". Wersja orkiestrowa odznacza się bogactwem barw, a przy tym nic nie traci z wyrazistej siły i oryginalnej inwencji oryginału (zabrzmi 17 kwietnia w odważnym występie Charlesa Oliveri-Munroe'a z kierowaną przezeń Filharmonią Krakowską).

W repertuarze orkiestr nie zabraknie też naturalnie utworów patrona festiwalu: był „Coriolan" i Koncert potrójny, a usłyszymy jeszcze najsławniejsze Symfonie – Piątą i Siódmą – a także nieco mniej popularną, ale za to pełną wyjątkowego wdzięku Czwartą. Pojawi się też najbardziej tajemniczy z koncertów, fascynujący polifonią III Koncert fortepianowy c-moll. Wykona go stały bywalec festiwalu, specjalista od tej muzyki, Rudolf Buchbinder, lecz tu szczególnie zwrócić trzeba uwagę na orkiestrę: Tonhalle z Zurychu. Znakomity zespół rok temu prezentował się na Festiwalu Katowice Kultura Natura – gdzie zachwycił kulturą i wyobraźnią poszczególnych instrumentalistów mimo nieciekawego dyrygenta – w Warszawie na podium jednak stanie jedna z najbardziej wyrazistych współczesnych osobowości kapelmistrzowskich, Paavo Järvi! Tego programu, właśnie z IV Symfonią Beethovena, a także barwnym „L'Ascension" Messiaena – nie można przegapić!

Festiwal powróci też do dzieł najbardziej ulubionych przez publiczność: bezpośrednio obok V Symfonii Beethovena zabrzmi Koncert skrzypcowy Czajkowskiego. Wykonawcami będą muzycy z Finlandii (Pekka Kuusisto na skrzypcach, Helsinki Philharmonic Orchestra pod batutą odnoszącej sukcesy, m.in. w największych orkiestrach amerykańskich, Susanny Mälkki) – warto więc też posłuchać ich interpretacji poematu symfonicznego „Saga" Sibeliusa (12 kwietnia).

...i na scenę, bez sceny

Tradycją Festiwalu jest prezentowanie mniej znanych – a niekiedy całkiem zapomnianych – oper w wersji estradowej. To kolejny koncert, którego w tym roku nie wolno przegapić. I bynajmniej nie dlatego, że obchodzimy Rok Moniuszki: ta okazja jest tu najmniej istotną. Ważne jest natomiast, że bodaj po raz drugi w XXI wieku – a w Warszawie po raz pierwszy od bodaj niemal czterech dekad – zaprezentowana zostanie ostatnia i największa z oper Moniuszki, nawet wytrawnym melomanom znana głównie z tytułu: „Paria".

Zabrzmi ona we włoskiej wersji językowej – co należy zaliczyć do plusów, gdyż dzieło to zdecydowanie wpisuje się w tradycję międzynarodową, możliwie wyraźnie odcinając się od polskich źródeł. Rzecz, oparta na dramacie Delavigne'a, toczy się w Indiach – sam schemat intrygi znany jest z paru innych popularnych oper, podobnie jak sposób muzycznego ujęcia, w którym wpływy wczesnego Wagnera (a może Meyerbeera?) mieszają się z charakterystyczną dla Moniuszki niezwykłą inwencją melodyczną i lekką, choć wyjątkowo barwną orkiestracją. Dziś jednak „Paria" może mieć nam do zaoferowania znacznie więcej niż kilkadziesiąt lat temu. Dziś potrafimy nie opierać sądów o dawnej muzyce na poszukiwaniu zaawansowania stylistycznego (w takim układzie Moniuszko był z góry skazany na przegraną), lecz na jej wartości autonomicznej: melodyce, wewnętrznym życiu.

Trudno zgodzić się z niektórymi apologetami polskiego kompozytora, że gdyby odniósł sukces w świecie, dziś patrzylibyśmy na niego inaczej (takiemu na przykład Nowowiejskiemu czy nawet Paderewskiemu najwyższe możliwe światowe sukcesy bynajmniej nie pomogły w dłuższej popularności – a może wręcz zaszkodziły, co trochę burzy kolejny mit o sposobie zdobycia szacunku w Polsce...), ale tragiczna historia wywyższonego zasługami, a następnie zabitego za swe pochodzenie pariasa może rozbrzmieć bardzo wyraziście w naszych czasach.

„Paria" – jak to bywa na Festiwalu Beethovenowskim – pojawi się 10 kwietnia w bardzo obiecującej obsadzie: pod batutą Łukasza Borowicza wystąpią Iwona Sobotka (Neala), Robert Jezierski (Akebar), Yuri Gorodetski (Idamor) oraz Szymon Komasa (Dżares).

Przesłuchanie mimochodem

Festiwal przyniesie nam jeszcze jedno szczególne zestawienie: w krótkim czasie wystąpi kilkoro dyrygentów działających w tej chwili w Polsce – w szczycie swych możliwości. Usłyszymy nie tylko dyrektorów muzycznych najważniejszych orkiestr – Jacka Kaspszyka i jego Filharmonię Narodową w „Wojennym Requiem" Brittena (19 kwietnia) oraz najsłynniejszego kapelmistrza na polskim podium, Lawrence'a Fostera z jego Narodową Orkiestrą Polskiego Radia z Katowic (w „Uwerturze Akademickiej" i „Alt-Rhapsodie" Brahmsa oraz VIII Symfonii Pendereckiego, 18 kwietnia) – lecz także szefów Filharmonii z innych miast: Rune Bergmanna z Filharmonią Szczecińską oraz wspominanego Oliveri-Munroe'a z Krakowską.

Świetne, niemal konkursowe warunki dla porównań, które mogą wiele powiedzieć o różnej wizji, ale i o dbałości o polskie Filharmonie. Jak by nie patrzeć – najważniejsze instytucje koncertowe w kraju... w którym nie musi być wcale źle, jeżeli w Katowicach zaczyna urzędowanie dyrygent klasy i pozycji Fostera, a Filharmonia z Wrocławia (NFM) zdobywa jedną z najwyższych nagród za najlepsze ubiegłoroczne płyty – International Classical Music Award (pod czym, jako członek jury, z przekonaniem się podpisałem). Czy naprawdę wszyscy kapelmistrzowie pamiętają, jak ważne instytucje mają zaszczyt prowadzić? ©

Mowa pieśni

DOROTA KOZIŃSKA

Mistrzowską interpretację pieśni niewiele dzieli od potoczystej, pięknie frazowanej mowy.

WERNICKE / MATERIAŁY PRASOWE

Lirnik«: w tej pieśni szczytem ekspresji jest całkowity jej brak. Zachowaj dystans. Spróbuj stworzyć wrażenie zupełnej pustki. Przymknij oczy. Słowa powinny spływać z twoich ust łagodnym, jednostajnym strumieniem, bez żadnych akcentów. Odrzuciło cię zarówno życie, jak i śmierć. Błąkasz się bez celu. W przystępie drwiny z samego siebie pytasz dziwnego starca, czy zagra też twoją pieśń. Na lekkim crescendo zbliżasz się do biednego, unikanego przez wszystkich prostaczka, na którego tylko psy ujadają. Zapada ciemność. Zewsząd ogarnia cię mrok. Zatracasz się w nicości, nurzasz się w beznadziei".

Autorka tych słów, Lotte Lehmann, była pierwszą kobietą, która wspięła się na Himalaje niemieckiej Lied i w latach 1940-41 nagrała „Podróż zimową" Schuberta. Przy fortepianie towarzyszył jej Paul Ulanowsky. Rejestracja pełnego cyklu dla wytwórni RCA i Columbia była ukoronowaniem wieloletnich prób i przemyśleń. Sopranistka drobiazgowo analizowała tekst i materiał muzyczny każdej pieśni. Ilustrowała je własnymi akwarelami. Zanim zabrała się do śpiewania, recytowała wiersze Wilhelma Müllera, pieszcząc poszczególne słowa i składając je w retorycznie nacechowane frazy. Swoje uwagi na temat „Winterreise" włączyła do zbioru „Eighteen Song Cycles: Studies in Their Interpretation", wydanego w 1971 r. w Londynie i od tamtej pory uznawanego przez wielu wokalistów za ostateczny punkt odniesienia w tej kwestii.

Czy słusznie? Zapewne nie, jak w przypadku większości arcydzieł muzyki zachodniej, których wielkość zasadza się m.in. na otwartości interpretacji. Oraz na możliwości uporządkowania ich treści na kilku poziomach. Spróbujmy spojrzeć na słynny cykl pieśniowy Schuberta oczami dziecka, a potem stopniowo dorosnąć. Poziom pierwszy to piosenki o zimie. Jest zimno, ciemno i pusto, wędrowiec brnie przez śnieg i lód, aż wreszcie spotka lirnika i pójdzie z nim dalej w świat. Poziom drugi to pieśni o niespełnionej miłości. Śledzimy historię odrzuconego chłopaka, który próbuje uciec od własnych uczuć, ale nie potrafi się wyzbyć wspomnień. Lirnik staje się symbolem pojednania z losem i nadziei na otwarcie nowego rozdziału w życiu. Poziom trzeci to egzystencjalny traktat o niemożności. Zimowa wędrówka jest metaforą ludzkiego przeznaczenia – wiodącego tragicznie donikąd. Lirnik zwiastuje upragnioną śmierć: wyzwolenie od życia odartego ze złudzeń. Poziom czwarty? Tu zaczynają się kłopoty. Gorzka, ale i zabawna refleksja wyrzuconego poza nawias outsidera – jak w głośnej adaptacji Barańczaka? Pretekst do wysnucia własnej, poszatkowanej narracji na kanwie Schubertowskiego cyklu – jak w „Podróży zimowej", zbiorze opowiadań Jaume Cabrégo, gdzie płatni mordercy depczą sobie nawzajem po piętach, pianista dostrzega w pierwszym rzędzie widowni zmarłego kompozytora, a kataloński organmistrz zostaje ukarany za zbrodnię, której nawet nie był świadkiem? A może rozpaczliwa próba dotarcia do sedna intencji Schuberta, który w swych „wzbudzających grozę pieśniach" wciąż mylił tropy, żonglował barwą, ubierał tęsknotę w tonacje durowe, by za chwilę znów wszystko utopić we łzach i zamarzającym śniegu?

Pieśni nad pieśniami

Pieśń artystyczna tym się różni od zwykłej piosenki bądź nawet tradycyjnej, przekazywanej z ust do ust pieśni ludowej, że buduje swą wartość na autonomicznym, często znakomitym tekście poetyckim. Gotowa, zaczyna żyć własnym życiem, którego jakość wyznacza kilka czynników pośredniczących. Przede wszystkim szacunek kompozytora wobec tekstu zastanego: umiejętność uszanowania jego prozodii, właściwego rozłożenia akcentów we frazie, zrozumienia treści i ubrania jej w odpowiednią konwencję muzyczną. W drugiej kolejności – talent śpiewaka, który musi ogarnąć utwór na wszystkich poziomach: semantycznym, fonetycznym, wokalnym i strukturalnym. Tekst w jego interpretacji

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 15/2019
REDAKCJA: Jakub Puchalski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
SKŁAD: Marta Bogucka KOREKTA: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk

MATERIAŁY PRASOWE

Aga Mikołaj (sopran) i Raymond Ayers (baryton) wykonają pieśni Albana Berga, Gustava Mahlera i Alexandra Zemlinsky'ego.

powinien być nie tylko rozpoznawalny, ale też podawany nieskazitelną dykcją, z wyczuciem naturalnej melodii języka. Po trzecie – współpraca śpiewaka z akompaniatorem (w przypadku pieśni orkiestrowej zbiorowym), który wbrew powszechnemu przeświadczeniu jest równorzędnym uczestnikiem wykonania. Wreszcie – skomplikowana relacja z odbiorcą, w której na główny plan, przed narracją dramatyczną, wysuwa się intymność.

Ujmując rzecz prościej, dobre wykonanie pieśni angażuje wszystkie strony. Wykonanie znakomite uwzględnia też pozamuzyczne konteksty dzieła i potrafi je uzmysłowić słuchaczom, choćby podświadomie. Baryton Heinrich Schlusnus wrócił z frontu belgijskiego w sierpniu 1914 r., ciężko ranny i z nieuleczalną zadrą w duszy. Kiedy w 1950 r., niespełna dwa lata przed śmiercią, śpiewał „Lieder eines fahrenden Gesellen" na koncercie z okazji 150-lecia urodzin Mahlera, w ostatniej pieśni, na słowach „O Augen blau" głos mu się załamał. Aż trudno uwierzyć, że nie był to świadomy zabieg interpretacyjny: stłumiony szloch wędrowca zagubionego w okopach I wojny światowej, który wolałby wymazać z pamięci wszystko – radość, smutek, to, co rzeczywiste, i to, co nieprawdziwe. Tego samego wędrowca, z którym płakał Schubert w swojej „Winterreise", do którego nawiązał Mahler w swoim cyklu o zawiedzionym w miłości czeladniku, a który dziś kojarzy się z poniewieranym wyrzutkiem epoki technokracji i populizmu.

Strange meeting

Schubert w swych pieśniach malował nastroje kontrastem tonacji i harmonią, Schumann – wyrafinowaną chromatyką, subtelnością melodyki i eleganckim różnicowaniem narracji. Być może dlatego jego „Dichterliebe" – cykl opiewający miłość idealną – spotyka się z mniejszym zainteresowaniem współczesnych muzyków i bywalców sal koncertowych: bo Schumann „zdradził" w niej Heinego, pogrzebał ironię i cynizm jego wierszy, stworzył poetę na nowo, w formie wymagającej od wykonawców niepojętego w dzisiejszym świecie liryzmu. Znacznie dobitniej przemawiają do nas „Pieśni i tańce śmierci" Musorgskiego, w których niania przeistacza się w śmierć: najpierw troskliwą, kołyszącą w skostniałych ramionach umierające niemowlę, potem uwodzicielską, kuszącą na tamten świat młodą kobietę, jeszcze później przewrotną i obłudną, mamiącą zamarzającego w śniegu pijaka wizją umajonych łąk, wreszcie okrutną, triumfującą nad światem pod postacią dowódcy pułku, prowadzącego żołnierzy na zatracenie w polu bitwy. Bardziej nas przejmuje „obraźliwa" wymowa ekspresjonistycznych „Altenberg Lieder" Berga, do wierszy ciepiącego na depresję i neurastenię wiedeńskiego „cygana" Petera Altenberga. Podobnie wzrusza nas Beethovenowski cykl „An die ferne Geliebte" – intymny dziennik braku miłości, rozdzierający zapis tęsknoty i wyobcowania. Dlatego tak dobrze rozumiemy „Vier letzte Lieder" Richarda Straussa do tekstów Hessego i Eichendorffa: wstrząsające w swej prostocie pożegnanie z życiem, naznaczone spokojem, zgodą na nieuchronny bieg rzeczy i poczuciem gorzkiego spełnienia.

Czy jest więc nadzieja, że docenimy „Letnie noce", arcydzieło Berlioza, ojca mélodie, czyli francuskiej odmiany pieśni artystycznej? Że z głębi serca zachwycimy się tym cyklem, w którym kompozytor pod rękę z poetą Théophile'em Gautierem poprowadzą nas od uniesień zakochania, przez utratę i rozpacz, aż po dwuznaczną, słodko-gorzką opowieść o wyprawie na nieznaną wyspę, gdzie miłość trwa wiecznie? Niewykluczone, że bardziej nas poruszą muzyczne opracowania wierszy Wilfreda Owena, żołnierza Wielkiej Wojny, który przed śmiercią zdążył doświadczyć wszelkich okrucieństw konfliktu i za temat swojej twórczości obrał „wojnę, żałość wojny i zawartą w tej żałości poezję" – misternie wplecione w strukturę „Requiem wojennego" Brittena. Kilka z tych pieśni i duetów – na czele z przejmującym „Strange Meeting", opowieścią o spotkaniu poległych nieprzyjaciół w zaświatach – daje odbiorcy poczucie intymniejszego obcowania z tajemnicą śmierci niż udział w niejednej mszy żałobnej.

Zobaczymy, a przede wszystkim usłyszymy, jak będzie. Pieśń artystyczna, żeby czymkolwiek odróżnić się od piosenki, musi przemówić językiem zrozumiałym i uniwersalnym. A wtedy może się okazać, że mistrzowską interpretację pieśni niewiele dzieli od potoczystej, pięknie frazowanej mowy. Do dziś nie mogę zapomnieć, jak Aleksandr Kajdanowski recytował w filmie „Stalker" wiersz Arsienija Tarkowskiego „Tolko etowo mało". Do dziś próbuję zapomnieć, jak śpiewała go mołdawska piosenkarka Sofia Rotaru. Wciąż mam nadzieję, że ktoś ubierze tę poezję w prawdziwą pieśń. ©

▪ Przywoływane pieśniowe arcydzieła wypełnią większość koncertów Festiwalu, prowadząc od najwcześniejszego cyklu, „An die ferne Geliebte" Beethovena, do współczesnej, VIII Symfonii Pendereckiego.

Rozmowa czworga inteligentnych rozmówców

ARTUR BIELECKI

Sztuki Szekspira znają niemal wszyscy, Kwartety Beethovena tylko szczęśliwcy.

Szesnaście kwartetów smyczkowych Beethovena to zjawisko wyjątkowe w historii. Świadectwo natchnienia, kunsztu i nieustającego poszerzania możliwości tego rodzaju sztuki. To muzyka czysta. „Winny być grywane często i wyjątkowo dobrze" – podkreślono w recenzji najwcześniejszego ich opusu, już w 1801 r. Wszystkie będzie więc można usłyszeć podczas dwóch kolejnych edycji Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena – tegorocznej i następnej. Wykonawcą będzie Shanghai Quartet.

To dla publiczności nie lada gratka, gdyż taki kwartetowy serial Beethovena niestety rzadko się zdarza na polskich estradach. Tymczasem utwory te fascynowały słuchaczy od samego początku, od ukazania się pierwszych sześciu (opus 18), nad którymi kompozytor zaczął pracować w ostatnich latach XVIII wieku, kiedy powoli zbliżał się do 30. roku życia. Ten stosunkowo późny start pokazuje, że dla Beethovena kwartet smyczkowy nie był igraszką, czymś oczywistym i łatwym. Wręcz przeciwnie – był wyzwaniem. Młody twórca czuł na barkach ciężar poprzedzających go wielkich mistrzów tej formy, przede wszystkim zmarłego przed kilku laty Wolfganga Amadeusza Mozarta (1756–1791) i wciąż „żywej legendy", czyli Josepha Haydna (1732–1809). Wyzwanie to Beethoven podjął właśnie cyklem sześciu kwartetów op. 18, ukończonych w roku 1800. Z narzuconego sobie zadania wywiązał się doskonale. Po krótkim okresie swoistego „terminowania" (te pierwsze kwartety kosztowały go około półtora roku żmudnej pracy, nie był to więc żaden romantyczny „zryw natchnienia") stał się nie tylko arcymistrzem, ale wręcz wizjonerem, demiurgiem w dziejach kwartetu smyczkowego. Nikt już po nim – przynajmniej jak dotąd – nie osiągnął tak wiele w tym gatunku muzycznym.

W gmachu Kwartetów

Kwartety smyczkowe Beethovena to muzyka absolutna, niewyrażająca niemal nigdy niczego poza „dźwięczącymi formami w ruchu", niczego poza czystą ekspresją i formą. W jednym z esejów Adorno stwierdzał, że „ogromne trudności może sprawiać myślowe przedstawienie na przykład obiektywnej zawartości późnego kwartetu Beethovena". Witold Gombrowicz jednak to potrafił (w „Dziennikach"): „zaraz następnego dnia kupiłem sobie płyty z tymi jego kwartetami (...) i utonąłem. Es-dur, e-moll, C-dur, cis-moll, F-dur, c-moll, a-moll, B-dur, F-dur, A-dur, G-dur – kwartety! Szesnaście kwartetów! Nie jest tym samym zbliżyć się od czasu do czasu do jednego z nich, mimochodem, a wstąpić w gmach, zagłębić się, wędrować z sali do sali, błądzić po krużgankach, ogarniać sklepienia, badać architekturę, odkrywać napisy i freski (...) z palcem na ustach. Forma! Forma! Nie jego szukam tutaj, gmach nie nim wypełniony, a jego formą, która doznaje w ciągu tej swojej stopniowej autokompozycji przygód, przemian, wzbogaceń – podobna stworom ludzko-nieludzkim z pradawnych bajek. Jak przez mgłę, wciąż błądząc i z palcem na ustach, posuwam się od Adagio molto e mesto z 7-go do Molto adagio – Andante z 15-go, lub też zamyślony badam, jak i dlaczego haydnowskie słońce z czasów młodości tak dziwnie powraca u progu śmierci, w ostatnim Rondo i w Andante F-dur? Jak i dlaczego?". W salach i krużgankach kwartetów Beethovena literacki kontrapunkt Gombrowicza sprawdza się nie gorzej niż najlepsze przewodniki po muzyce.

Czy Kwartety Beethovena dają się w ogóle zestawić z jakimiś innymi dziełami innych twórców? Trudno wskazać analogie. Są z pewnością Kwartety punktem szczytowym w historii tego gatunku. Więc może porównaniem będzie muzyka organowa Bacha, z jego genialną syntezą i spełnieniem? Tak, ale organowe arcydzieła Bacha to wielość gatunków (fugi, toccaty, preludia, chorały i inne), a tutaj kwartet – jeden monolit gatunkowy. Trzeba by poszukać innych jeszcze „szczytowych" zjawisk w sztuce: może freski Giotta, rzeźby Michała Anioła, tragedie Szekspira, opery Mozarta, ballady Chopina, powieści Dostojewskiego i Prousta, symfonie Mahlera i Szostakowicza, komedie Chaplina? Z pewnością tak, ale od większości tych zjawisk Kwartety oddziela wpisana w ich istotę kameralność, a także elitarność. Te dzieła nie szukają tłumów, wielkich scen i sal. Sztuki Szekspira znają niemal wszyscy, Kwartety Beethovena tylko szczęśliwcy, którzy zdecydowali się na tę niezwykłą muzyczną przygodę.

Wyjątkowość Kwartetów polega również na wierności Beethovena wobec idei komponowania takich właśnie utworów na przestrzeni całego niemal życia. To pozwoliło mu nie tylko przejąć od poprzedników konwencję kwartetu smyczkowego (Haydn, Mozart), ale też poddać ją gruntownym, rewolucyjnym wręcz przeobrażeniom, doprowadzić do niespotykanego wcześniej rozkwitu i wreszcie – wskazać przyszłość (o jednym z kwartetów Beethoven miał się wyrazić, że jest stworzony „dla późniejszego wieku"). Kwartety były więc dla kompozytora prawdziwym laboratorium. Podobnie jak symfonie i sonaty. I to jest zapewne najlepsza, jeśli nie jedyna twórcza analogia dla Kwartetów: jego dziewięć symfonii i trzydzieści dwie sonaty fortepianowe. Beethovena należy porównywać tylko z Beethovenem. Słuchanie zaś Kwartetów umożliwia nam wejście w najbardziej osobisty świat jednego z największych kompozytorów.

Rozmowa czworga

Trafnie zwykło się nazywać kwartet smyczkowy „rozmową czworga inteligentnych rozmówców", z których każdy

MATERIAŁY PRASOWE

Shanghai Quartet

ma coś ważnego do zakomunikowania. Jest to rozmowa istotna i w pełni partnerska, bez dominowania któregokolwiek z uczestników muzycznego dialogu. Tradycję klasycznego kwartetu smyczkowego (dwoje skrzypiec, altówka i wiolonczela) stworzył przede wszystkim Joseph Haydn, choć pewne zasługi miał w tej dziedzinie niedoceniany Luigi Boccherini (1743–1805), jeden zresztą z największych pechowców pośród wybitnych kompozytorów. W Wiedniu jednak, w środowisku Mozarta i Beethovena, bez wątpienia rządził papa Haydn.

Kwartet smyczkowy stał się stopniowo jednym z najbardziej prestiżowych wśród nowożytnych gatunków instrumentalnych, obok symfonii, sonaty i koncertu, zastępując barokową kameralistykę z jej nieodłącznym muzycznym „kamerdynerem", basso continuo. W kwartecie wszystko słychać i widać jak na dłoni: każdy z czterech głosów jest bezlitośnie wyeksponowany, żaden z aktorów dramatu nie może się ukryć za tłumem statystów (jak czasami wirtuoz za orkiestrą). Trzeba zaciekawić słuchaczy i utrzymać ich uwagę w napięciu. To jak monodram w teatrze, a raczej – możliwy tylko w muzyce – „monodram" dla czworga. Bez choćby odrobiny geniuszu lepiej nie zbliżać się do tego gatunku.

Kwartety były też cenione wśród samych muzyków i ich mecenasów. Któregoś razu w Wiedniu usiedli do wspólnego grania sam Haydn i Mozart. Cóż to musiał być za kwartet!

Świat Beethovena

Los sprzyjał kwartetowym planom Beethovena. Kompozytor doczekał się doskonałego sprzymierzeńca i współpracownika, którym był młodszy od niego o sześć lat Ignaz Schuppanzigh (1776–1830). Ten przedsiębiorczy skrzypek (z powodu jego tuszy Beethoven nazywał go Falstaffem) jako pierwszy w Wiedniu organizował publiczne koncerty kwartetowe. Stał na czele zespołu, który dokonał prawykonań wielu utworów Beethovena, m.in. Kwartetów op. 18, 59, 130, 132 i 135. Już w roku 1808 hrabia Razumowski, ambasador rosyjski w Wiedniu i protektor Beethovena, polecił Schuppanzighowi zorganizowanie „najlepszego kwartetu smyczkowego w Europie". Co zapewne udało się osiągnąć, gdyż Beethoven cenił kompetencje skrzypka.

Czy Schuppanzigh miał świadomość, że razem ze swoim zespołem uczestniczy w narodzinach najlepszych kwartetów smyczkowych w świecie, kwartetów Beethovena? Tego się nie dowiemy, ale możemy – podobnie jak on – śledzić przemiany kolejnych Kwartetów. Począwszy od opusu 18, gdzie w sześciu utworach do klasycznego ideału formy i proporcji zaczyna już przenikać romantyzm, głęboka uczuciowość i emocjonalizm. Opus 18 zamknięte jest przejmująco osobistym fragmentem „La Malinconia", Adagiem, do głosu dochodzą tu też niezwykłe kontrasty. Trzy Kwartety opus 59 przynoszą rewolucję: ducha symfonii (rodem z „Eroiki"), nowy styl, znacznie większe rozmiary dzieł i niewiarygodne kontrasty wyrazowe, łamiące klasyczny model. Opus 59 wieńczy szalona gonitwa rozpędzonej fugi. W roku 1809, podczas okupacji Wiednia przez wojska Napoleona, w roku śmierci Haydna, powstaje zadziwiająco pogodny, cudownie piękny Kwartet Es-dur op. 74, zwany „Harfowym". Cóż powiedzieć o Kwartetach późnych, ostatnich? To już otchłań niepowtarzalności i indywidualizmu, kraina tajemnic. Znów Gombrowicz: „kwartety ostatniego okresu, gdzie dźwięk jest trudny, te brzmienia już pograniczne i nawet przekraczające granicę (...) O, czternasty kwartecie!". ©

▪ Kwartety smyczkowe Beethovena wykonywane będą w kolejne dni:
11 kwietnia (opusy 127, 18/2, 59/3),
12 kwietnia (opusy 18/3, 95, 132),
13 kwietnia (opusy 18/1, 18/4, 131).

MAREK SZCZEPAŃSKI / PRZEKRÓJ / FORUM

KULTURA

GRUCZOŁ MIŁOŚCI

MARIA KONWICKA, GRAFICZKA:

Po śmierci mamy nie wolno było zamykać drzwi do jej pokoju, miały być ciągle uchylone. Kiedy ojciec przechodził korytarzem, to zawsze mamę pozdrawiał.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Przyśnił się Pani ojciec, Tadeusz Konwicki?
MARIA KONWICKA: Śniła mi się tylko mama.

To może Pani z ojcem jakoś rozmawia?
Z całą rodziną rozmawiałam przez półtora roku, kiedy pisałam moje o nich wspomnienie: „Byli sobie raz". Szperałam po szufladach, czytałam ich listy, przeglądałam zdjęcia.

I?
Było mi smutno, ale jednocześnie wiedziałam, że muszę przez ten proces przejść. Więc czytałam listy mamy do ojca, ojca do mamy, babci do dziadka, dziadka do mamy, wujka do mamy... Przeważnie narzekania, bo oni ciągle mieli jakieś problemy. A to wujka Lenicę wymeldowali z mieszkania w Warszawie, kiedy w latach 60. wyjechał do Paryża, gdzie dostał zamówienie na jakąś okładkę. A to mama nie mogła czegoś kupić, by zadbać o rodzinę. A to brakowało jej papieru do rysowania. Gdy już po transformacji można było dostać coś w sklepie, to z kolei była przerażona „Dzikim Zachodem", który tu zawitał. Ciągle do ojca mówiła: „My się nie nadajemy".

On mówił to samo.
Ojciec mówił trochę inaczej: „To nie jest mój świat". Lub: „Czuję się, jakbym żył zanurzony w oceanie głupoty".

Z rzeczy ojca zostawiłam sobie zegarek, który dostał podczas podróży do Japonii. Przez ostatnie lata życia rozkład dnia odmierzał co do minuty: kawa u Bliklego o 11, obiad w Czytelniku o 12, spacery: o 14.20 i 17.20, po „Teleexpresie". Codziennie wieczorem sprawdzał zegarek przed dziennikiem telewizyjnym, do którego rozpoczęcia odliczał sekundy.

Jak w wojsku.
W ostatnich latach często towarzyszyłam ojcu w wieczornym spacerze. Rozmawialiśmy o jego lekturach, a czytał co najmniej jedną książkę tygodniowo. Choć okulistka powiedziała, że ma tak słaby wzrok, że już nawet okulary nie pomogą. Ale on pomagał sobie lupą, którą odziedziczył po teściowej, Janinie Lenicowej.

O czym jeszcze rozmawialiście?
Kiedyś przechodziliśmy koło Czytelnika – na Frascati w latach 50. rodzice mieszkali w jednym pokoju, a ja byłam wtedy malutka. I ojciec się rozpromienił: „Ja tu wszystkie drzewa wokół zasadziłem". Chyba miał dobre wspomnienia z tym miejscem. Myślę, że tamte lata musiały być dla niego fajne: był młody, zrobił debiut filmowy, zaczął wydawać książki. Wtedy był najbardziej optymistyczny. Bo kiedy zaczął być w opozycji, to optymizm coraz bardziej tracił.

Bo?
Bo łatwiej być za dobrem niż przeciwko złu.

Czytała Pani wszystkie książki ojca?
Dopiero w Stanach przeczytałam „Małą apokalipsę", tylko dlatego, że znajoma strasznie się tym zachwycała. Przedtem nie czytałam jego książek, bo kompletnie by mnie ojciec sobą przytłoczył. On emanował tak silną energią psychiczną, że gdyby mi telepatycznie kazał wyskoczyć przez okno, pewnie bym to wbrew sobie zrobiła.

Jak Pani mama radziła sobie z tą jego energią?
Mama była silna i umiała mu się postawić. Ojcu bardzo się podobało, że nie wymagała od niego większego mieszkania, samochodu, luksusów, bo jak twierdził, musiałby się wtedy pewnie zeszmacić. Chociaż mama pasowała do luksusu. Zawsze elegancka, zadbana, wyglądała, jakby wyszła prosto ↦

ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

Z Gustawem Holoubkiem w Czytelniku, 2005 r.

Tadeusz Konwicki (1926–2015)

DEBIUTUJE POWIEŚCIĄ produkcyjną „Przy budowie" (1950). Książka doczeka się dodruków i wznowień, autor zaś – łatki „pryszczatego" socrealisty. Cztery lata później wydaje kontrowersyjny romans „Godzina smutku" oraz „Władzę", w której krytycy zobaczą kontynuację „Popiołu i diamentu" Jerzego Andrzejewskiego. W czasie odwilży po 1956 r. przychodzi kolej na partyzanckie „Rojsty" – wcześniej zatrzymane przez cenzurę.

Te juwenilia od właściwej, bogatej i wielopłaszczyznowej twórczości Konwickiego dzieli dystans ogromny. Mimo prób samego autora, nie bardzo też dają się zintegrować z późniejszymi utworami, które zwykł układać Konwicki w trójczłonowe cykle: rekreacyjno-smętkowy: „Dziura w niebie" (1959), „Zwierzoczłekoupiór" (1969), „Kronika wypadków miłosnych" (1974); egzystencjalny: „Sennik współczesny (1963), „Wniebowstąpienie" (1967), „Nic albo nic" (1971); polityczno-paszkwilancki: „Kompleks polski" (1977), „Mała apokalipsa" (1979), „Rzeka podziemna, podziemne ptaki" (1985) oraz cykl „tego nie dowiecie się w szkole": „Kalendarz i klepsydra" (1976), „Wschody i zachody księżyca" (1982), „Nowy Świat i okolice" (1986).

Jego kinowy debiut jako reżysera filmowego „Ostatni dzień lata" (1958) – laureat Grand Prix w Wenecji – uprzedzi o rok artystyczną realizację postulatów Nowej Fali.

Najważniejszym tematem twórczości Konwickiego są pożegnania i powroty. Silnie obecna jest nostalgia za młodością i domem – Litwą, doliną Wilejki. Ale równie istotnym miejscem i tworzywem jest Warszawa, jej ulice, targowiska, dworce. Do zdjęć Konwicki pozuje na balkonie z widokiem na fronton Pałacu Kultury. I kotem Iwanem.

Często nie wiemy, co jest u niego jawą, a co snem. Bohaterowie są nieintegralni z rzeczywistością, udręczeni i wyobcowani, świat mroczny i groteskowy, a konstrukcja utworów – kapryśna i niekonsekwentna.

Sytuuje siebie obok Witolda Gombrowicza w szeregu wyrazicieli ciemnej strony narodowej podświadomości. Lubi z czytelnikiem igrać. Autotematyczny, sensacyjny i pełen anegdot „Kalendarz i klepsydrę" kończy właściwą sobie prowokacją i kokieterią: „omnis moriar".

©℗ MOC

↦ od fryzjera, a sama się strzygła; pamiętam, jak zakręcała lokówki. Na początku małżeństwa szyła nawet sobie ubrania. Makijażu nie robiła prawie w ogóle – ojciec był dumny z tego, że jest piękna w naturalny sposób. Dla mnie pasowała do bardziej eleganckiej scenerii niż ta, w której przyszło jej żyć. Ojciec z kolei był kompletnym ascetą. Mówił, że 59-metrowe mieszkanie na Górskiego jest dla niego za duże, i nie żartował. Nawet gdy rodzice jeździli na wycieczki do Paryża, to brakowało im pieniędzy – mieszkali na szóstym piętrze w hoteliku bez windy.

Ojciec w dodatku lubił wszystko rozdawać. Jeszcze przed moimi narodzinami dostał nagrodę, to były spore pieniądze, i od razu kupił znajomym meble. A gdy zaczął wydawać książki w drugim obiegu i wiadomo było, że nie będzie z czego żyć, biznesmen Mieczysław Wilczek przyznał mu nagrodę, którą tata natychmiast oddał młodemu pisarzowi. Mówił, że trzeba wspierać młodych. Przed śmiercią powiedział mi: „Ja nie potrzebuję pieniędzy, ty ich potrzebujesz". Albo kiedy się wściekałam, że znów nie przyjął jakichś pieniędzy, które mu się należały: „To nie mój styl".

To właściwie jakim mężem był Tadeusz Konwicki?

Rodzice poznali się jako dzieciaki – mama była po maturze, ojciec niewiele starszy... 50 lat byli ze sobą, zrośli się. Ojciec mamę bardzo szanował, a mama szanowała ojca. I chociaż ona nie uczestniczyła w jego pisaniu, nie recenzowała, nie wtrącała się w to, co robił – była jego muzą. Najlepszy dowód, że po jej odejściu przestał pisać. Jej piękno i kobiecość – za tym tęsknił strasznie.

Pani mama zmarła w 1999 r. Pani ojciec nie mógł się z tym pogodzić.

Gdy mama chorowała, schudł 16 kilo. I nigdy nie doszedł do siebie, wciąż powtarzał: „Żyję już tyle i tyle lat bez pani Konwickiej. Jak to możliwe?". Nie tylko przestał pisać, ale też gotować – zamknął gaz w kuchni, bo to było mamy królestwo. Wodę gotował w elektrycznym dzbanku. Gdy przez ostatnie lata przychodziły święta, to nie było gdzie podgrzać barszczu. Ojciec mówił: „Ascetycznie, nie za dużo na święta...". Więc jedliśmy na zimno bliny ze śledziem.

Przytacza Pani w książce znaleziony w szufladzie wiersz ojca:

„kto jest tym żartownisiem / wesołkiem / szydercą / który kazał nam / spożywać trawy i drzewa / zjadać ryby i ssaki / zżerać bliźnich i samych / siebie / żeby przeżyć jeszcze jeden dzień / żeby przybliżyć się do / nieskończoności”.

Dopiero niedawno odkryłam, że tych wierszyków, bo jest ich więcej, ojciec użył w książce „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”. Tylko tam przypisał ich autorstwo anonimowi, z którego twórczości drwią sobie bohaterowie powieści. Ja te karteczki włożyłam w tekst mojej książki. Bo mi się bardzo podobają.

Ojciec byłby z tego zadowolony?

Nie wiem. Ale ja je użyłam jako wizualne ozdobniki, wiązki energii, bo w piśmie odręcznym jest energia. Ojciec sam mawiał, że pisze energią. Wszystko, co wrzuciłam do mojej książki – zdjęcia, notatki, listy – ma jakiś związek ze mną, albo jako wspomnienie, albo klimat, w którym się wychowałam. Tak jakbym zaprosiła do siebie do domu. Przecież jak goście przychodzą, to nie chowam pamiątek, których pełno u mnie stoi. Poza tym ojciec w „Zwierzoczłekoupiorze” też się posłużył moim dzienniczkiem, w którym jako dwunastolatka pisałam o swojej nieodwzajemnionej miłości do chłopca z podwórka. Więc jesteśmy teraz kwita.

To jakim był ojcem?

Narzekał, że „odziedziczyłam po nim najgorsze cechy” i w związku z tym nawzajem się denerwujemy. Kiedy byłam dzieckiem, ciągle go nie było w domu, był kierownikiem literackim Zespołu Filmowego Kadr, sam robił filmy. I w tym wszystkim prowadził bogate życie towarzyskie – bywał w SPATiF-ie, Kameralnej, Czytelniku. Mnie to wtedy nawet imponowało, że był taki zajęty.

Podobno wszystkim opowiadał, jak mnie strasznie kocha i jaką ma cudowną córeczkę, ale mnie tego nie okazywał. No i nasza rozłąka – 30 lat mieszkałam w Stanach – też nie pomagała w budowaniu zażyłości. Kiedy wyjechałam pod koniec lat 70., listy szły miesiącami, telefon zamawiało się na kilka dni naprzód. Rozmawiałam głównie z mamą.

Ale ostatnie pięć lat spędziła Pani z ojcem już sam na sam. Dla niego wróciła Pani do Polski.

BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA

Nie czytałam jego książek, bo ojciec by mnie sobą przytłoczył. **On emanował tak silną energią psychiczną,** że gdyby mi telepatycznie kazał wyskoczyć przez okno, pewnie bym to wbrew sobie zrobiła.

W 2008 r. zmarła moja młodsza siostra. Został sam. Dla mnie to było bardzo ważne, żeby być wtedy z nim, wreszcie się zbliżyć. Ojciec nie był tym zachwycony, nie chciał, by się nim zajmowano, chciał być samodzielny. W „Byli sobie raz” wrzuciłam lizusowski list ojca, który do mnie napisał na żądanie mamy. Kiedy odwiedziła mnie w Nowym Jorku w latach 80. – sama, bo ojciec wtedy nie dostał paszportu – poskarżyłam się jej, że w dzieciństwie brakowało mi jego czułości. Tak mnie nagle naszło na obczyźnie. Mama go tłumaczyła: „Też nigdy nie powiedział, że mnie kocha, ale przecież ja wiem, że mnie kocha”.

Ważne, że ten list napisał.

Jego ojciec go osierocił, gdy miał trzy lata. Jego mama po śmierci męża musiała wynajmować się do pracy. Więc ojciec przez rodziny bliższe i dalsze był przekazywany z rąk do rąk – jak twierdził, miał ADHD, i nikt dłużej nie mógł z nim wytrzymać. W końcu na dobre przygarnęli go Malwina i Przemysław Blinstrubowie, cioteczni dziadkowie... Dlatego mówił, że nie zdążył wyrobić w sobie gruczołu miłości.

A Pani siostra? Proszę o niej opowiedzieć.

Mam wyrzuty sumienia, że nie miałyśmy takiej siostrzanej przyjaźni, jaką mogłybyśmy mieć. Ania była siedem lat ode mnie młodsza, wtedy wielka różnica wieku... Gdy wyjechałam z Polski, to Ania miała lat 15 – ja miałam swoje sprawy, ona swoje. Ania założyła rodzinę, ja nie. Dopiero potem, gdy przylatywałam ze Stanów, początkowo rzadko, bo nie miałam paszportu, potem częściej, to z Anią spędzałyśmy czas – spacerowałyśmy i rozmawiałyśmy. A zaraz po śmierci mamy Ania dostała diagnozę, że ma białaczkę. Siedem lat z nią żyła.

Czym się zajmowała?

Pracowała w Urzędzie Miasta Warszawy przy Nowogrodzkiej i, jak na złość, na co dzień stykała się z tą straszną, potransformacyjną biedą. Może nie miała siły przebicia, ale za to miała olbrzymią empatię. Z jednej strony widziała ludzi zwracających się o zapomogi, z drugiej bogaczy, których fortuny powstały nie wiadomo z czego. Zwłaszcza potem, już w chorobie, mówiła mi, że wysłuchiwanie tych skarg bardzo ją męczy. Pewnie powinna iść wtedy na zwolnienie... Ale z drugiej strony, tak wtedy z ojcem myśleliśmy, lepiej by była wśród ludzi – ona była bardzo lubiana. Wciąż spotykam kogoś, kto z nią pracował, i wspomina ją wyłącznie w ciepłych słowach. Na naszym rodzinnym grobie na wojskowych Powązkach zawsze jest pełno zniczy – to głównie od jej znajomych. Ania odeszła w miesiąc po Gustawie Holoubku.

Przez ćwierć wieku niemal dzień w dzień Konwicki z Holoubkiem spotykali się u Bliklego.

A wcześniej, w latach 60., w Czytelniku. Gustaw był z Krakowa, ojciec z Wilna – obaj mieli przedwojenną kindersztubę, te maniery były ważne. No i podobną inteligencję. Gustaw nawet dostosowywał próby, by móc się z ojcem spotkać. Magda Zawadzka pisała w swojej książce, że gdy byli na wycieczce w Norwegii, to Holoubek cały czas się pytał o powrót, bo on „z Tadziem musi się spotkać”. ↦

MICHAŁ BROWARSKI / FORUM

Anna, Tadeusz, Danuta, Maria Konwiccy i kot Iwan w mieszkaniu przy ulicy Górskiego, Warszawa 1975 r.

↦ **Pani ojciec przyjaźnił się też ze Stanisławem Dygatem. Ale nieprzychylnie go sportretował w „Kalendarzu i klepsydrze". Dlaczego?**

Kiedy pisał ten fragment, wydawało mu się, że to będzie zabawne. Ojciec był wtedy jeszcze bardzo zadziorny, ten gruczoł miłości był jednak słabo wykształcony.

Dygat się na Pani ojca obraził.

Nie dziwię się, oni przecież byli bardzo blisko. I nagle ten złośliwy portrecik, więc się pan Staś obraził. Ale po roku, jakby nigdy nic, odnowili przyjaźń. Gdyby się razem zestarzeli, to może ojciec byłby dla niego bardziej czuły. Bo Dygat zmarł stosunkowo młodo, miał zaledwie 64 lata. Z Gustawem Holoubkiem ich przyjaźń miała czas ewoluować.

Piękna sprawa ta ich przyjaźń.

Polska się bardzo zmieniła – są piękne nowe drogi i odnowione kamienice, ale życie towarzyskie zanika, wszyscy są zajęci – nie odpowiadają na telefony i maile. A mój ojciec napisał 17 książek, nakręcił siedem filmów, był kierownikiem literackim, pomagał ludziom w debiutach, a mimo to zawsze odbierał telefony. Dla każdego miał czas i uwagę. I codziennie miał czas, żeby o 11 wypić kawę z panem Gustawem.

A co Pani ojca u schyłku życia potrafiło ucieszyć?

Natura, pejzaże. W czasie naszych spacerów siadaliśmy na ławeczce na Okólniku z widokiem na Tamkę – tam tworzą się dziwne perspektywy, szybko zmienia się oświetlenie, raz jest cień, raz słońce. Ojciec się tym nasładzał.

Tę słabość do pięknych kadrów widać w jego filmach.

Lubił też patrzeć na piękne kobiety. Była w nim tęsknota za kobietami z lat 50. i 60., ubranymi w ładne sukienki, z wcięciem w talii, w pończoszkach i kapelusiku... Piękno go cieszyło. Na kilka dni przed jego odejściem, w dzień sylwestrowy, zaprosiłam do domu kilka znajomych pań, żebyśmy wszyscy razem napili się szampana. Ojciec już pić nie mógł, piekł go przełyk, ale się zmusił i powiedział coś w tym stylu, bo dobrze nie pamiętam: „Wznoszę toast za panie – ozdobę i istotę wszelkiego istnienia i wszechświata".

Ten toast chyba też wyraża tęsknotę za Pani mamą.

Ciągle powtarzał: „Pamiętaj, jak do ciebie będą dzwonić z prośbą o wywiad na temat mamy, to zawsze dawaj". Był zdumiony, że mama zrobiła setki ilustracji, 20 książek zdążyła zilustrować, w tym „Zwierzoczłekoupiora" ojca. Ja najbardziej lubię pierwsze wydanie „Dlaczego kot jest kotem" – też z ojca tekstem, ale mamy koty są najpiękniejsze. Potem zrobiła drugą wersję, lecz ja wolę tę pierwszą.

A po śmierci mamy ojciec nic nie zmienił w jej pokoju. Nie wolno było zamykać drzwi, miały być ciągle uchylone. Jak ojciec przechodził korytarzem, zawsze mamę pozdrawiał. Gdy umarła Ania, to pozdrawiał „moje drogie panie".

Tadeusz Konwicki przeżył żonę o piętnaście lat, córkę o sześć.

On też chciał odejść od dawna, wciąż to powtarzał: „Co ja tu jeszcze robię?". W ostatnich miesiącach przestał chodzić do Czytelnika na obiad. I zrezygnował ze spacerów. Kiedyś wracaliśmy taksówką od okulisty. Kazał się zatrzymać przed Czytelnikiem i poszedł się pożegnać ze wszystkimi, już wiedział, że tam nie wróci.

Teraz bardziej Pani rozumie rodziców?

Chyba w taki sposób, że znajduję ich cechy w sobie, podobne doświadczenia. W mojej książce to chciałam pokazać – jak się nasze życia w gruncie rzeczy zazębiają. Naukowcy zaczynają już przebąkiwać,

że dziedziczymy nie tylko cechy psychofizyczne, ale również pamięć tego, co wydarzyło się przodkom.

Gdy wyjechałam do Ameryki, stałam się zupełnie anonimową osobą z anonimowego kraju, bo przed Solidarnością mało kto się Polską interesował... Jasne, były enklawy inteligenckie, które ojca znały. Kiedy jego książki zaczęły w latach 80. wychodzić w Stanach, korespondowałam z Philipem Rothem, a na przyjęciu u Josipa Brodskiego pisarz Siergiej Dowłatow, kiedy usłyszał, czyją jestem córką, padł przede mną na kolana z okrzykiem: „U nas w Leningradzie Konwicki był legendą!".

To były takie miłe przerywniki, ale ja raczej od tego uciekałam. Żyłam trochę jak pustelnik. Lubiłam studiować religioznawstwo, pisma mistyczne, alternatywną historię i archeologię. Po powrocie do Warszawy w Dedalusie na Chmielnej znalazłam niektóre pozycje popularno-naukowe, które już znałam tłumaczone na polski, i kupowałam je dla ojca, by go odciągnąć od tej rzeczywistości, którą chłonął z dzienników telewizyjnych. Czytał je z zainteresowaniem, ale i tak jego ulubioną książką było „Jak zostać człowiekiem – przepis ewolucyjny" Marcina Ryszkiewicza. Kiedy przeczytał „Homo sapiens. Meandry ewolucji", następną pozycję tego autora, dał mi zadanie, by Ryszkiewicza odnaleźć w internecie i przekazać wiadomość, że to najważniejsza książka w jego długim życiu.

A opowie Pani jeszcze ten sen o mamie?

To już było po jej odejściu. Ojciec i ja jesteśmy w pustym i ciemnawym pokoju. Na zewnątrz piękne słońce. Szykujemy się do wyjścia, ale jakoś niemrawo. Zjawia się mama i dziwi się, dlaczego on jeszcze „tkwi w tych ciemnościach", przecież tam, gdzie ona jest, „świetnie by sobie dał radę".

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

MARIA KONWICKA *jest graficzką. Córka graficzki Danuty Konwickiej oraz pisarza i reżysera Tadeusza Konwickiego. Studiowała na warszawskiej ASP. Wyjechała do Stanów Zjednoczonych w 1977 r., wróciła do Polski w 2010 r. Pracowała jako animatorka m.in. dla studiów Disney i Universal. Współautorka filmu „Aktorka" o Elżbiecie Czyżewskiej. Nakładem Znaku ukazuje się właśnie jej książka „Byli sobie raz".*

W bólach

DARIUSZ KOSIŃSKI

Spektakl „Wróg się rodzi" zapowiadał się jako kolejne wydarzenie w teatralnej debacie o roli Kościoła i Radia Maryja w Polsce. Oczekiwanej eksplozji jednak nie było.

Tematem głośnego już przedstawienia „Wróg się rodzi", które powstało do tekstu Marcina Kąckiego i zostało wyreżyserowane w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu przez Anetę Groszyńską, jest społeczna i polityczna rola Radia Maryja. Ten „katolicki głos w twoim domu" jest oskarżany o podtrzymywanie i podsycanie społecznych konfliktów oraz budowanie własnej siły na wytwarzanej wrogości wobec innych.

Spektakl te oskarżenia nie tylko podtrzymuje, ale jeszcze je wzmacnia. Zestawia toruńską rozgłośnię z działalnością Radia Tysiąca Wzgórz, które odegrało haniebną rolę w wywołaniu ludobójstwa w Rwandzie. Twórcy nie uciekają w ogólniki i nie unikają jednoznacznych diagnoz. Skupiają się na źródłach nienawiści, antysemityzmie i zagrożeniach, jakie mogą z działalności toruńskiego Radia wynikać.

Jednak zamiast poruszać i wzburzać, czterogodzinny spektakl nuży, snując się chwilami jak dym z zamokłego ładunku, choć pytania, które stawia, warte są wyostrzenia.

Tysiące wzgórz nadwiślańskich?

Na scenie mamy radiowe studio z mikrofonami, słuchawkami, oknem reżyserki. Gdy widzowie zajmują miejsca, do studia przychodzą realizatorzy i dziennikarze, przygotowują się do audycji, piją kawę, rozmawiają. Nie jest to jednak studio rozgłośni toruńskiej, ale Radia Tysiąca Wzgórz – rwandyjskiej stacji prywatnej, której dziennikarze nawoływali ludzi Hutu do mordowania „karaluchów" – ludzi Tutsi.

Pierwsze sceny przedstawienia to rekonstrukcja wydarzeń z roku 1994, o których – jak o każdej rzezi – wolimy nie pamiętać. Rekonstrukcja jest pospieszna i teatralnie nieudana. Niepamięć i niewiedza, sprawiające, że rwandyjska rzeź jawi się jako niejasny, zamglony obraz czegoś dalekiego czasowo i przestrzennie, wymagałyby o wiele więcej i o wiele skuteczniej podawanych informacji, stopniowania procesu narastania zabójczej propagandowej machiny.

Tymczasem otrzymujemy oderwane sekwencje w znacznej części niezrozumiałe bez komentarza, rozgrywane bez zróżnicowania emocjonalnego zaangażowania. Obraz staje się płaski, powierzchowny i teatralnie oddalony. Dopiero gdy już po wszystkim wędrująca przez całe przedstawienie Pan(i) Bóg (Karina Krzywicka) pokazuje i objaśnia dokumentalny film, na którym widać mordowanie bezbronnych, na sali wieje grozą. Z widowni słychać ciche „O, Jezu" – mimowolny okrzyk otwierający rany sumień, które zabliźniły się tak szybko, że nigdy nie czuliśmy ich bólu.

Dla ich otwarcia długie sekwencje radiowe nie wydają się jednak wcale potrzebne. Wystarczy spokojny monolog Pani Bóg, która patrząc nam prosto w twarze, odwraca stawiane w chwilach rozpaczy pytanie: „Gdzie byłeś, Boże?" na skierowane ku nam: „Gdzie wy wtedy byliście?". Gdzie byliśmy, gdy Rwanda, gdy Sarajewo, gdy Aleppo?

To potencjalny punkt poważnej dyskusji: czy to pytanie nie jest bardziej dramatyczne, bardziej bolesne, ważniejsze niż cel, dla którego stawia się je we „Wróg się rodzi". Przypomnienie ludobójstwa w Rwandzie ma bowiem być ramą dla pokazania Radia Maryja jako potencjalnie równie groźnego. Pytanie „Gdzie wy byliście?" zostaje przekształcone w „Gdzie jesteście teraz", wobec tego, co potencjalnie może okazać się równie groźne. Wprawdzie zestawienie to nie jest przeprowadzane w skali jeden do jeden i nikt nie mówi, że Radio ↦

Maryja zdąża dokładnie w tym samym kierunku co Radio Tysiąca Wzgórz. Ale skoro stawia się tak mocną tezę, że – tak jak w Rwandzie – zwykli ludzi w każdej chwili mogą przemienić się w okrutnych morderców, to każdy, kto choćby potencjalnie się do tego przyczynia, powinien zostać przestrzeżony i powstrzymany. Ta przestroga to najważniejszy cel toruńskiego przedstawienia, w którym nie chodzi tylko o Radio Maryja, ale także o tych, którzy go nie słuchają i wydaje im się, że to wystarcza.

Pukając do nieba

Rysujące się w początkowych sekwencjach analogie i tezy zostają wywrócone, gdy na scenie pojawiają się dziennikarze w sutannach i habitach oraz on sam – Dyrektor. Rewelacyjny w tej roli Filip Perkowski w kończącym pierwszą część, niespodziewanym monologu zwraca się wprost do publiczności, o której wie, że jest mu niechętna.

W pewnym momencie pyta: „Skoro już wiecie, że jestem zły, to po co przyszliście do teatru?". Pytanie niezwykle trafne, bo można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że jaskrawo krytyczny, oskarżycielski spektakl o Radiu Maryja nie przyciągnie jego zwolenników i będzie tym, czym tak często stają się „spektakle krytyczne": przekonywaniem przekonanych. Twórcy „Wróg się rodzi" zdają się w tym momencie podejmować próbę odwrócenia perspektywy – w rwandyjską ramę wkładając nagle świadomego swojego społecznego odbioru Dyrektora, który demonstruje siebie z przewrotną autoironią.

Gdy zaczyna grać na gitarze i śpiewać „Knockin' on Heaven's Door" Boba Dylana, zachęcając publiczność do oklasków i wspólnego śpiewu, przewrotność osiąga kulminację, a wszystko, co dotychczas wydawało się wywodem ze zbyt prostą tezą, zostaje momentalnie wzięte w nawias. Gdy Perkowski woła: „A teraz alleluja i na przerwę!", rodzi się nadzieja, że przedstawienie złapało oddech i że czekają nas kolejne zaskakujące zwroty.

Niestety, po powrocie na salę nadzieja powoli gaśnie w ciągu kolejnych, sztampowych, powtarzających się, takich samych niemal scen. Złożone i zaskakujące motywacje, które ujawniał Perkowski w swoim monologu, bledną, jakby tamtej sceny wcale nie było. Aktor wprawdzie zwraca się jeszcze do publiczności i pyta: „Czy teraz znacie mnie lepiej?", ale odpowiedź niestety musi być przecząca: sceniczny Dyrektor okazuje się postacią z satyrycznej karykatury. Jego aktywności nie tłumaczy nic poza pieniędzmi, których nawet nie pożąda, a po prostu dostaje, dbając, by było ich jak najwięcej.

O ile otaczające go postacie: Ksiądz Arek (Arkadiusz Walesiak), Siostra Dziennikarka (Maria Kierzkowska) i Minister/ /Biskup (Jarosław Felczykowski), mimo szkicowego zarysowania, dostają mocne charakterystyki, pozwalające aktorom na stworzenie wyrazistych kreacji, o tyle Perkowski wydaje się nie wiedzieć, co w końcu ma grać: świadomego i nastawionego na określony cel pedagoga społecznego, demonicznego manipulatora, spryciarza łaknącego pieniędzy czy znającego na wylot ludzkie słabości duchowego przywódcę z Dostojewskiego (w finale urzędnicy Radia mówią do Pani Bóg fragmentami z mowy Wielkiego Inkwizytora). Postać Dyrektora rozmywa się i banalnieje.

Hitler w małych mieszkankach

Bo też i twórcy stopniowo przesuwają akcent gdzie indziej: na codzienne, rozproszone, niemal niezauważalne procesy, które – ich zdaniem – umacniają wpływ

sączącego nienawiść radia i grożą przekształceniem zwykłych ludzi w potwory.

Scenom w radiowym studiu od drugiej części towarzyszą niemal nieustannie sekwencje codziennych domowych zajęć Starszej Kobiety (Teresa Stępień-Nowicka). Opuszczona przez goniących za swoimi sprawami synów, słucha Radia, a jej samotność jest żyzną glebą, na której rozwija się działalność Dyrektora, cynicznie wykorzystującego zapatrzone w niego słuchaczki.

W podsumowującym spektakl wykładzie Hannah Arendt (Matylda Podfilipska) ten właśnie, codzienny, niemal niezauważalny rozpad zostanie uznany za źródło możliwego odrodzenia faszyzmu. Winy „zwykłych ludzi" dowodzi też pojawiający się w kolejnych częściach jak refren wątek Zuzanny Ginczanki, której duch opowiada Pani Bóg swoją biografię. Historia polskiej poetki zamordowanej jako Żydówka, bo wydała ją nazistom polska gospodyni do-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Międzyrzeczu pod sygn. akt I Ns 371/18 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Zenona Prusinowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po zm. 6 lutego 2009 r. w Skwierzynie, ostatnio stale zamieszkałym w Rokitnie, Władysławie Białku, s. Antoniego i Zofii. W skład spadku wchodzi udział w prawie własności nieruchomości o nr. GW1U/00009381/4.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i udowodniły nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WOJTEK SZABELSKI

„Wróg się rodzi" w reżyserii Anety Groszyńskiej, Teatr Wilama Horzycy w Toruniu.

mowa, stanowi zarazem kontrastowe uzupełnienie antysemickich wypowiedzi słuchaczy Radia, którym potakują jego dziennikarze. W teatrze znów widmowo ujawnia się napędzający „antysemityzm bez Żydów" mechanizm wyparcia polskiej współodpowiedzialności za Zagładę.

Sceniczny wywód można by więc streścić tak: skoro zwykli ludzie, zmanipulowani mową nienawiści, stali się zbrodniarzami w przeszłości i gdzie indziej, to nie ma żadnej gwarancji, że nie może się to znów zdarzyć tu i teraz. Zmniejszenie tego zagrożenia jest podstawowym obowiązkiem każdego z nas, zaś każdy, kto je zwiększa dla domniemanych korzyści własnych lub swojej grupy, powinien się opamiętać. Nawet jeśli byłoby to dmuchanie na zimne (a przecież nie jest), to i tak lepiej dmuchać do utraty tchu, niż ryzykować, że potem ktoś krzyknie: „O, Jezu!", oglądając obrazy z bliższych nam niż Rwanda stron świata.

O ile etyczny cel tego wywodu, a zwłaszcza przeniesienie odpowiedzialności z „Onych" na nas i nasze codzienne wybory, jest wartościowy i sensowny, o tyle sposób jego dramaturgicznego i teatralnego przeprowadzenia sprawia, że jest nieskuteczny. Skoro odpowiedzialność spada na nas i naszą codzienność, po co było tak wiele czasu i miejsca poświęcać ukazywaniu obłudy i niezrozumiałej w swych motywacjach manipulatorskiej działalności Radia? Skoro to w nas drzemią demony i to my mamy codzienną troską i miłością trzymać je na uwięzi, to nie ma przecież znaczenia, kto i czym je karmi.

W efekcie biedna Arendt musi wyjść na scenę i posklejać łopatologicznym wykładem to, co nie udało się autorowi i reżyserce. Niestety jej wykład też jest logicznie sprzeczny (w pierwszej części mówi się, że ludzie to w istocie drapieżne bestie, a w drugiej – że nadzieja w tym, że będziemy... ludźmi). Na jego tle bardziej przekonująco wypada... Adolf Hitler (Bartosz Woźny), który wcześniej, w namiętnym monologu wygłaszanym po niemiecku, protestuje przeciwko porównywaniu jego idei porywającej masy z „pomrukiwaniami zakompleksionego klechy", twierdząc, że do jego totalnej wizji nie ma powrotu. Twórcy „Wróg się rodzi" usiłują dowieść, że jest i że właśnie zaczyna się w „naszych matek małych mieszkankach".

Cięcie!

Premierowy spektakl trwał cztery godziny, a to, co w nim pokazano i opowiedziano, można by z pożytkiem dla jego skuteczności skrócić o połowę, wycinając nużące powtórzenia podobnych scen, mówiących przez kolejne minuty to, co łapiemy w lot po pierwszych trzech.

Marcin Kącki w wywiadach przyznaje, że słucha uważnie Radia Maryja i nawet uległ fascynacji jego audycjami. To niestety widać w przedstawieniu, które zwłaszcza w drugiej, najdłuższej części, kręci się w kółko i ubija na sztywno tę samą stężałą już na dobre pianę. Czeka się na jakiś przełom, jakiś kolejny zwrot, ale one nie następują. Coraz bardziej znużeni widzowie zaczynają się obawiać, że twórcy chcieli w jednym przedstawieniu zmieścić pomysły na kilka innych: o Rwandzie i obecności w tym kraju polskich księży, w tym arcybiskupa Hosera (taki spektakl mógłby wywołać eksplozję), o Zuzannie Ginczance (tylko błagam – niech już nie śpiewa!) czy o Pani Bóg (świetny materiał na monodram).

Nie wiem, czemu Kącki, mający przecież spore doświadczenie w pisaniu scenariuszy teatralnych z reportaży (przypomnę choćby białostocki spektakl „Biała siła, czarna pamięć" w reżyserii Piotra Ratajczaka), nie zorientował się, że chce powiedzieć za dużo naraz. Nie wiem, czemu sprawna i utalentowana reżyserka Aneta Groszyńska (twórczyni m.in. „Zapolska superstar" i „Głodu") nie zareagowała na ten nadmiar, a jeszcze chyba go spotęgowała pomysłami inscenizacyjnymi.

Proponuję jednak, by po premierowych pokazach spojrzeli na swoje dzieło z dystansu, albo poprosili kogoś, komu ufają, by zrobił to za nich. Popularne powiedzenie dziennikarskie głosi, że nie ma tekstu, którego nie można z pożytkiem skrócić (jako były korektor wiem, że to prawda, choć serce autorskie łka).

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Lalkowy świat

PIOTR KOSIEWSKI

Marionetki, kukiełki, pacynki – świat lalek zagościł w Zachęcie. Warszawska wystawa opowiada o fenomenie polskiego teatru lalkowego w II połowie XX wieku, o jego związkach ze sztuką, filmem i polityką.

Jedne są niemalże werystyczne, z precyzyjnie oddanymi szczegółami twarzy i strojów epoki, inne tylko z grubsza zarysowują postacie ludzi czy zwierząt, których mają wyobrażać. Większość z lalek pokazywanych w Zachęcie powstała między połową lat 40. a końcem lat 60. ubiegłego stulecia.

Polityczność kukiełek

Był to bardzo dobry czas dla polskiego teatru lalkowego: otwarcia na eksperymenty, poszukiwań formalnych, przekraczania granic, bo nawet w dobie socrealizmu w teatrze lalkowym przestrzeń wolności była dość szeroka. Jednocześnie lalki w tym czasie były uwikłane w politykę. Nie tylko część spektakli miała przekazywać określony, ideologiczny komunikat, ale same lalki – o czym przypomniano na wystawie – były wykorzystywane w satyrycznych programach lub pojawiały się np. na pierwszomajowych marszach. Kroczyły w nich postacie w karykaturalnych maskach lub wielkie kukły mające symbolizować wrogów komunistycznego państwa.

W Zachęcie przypomniano także o innej, z dzisiejszej perspektywy znacznie ważniejszej, polityczności teatru lalkowego. Nieoczywistej, ale jak zwraca uwagę Dariusz Kosiński w książce towarzyszącej wystawie, jest to polityczność – związana z wymiarem dydaktycznym teatru – często bardzo skuteczna, bo ukryta, nieeksponowana. Pionierskie w tej sferze były koncepcje Jana Dormana, realizowane w prowadzonym przez niego od początku lat 50. Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie. Integralną częścią tworzonych tam spektakli stały się elementy dziecięcej zabawy: gry, wyliczanki, piosenki, specyficzne słownictwo. Lalki zaś niczego nie udawały. Były jednym z elementów przedstawienia współtworzonego przez dzieci. „Dzieci grają. One nie są poza widowiskiem. One są w środku spektaklu. W środku" – tłumaczył.

Jan Berdyszak, Lis ze spektaklu „Pieśń o lisie", 1961, Teatr Animacji w Poznaniu

Artysta w teatrze

Twórcy wystawy w Zachęcie przypomnieli także inne fenomeny związane z lalkami, jak animację lalkową – można zobaczyć m.in. podszyty nieoczywistą ironią film Jerzego Kotowskiego „Pozytywka" (1960) o rosyjskiej mieścinie Głupowo, rządzonej przez gubernatora, który w głowie ma... pozytywkę. Jednak najważniejszy okazuje się inny wymiar teatru lalkowego – jako przestrzeni eksperymentu artystycznego. „Niewinna i groźna, zawieszona pomiędzy żywym a martwym, ruchomym i nieruchomym, ludzkim i nieludzkim – lalka teatralna – budzi fascynacje. Ale spotkanie z nią, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wywołuje w nas również niepokój i uświadamia, że ludzka dominacja nad światem materialnym nie jest niczym pewnym..." – podkreślają twórcy wystawy.

Nie był to teatr adresowany jedynie do dzieci. Leokadia Serafinowicz zaprojektowała w 1967 r. lalki do wystawionego w poznańskim Teatrze Animacji spektaklu „Łaźnia" Włodzimierza Majakowskiego. Wcześniej, w 1964 r., Franciszka Themerson wykonała niezwykłe kostiumy oraz zrealizowane tylko w czerni i bieli lalki do spektaklu „Król Ubu" Alfreda Jarry'ego wystawianego w sztokholmskim Marionetteatern, muzykę zaś, podobnie jak do innych spektakli lalkowych, skomponował Krzysztof Penderecki. Lalkowy teatr, zwyczajowo łączony ze światem dzieci, świetnie potrafił opowiedzieć o sprawach wręcz fundamentalnych.

Wystawa przypomina o tym dość niezwykłym

ŁUKASZ RUSZNICA & KRYSTIAN LIPIEC x2

spotkaniu artystów współczesnej sztuki ze światem lalek. Poszukujący nowego języka szybko dostrzegli wielki potencjał w nim tkwiący, by wspomnieć teorię nadmarionety wielkiego odnowiciela teatru Edwarda Gordona Craiga. Sophie Taeuber-Arp tworzyła lalki dla Teatru Alterna w Zurychu, George Grosz dla kabaretów, a Paul Klee wykonał kilkadziesiąt pacynek dla swojego syna Feliksa.

W Zachęcie można zobaczyć projekty polskich artystów, którzy tworzyli dla teatrów lalkowych. Niektórzy, jak Leokadia Serafinowicz czy Jerzy Kolecki, całkowicie im się poświęcili. Ten ostatni jest twórcą niezwykłego fenomenu, jakim był teatr Rabcio-Zdrowotek w Rabce-Zdroju (od 1972 r. Teatr Lalek Rabcio).

Jerzy Kolecki związał się z nim w 1953 r., a w latach 1961-77 był jego dyrektorem. I nadał temu teatrowi indywidualny, niepowtarzalny charakter. Wszystkie elementy spektaklu – od scenografii, lalek (marionetki zastąpił bardziej dynamicznymi w ruchu kukłami), kostiumów, po reklamujące go plakaty – było starannie dopracowane, a jednocześnie konsekwentnie utrzymane w malarskiej, eksperymentalnej stylistyce. Nawet dziś te projekty zaskakują odwagą.

W przypadku innych artystów współpraca z teatrem lalkowym była zazwyczaj epizodem, ale ważnym. Jan Berdyszak na początku lat 60. projektuje zaskakujące, chwilami zbliżające się do abstrakcji lalki dla poznańskiego Teatru Lalki i Aktora Marcinek. Autorami projektów lalek byli m.in. Stanisław Fijałkowski czy Jerzy Nowosielski. Jest wreszcie przypadek Jadwigi Maziarskiej, która w projektach z pierwszej połowy lat 50., przygotowanych dla Teatru Lalek przy Teatrze Ziemi Opolskiej, podobnie jak w swych kolażach, ostro kontrastowała faktury i barwy fragmentów tkanin czy fotografii. Działała na pograniczu, stale testując nowe rozwiązania, a malarstwo przenikało się tu z teatrem. Teatralne projekty były dla niej ważnym doświadczeniem, do którego powracała. W 1964 r. wykonała – także pokazane w Zachęcie – dwie figury przestrzenne „Kukła I" i „Kukła II" wykonane z tkanin, barwne, ironiczne. Zresztą jej przełamania konwencji i innowacyjne rozwiązania budziły opór. Zarzucano jej formalizm, co w dobie socrealizmu było poważnym oskarżeniem. W liście do Erny Rosenstein pisała nawet: „Najlepiej mieć swój teatr, choćby maleńki".

W Zachęcie przypomniano też mało znane eksperymenty Andrzeja Pawłowskiego, który po ukończeniu studiów chciał stworzyć teatrzyk lustrzany, a następnie epidiaskopowy. Miał być to teatrzyk, którego obsadę można by zmieścić w walizce, co pozwoliłoby lalkarzowi dotrzeć do publiczności nawet w małych miejscowościach, a jednocześnie – dzięki odpowiednim narzędziom optycznym – wykorzystywać niezwykłe efekty wizualne. Miał to być projekt niezwykle użyteczny, jednak lalkarze – okazało się – nie byli nim zainteresowani. Poszukiwania teatralne doprowadziły natomiast artystę do legendarnych „Kineform" – zapisu ruchomych obrazów wywoływanych na ekranie za pomocą specjalnie ↦

Leokadia Serafinowicz, kukła Izaaka Belwedońskiego do spektaklu „Łaźnia", 1967, Teatr Animacji w Poznaniu

skonstruowanego projektora. A teraz, po latach, Roman Dziadkiewicz i Wojciech Ratajczak wrócili do dawnej idei Pawłowskiego i stworzyli własną – pokazaną w Zachęcie – wersję lustrzanego teatru.

Zapominane

„Lalki: teatr, film, polityka" przywracają pamięć o zapomnianych obszarach sztuki. Techniki i gatunki niegdyś budzące zainteresowanie twórców – jak tkanina czy szkło – odesłano do lamusa. Warto zapytać, czy słusznie. Paulina Ołowska, która od lat fascynuje się teatrem Jerzego Koleckiego i odrestaurowała neon „Siatkarka", jedną z ikon dawnej Warszawy, podkreśla: „biorę przedmioty, nadal ciekawe funkcjonalnie, i pytam – dlaczego wy, którzy wyznaczacie reguły, co jest dobrą sztuką, a co nie, uważacie, że to nie jest ciekawe?".

W tekście „W teatrze marionetek" z 1810 r. Heinrich von Kleist przekonywał, że „proporcja, lekkość, wreszcie wdzięk marionetki są wyższe aniżeli u żywego tancerza". Lalki nadal fascynują, intrygują. Dziś ponownie wracają. Egipski artysta Wael Shawky, którego utrzymany w konwencji kukiełkowego przedstawienia film „Wyprawy krzyżowe w oczach Arabów" jest jednym z najbardziej intrygujących dzieł powstałych w ostatnich latach, przekonuje nawet, że lalki są lepsze od aktorów: „Możesz przedstawić siebie w marionetce w sposób, którego nie osiągniesz, pracując z profesjonalnym aktorem – nawet jeśli to Al Pacino, bo nigdy nie zapomnisz, że oglądasz kogoś odgrywającego rolę".

© PIOTR KOSIEWSKI

LALKI: TEATR, FILM, POLITYKA,
Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, kuratorka Joanna Kordjak, wystawa czynna do 23 czerwca 2019 r.

RDC POLSKIE RADIO **PIOTR KOSIEWSKI będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 10 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Elizabeth Holmes w filmie „Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi"

W krainie jednorożców

ANITA PIOTROWSKA

Co łączy atrakcyjny film dokumentalny i skuteczny projekt biznesowy? Odpowiedź: oba potrzebują tak zwanej „dobrej opowieści".

Dokument o Elizabeth Holmes, która w wieku dziewiętnastu lat wymyśliła start-up mający zrewolucjonizować diagnostykę medyczną, przynosi diagnozę wielu chorób naszej cywilizacji. I poniekąd sam staje się jednym z objawów.

Film „Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi" chciałoby się masowo pokazywać w szkołach – w ramach szczepionki przeciwko wspomnianym chorobom. Byłaby to jednak szkoła idealna, czyli taka, która uczy, jak dziś rozpoznać fałszywych proroków, jak odróżnić fakt od medialnej kreacji, naukę od pseudonauki, a biznes plan od grającego na emocjach storytellingu. Choć pewnie znaleźliby się i tacy uczniowie, którzy z filmu Aleksa Gibneya wynieśliby zupełnie inną lekcję. Wszak jego bohaterka, tytułowa „wynalazczyni", naciągnąwszy poważnych inwestorów na prawie 400 milionów dolarów, a w konsekwencji oszukawszy tysiące zwykłych giełdowych graczy i amerykańskich pacjentów, ciągle jeszcze przebywa na wolności i zapewne cieszy się dostatnim życiem. Wyłaniający się z filmu demoniczny portret Holmes może więc tyleż przerażać, co fascynować.

Gibney przedstawia historię wielopiętrowego oszustwa. Była studentka inżynierii chemicznej Uniwersytetu Stanforda w 2003 r. rozpoczęła pracę nad wynalazkiem o nazwie „Edison", dzięki któremu każdy z nas, za pomocą małej czarnej skrzyneczki i kropli krwi pobranej z palca, mógłby dokonywać samodziel-

nych testów wykrywających rozmaite choroby. Nabrały się na to najtęższe głowy świata nauki, najwięksi geniusze z Doliny Krzemowej, polityczni starzy wyjadacze i magnaci prasowi. Skład rady nadzorczej Theranosa, czyli inkryminowanej firmy biotechnologicznej, przyprawia o zawrót głowy – zasiadali w niej byli sekretarze stanu Henry Kissinger i George Shultz czy dawny sekretarz obrony William Perry. Specjalnej, metafilmowej pikanterii dodaje fakt, że nawet Errol Morris, jeden z najwybitniejszych dokumentalistów naszych czasów, dał się złapać na lep (pieniędzy? prestiżu? „misyjnej" opowieści o powszechnym dostępie do badań?) i zrealizował ongiś szereg materiałów promocyjnych dla firmy próbującej wcielać w życie ów utopijny projekt. Te reklamowe klipy stanowią zresztą lwią część dokumentu Gibneya, gdzie sterylna utopia coraz bardziej odsłania swoje obskurne zaplecze.

Młodziutka cudotwórczyni, która upowszechniając „medycynę spersonalizowaną" miała uśmierzyć nasze lęki przed utaczaniem krwi, a przy okazji oszczędzić nam długiego oczekiwania na wyniki i wysokich kosztów analiz, przedstawiona została w filmie jako postać zgoła wampiryczna. Stylizująca się na Steve'a Jobsa lodowata blondynka, która żyje jak mniszka, nosi wyłącznie czarne golfy i przeszywa rozmówców przekrwionym acz nieruchomym wzrokiem, to z jednej strony kobieta sukcesu, która podbiła zdominowaną przez mężczyzn branżę start-upową, lecz z drugiej niebezpieczna harpia. Przyznać jednak trzeba, że film kompromituje nie tyle pierwszoplanową bohaterkę, co raczej otaczające ją „tłuste koty" – głównie te płci męskiej i w podeszłym wieku, niczym we współczesnej parodii „Zuzanny i starców". Tyle że kreując Holmes na nawiedzoną „zelotkę", która ostatecznie ma pozostać dla nas nieprzeniknioną tajemnicą (przez cały czas oszukiwała z zimną krwią czy do końca fanatycznie wierzyła w swoją misję?), stajemy się widzami raczej opartego na faktach thrillera niż dokumentu śledczego. Zwycięża przede wszystkim „dobra opowieść". A tymczasem najsugestywniej działają w filmie wcale nie te wykreowane sztucznie momenty grozy, sprytnie użyte archiwalia czy efekty specjalne przedstawiające pracę łże-laboratoriów Theranosa, ale to, co mówią do nas otwartym tekstem drugoplanowi bohaterowie filmu. Słynny ekonomista behawioralny Dan Ariely za pomocą eksperymentu z rzucaniem kostką tłumaczy, jak tak zwane szczytne idee napędzają mechanizm samooszustwa. Dawni pracownicy firmy, od recepcjonistki po eksperta, opowiadają o patologiach w funkcjonowaniu korpospołeczności i o socjotechnikach, które sprawiają, że mądrości Yody z „Gwiezdnych wojen" zaczynają przemawiać silniej niż prawa fizyki. Przypadki goniącego niegdyś za sensacją Rogera Parloffa z magazynu „Fortune" i Johna Carreyrou z „The Wall Street Journal", który w swoim reportażu jako pierwszy zdemaskował uprawiane przez Holmes mętne praktyki, zderzają dwa skrajne modele dziennikarstwa. I nie trzeba dodawać, który z nich pozostaje dzisiaj w odwrocie.

Wizja świata, którym w imię „tajemnicy biznesowej" rządzi zasada totalnej nieprzejrzystości, w którym od lat sieje postrach jedna z największych prawniczych szuj, a emerytowany polityk najwyższego szczebla musi uczyć się rozumu od własnego wnuka, może być zaiste przerażająca. Gibney, znany z prześwietlania na ekranie grubych afer (m.in. wokół Enronu, sekty scjentologów czy tortur stosowanych przez USA wobec podejrzanych o terroryzm), poprzez fotogeniczne medium, jakim bez wątpienia jest Elizabeth Holmes, opowiada tak naprawdę o czymś znacznie większym. Nie tylko o tym, że w Dolinie Krzemowej, która stanowi obecnie centrum świata i krainę wartych miliardy biznesowych „jednorożców", żeby coś wynaleźć, musisz najpierw wynaleźć siebie, a następnie skutecznie sprzedać swoją historię. Mówi również o tym, że po drugiej stronie, obok zimnych kalkulacji, działają także proste emocje i stare grzechy – wśród nich zaślepiająca chciwość.

Przypomnijmy, że w „Wynalazczyni" chodzi o firmę wartą w porywach 10 miliardów dolarów i uwiarygodnioną nazwiskami bardzo wpływowych osób, lecz także o firmę, od której w pewnym momencie zależał byt, zdrowie czy nawet życie tysięcy Amerykanów. Właśnie ów ukryty w całym systemie irracjonalny pierwiastek, niby łatwy do wytłumaczenia, a jednocześnie niepojęty, czyni tę historię najbardziej demoniczną. ©

WYNALAZCZYNI: DOLINA KRZEMOWA W KROPLI KRWI *(The Inventor: Out For Blood In Silicon Valley) – reż. Alex Gibney. Prod. USA 2019. Film dostępny na HBO GO.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [13 – 19 IV]

1. Współwinny. Historia chińskiego dysydenta

Dokumentalny, Heather White, Lynn Zhang, Chiny/USA/Hongkong 2017, TVP1, 15 IV, 23.25

90 procent naszych smartfonów została wyprodukowana w Chinach. Wielu młodych ludzi zatrudnionych w tamtejszych fabrykach przypłaciło to swoim zdrowiem. Jednym z nich jest Yi Yeting, chory na białaczkę aktywista, który walczy o prawa pracowników do rekompensaty i o nagłaśnianie masowych zatruć, dotychczas bagatelizowanych przez wielkie koncerny.

2. W cieniu drzewa

Komediodramat, reż. Hafsteinn Gunnar Sigurðsson, Dania/ /Islandia/Polska 2017, HBO, 18 IV, 20.10, 19 IV, 12.25

Rozłożysty klon staje się kością niezgody dla dwóch sąsiadujących ze sobą rodzin na przedmieściach Reykjavíku. Satyryczne obserwacje obyczajowe i przechodzący w makabrę czarny humor tworzą opowieść o tym, jak bardzo złym doradcą mogą być rozgrzane do czerwoności emocje. Polski udział w filmie to m.in. zdjęcia Moniki Lenczewskiej.

3. Antonio Nola

Koncert, Mezzo, 19 IV, 20.00

„Tristes erant Apostoli", czyli muzyka sakralna XVII-wiecznego kompozytora z Neapolu, przypomniana zostanie podczas tegorocznego festiwalu Misteria Paschalia w Krakowie. Zagra ją Cappella Neapolitana pod batutą Antonia Florio z towarzyszeniem śpiewaków. Przed nami transmisja na żywo tego wydarzenia.

4. Suspiria

Horror, reż. Luca Guadagnino, USA/ /Włochy 2018, CHILI

Jeden z najbardziej niedocenionych tytułów minionego roku. Twórca „Tamtych dni, tamtych nocy" powrócił do kultowego filmu grozy Daria Argento z 1977 r., osadzając akcję w podzielonym Berlinie. Mamy tu demoniczny taniec, krwiożerczy matriarchat i Holokaust w tle, a wisienką na torcie jest Tilda Swinton pojawiająca się w kilku rolach.

Lektor:
Dzieło nieoczekiwane

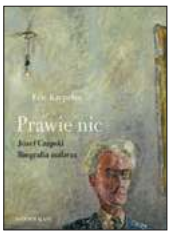

▪ *Eric Karpeles*
PRAWIE NIC. JÓZEF CZAPSKI. BIOGRAFIA MALARZA
Przeł. Marek Fedyszak, Noir sur Blanc, Warszawa 2019, ss. 538 + ilustr.

Amerykański malarz i krytyk, zajmujący się m.in. rolą obrazów w dziele Marcela Prousta, otrzymuje pewnego dnia od znajomego z Paryża niewielką francuską książeczkę o tym pisarzu. Nazwisko autora nic mu nie mówi. „Jeszcze poprzedniego dnia nic o nim nie słyszałem. Następnego dnia całkowicie mną zawładnął”. Nieznanym autorem był Józef Czapski, książeczka to zapis odczytów, jakie Czapski prowadził (po francusku) dla współwięźniów-oficerów w sowieckim obozie w Griazowcu. Dzielił się zachwytem uruchamiając własną pamięć, bo przecież w obozie nie było egzemplarza „W poszukiwaniu straconego czasu”. Dla Erica Karpelesa, urodzonego w Nowym Jorku osiem lat po zakończeniu II wojny, ten zachwyt tak mocno współbrzmiał z jego odczuciami, że wprowadził jego własne życie na nieplanowaną wcześniej ścieżkę. Odkrycie malarstwa Czapskiego – pierwszym obrazem, który Karpeles zobaczył na żywo, był „Chłopiec przed de Staëlem”, późne (z 1981 r.) płótno wiszące na ścianie paryskiego mieszkania Wojciecha Karpińskiego – tylko wzmocniło nieoczekiwaną fascynację. Zaczęła się praca niemal detektywistyczna: lektury, grzebanie w archiwach, podróże i spotkania z ludźmi, którzy Czapskiego znali i byli mu bliscy, tropienie jego obrazów w kolekcjach prywatnych i magazynach muzealnych (opis wizyt w magazynie warszawskiego Muzeum Narodowego i w krakowskiej Bibliotece Czartoryskich, gdzie znajdują się dziś dzienniki Czapskiego, godny jest Kafki!). Rezultat? Rzetelna biografia, która dyskretnie porusza też temat miłosnych fascynacji Czapskiego i jego związków z mężczyznami i kobietami, będąca zarazem pełnym nieskrywanych emocji sprawozdaniem z badawczej przygody. Także dlatego tak świetnie się ją czyta.
Co zaś najważniejsze i co bardzo by się chyba spodobało jej bohaterowi: to nie jest tylko rzecz o Czapskim – świadku epoki, potomku arystokratycznego rodu, strażniku pamięci o Katyniu i współtwórcy paryskiej „Kultury”, ale równocześnie wnikliwy portret artysty długo i nieustępliwie szukającego własnego głosu, wiernego do końca malarskiemu powołaniu. I wizerunek niezwykłego człowieka łączącego bezbronną wrażliwość na świat z twardością i konsekwencją w działaniu. Dodajmy piękne ilustracje – osobno archiwalne zdjęcia, osobno rysunki i obrazy Czapskiego – no i przypisy (czytajcie przypisy!). Nadzwyczajna książka! ©℗

Wydostać się z getta nie było trudno.
Żyć poza gettem było trudno.

Romek Marber, Bez goryczy

pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” do kupienia w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

znak

GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

AUSTERIA

PAWEŁ

Bravo: *Kartofel w narodowych barwach*

Jeden i dwie dziesiąte. Tyle milimetrów wysokości musi mieć czcionka informująca o składnikach czy pochodzeniu produktów spożywczych. A ściślej, tyle musi mieć litera „x" w zestawie danej czcionki. A co, jeśli chcemy jakąś informację umieścić wielkimi literami? Wypisujemy wtedy na kartce słowo „Appendix", w którym właśnie ostatnia litera ma to sakramentalne 1,2 mm, zdejmujemy miarę z litery A i to ona ma nam służyć za wzorzec dla innych.

Wiem to wszystko, bo dałem nura w szczegółowe rozporządzenia do dyrektywy unijnej z 2011 r., dotyczącej informacji o żywności dla konsumentów. Na trzeźwo trudno przebrnąć przez tę prozę cyborgów, ale sił dodawała mi żądza zemsty. Jakieś licho mnie podkusiło wcześniej na hiszpańskie truskawki, a zanim przełknąłem trzecią, już miałem ochotę wziąć cienkopis, linijkę i dopisać na paczce w przepisanym rozmiarze tzw. fakultatywną informację dla konsumenta: „produkt spożywczy o podwyższonej zawartości zawiedzionych nadziei", po czym dyskretnie odnieść na stoisko.

Przez moją bańkę społecznościową przetoczyła się beka po tym, jak minister rolnictwa wykorzystał przezacną gminę Kadzidło do przedwyborczego mamienia ludności wiejskiej i zapowiedział dumnie, że zaraz zacznie się znakowanie na biało-czerwono ziemniaków, które na to zasługują, czyli wyjętych z brzucha polskiej matki ziemi. Złośliwostkom nie było końca, przesyt narodową tromtadracją obecnej władzy domaga się ujścia w wesołości i absurdalnym śmiechu. Wyobrażenie ludzi malujących każdemu kartofelkowi na policzku dwie kolorowe kreseczki – plus husarskie skrzydełka w przypadku jakości premium – jest zaiste przyjemnie groteskowe.

Łatwość tej reakcji nie najlepiej o nas świadczy. Po pierwsze, o obowiązku malowania kartofla w biel i czerwień ministerstwo mówi dobre pół roku – w każdym razie już w listopadzie poszła do Brukseli notyfikacja w tej sprawie. Nasza władza uznała, że pozałatwia to wszystko w zgodzie z procedurami, dołączając m.in. sążniste ekspertyzy Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. Minister Ardanowski chwalił się tym w styczniu, ale kto by tam czytał ministrów rolnictwa – chyba że akurat mordują dziki albo trwa kampania wyborcza.

Po drugie i znacznie ważniejsze, próba politycznego podczepienia się pod kartoflany patriotyzm to wepchnięcie palca w najbardziej zapalny węzeł sprzecznych interesów i uczuć, jakie rozsadzają unijny projekt od środka. Wierzcie mi: papiery dokumentujące nieustanne przepychanki między tymi, którzy upierają się, żeby obowiązkowo znaczyć żywność krajem pochodzenia, a tymi, którzy mówią, że przecież umawialiśmy się na wspólny rynek, gdzie nie ma Polaka czy Greka, czyta się jak epopeję. Ponoć ojcowie założyciele mieli taki pomysł, że jak się najpierw pouzgadnia w gronie paru krajów standardy śrubek, to jedność polityczna nadejdzie potem niejako samoczynnie. Może mieli rację ze śrubkami, ale na drodze do federalizmu przez standaryzację stanął kotlet, ziemniaki i surówka.

O tym, jak bardzo czuła jest kwestia pochodzenia żywności, świadczy np. to, ile wysiłku politycy i lobbyści wkładali dwa lata temu w awanturę, czy Włosi mają prawo nakazać pisanie na paczce makaronu, skąd pochodzi pszenica użyta do mąki. Sprawa oparła się o Światową Organizację Handlu, Kanada bowiem, wielki eksporter zboża, złożyła skargę, słusznie przeczuwając, że przeciętny Włoch będzie miał odruch „włoskie znaczy lepsze", choć fachowcy z branży młynarskiej zapewniają, że wcale nie musi być. Nasze dość powszechne, choć rzadko artykułowane zagubienie w tej zbyt dużej, zbyt szybko zszywanej kontynentalnej rodzinie nagle znajduje irracjonalne ujście przy stoisku żywnościowym. Irracjonalne, bo miejsce pochodzenia – rzecz bardzo ważna – to wcale nie to samo co kraj. Znamy podpartą doświadczeniem pewność, że ten konkretny rolnik ma lepsze warzywa albo że w tym konkretnym powiecie krowy jedzą lepszą trawę, albo że jabłka z pewnej okolicy tradycyjnie mają więcej smaku (apogeum tej mikrolokalizacji jest oczywiście winiarska ideologia *terroir*). Ale to nie znaczy, że mamy ulegać nacjonalizmom przepakowanym w troskę o jakość. Z całym szacunkiem dla instytutu, który wydał ministrowi podkładkę pod wniosek do Brukseli: cóż może wyróżniać na korzyść polskiego ziemniaka, jeśli „Polska" w tym wypadku oznacza setki różnych rodzajów gleb, mikroklimatów i wariantów uprawy?

W sferze jedzenia są tylko małe, bardzo małe ojczyzny. Te większe można kochać i szanować, ale z dala od kuchni. ©℗

Z myślą o brukselskich ekspertach od mierzenia litery x zróbmy posilną przekąskę z typowo przednówkowego składnika – tartę z endywią belgijską, zwaną zazwyczaj cykorią.

120 g zimnego masła ucieramy z 240 g mąki na piasek. Dodajemy 1 żółtko, 3 łyżki lodowatej wody, łyżeczkę soku z cytryny, sól, wędzoną paprykę. Zagniatamy szybko, wałkujemy na placek i wykładamy formę do tarty, wstawiamy do lodówki. 400 g cykorii kroimy wzdłuż na paski. Na patelni rozgrzewamy na średnim ogniu 50 g masła, wrzucamy cykorię, mieszamy, posypujemy 60 g cukru trzcinowego, dodajemy 12 rozgniecionych jagód jałowca, mieszamy dalej na średnim ogniu, aż się trochę skarmelizuje, solimy. Dodajemy sok z 1 cytryny, studzimy. Nakłuwamy ciasto i podpiekamy je 10 minut w 180 stopniach, wykładamy cykorię (wyjmując jagody jałowca, bo są twarde i można połamać zęby), pieczemy 15 minut, wyjmujemy, kładziemy paski sera reblochon lub innego podobnego z żółto-pomarańczową skórką. Zapiekamy kolejne 15 minut, aż się ser rozpłynie.

ADOBE STOCK

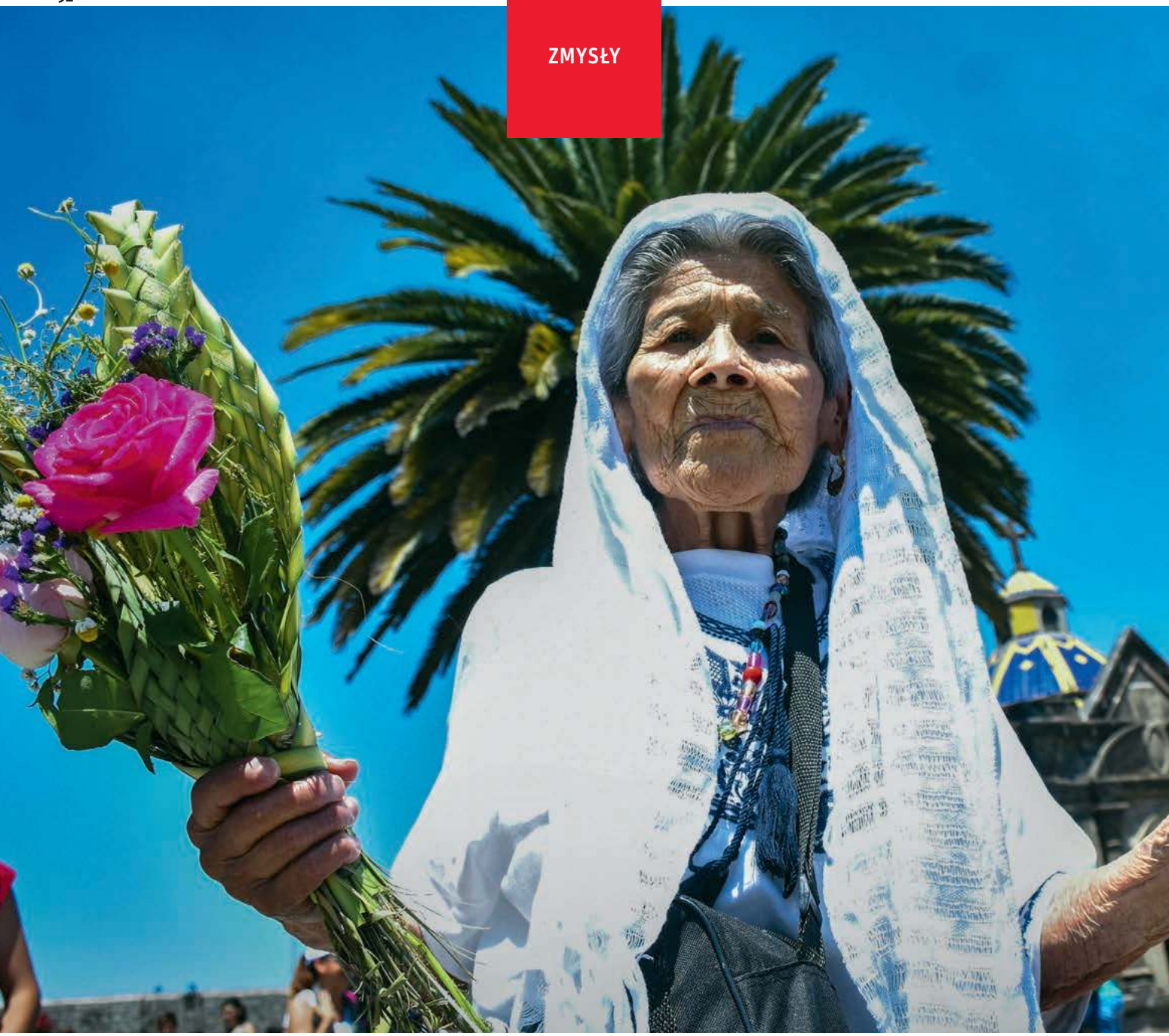

POZA KOŚCIOŁEM NIE MA KSIĘDZA

Właściwą realnością Kościoła są świeccy chrześcijanie, a treścią prośby odłączonego księdza jest prawo do bycia z nimi razem.

RYSZARD KOZIOŁEK

CARLOS TISCHLER / SOPA / GETTY IMAGES

Niedziela Palmowa, kościół Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, Naucalpan, Meksyk, 25 marca 2018 r.

Moje szaty, kapłana i spowiednika,
Są po to, żeby ukryć mój strach
i niepewność.
Jesteśmy ludzie odłączeni.
(Czesław Miłosz „Ksiądz Seweryn")

Marcin mi powiedział, że Magda mu powiedziała, że na Korfu oglądały z córką obrzęd liturgii wielkanocnej, podczas którego wspólnota wiernych zamyka się we wnętrzu kościoła, a ksiądz zostaje na zewnątrz i puka dopóty, dopóki nie zostanie mu otworzone.

Okazało się, że Marcin trochę pokręcił, było nieco inaczej, ale i tak porwał mnie ten obraz księdza stojącego przed zamkniętymi drzwiami świątyni. Zobaczyłem w nim sugestywną wskazówkę daną wspólnocie chrześcijan, co należy czynić, kiedy duchowny traci jej szacunek i zaufanie.

Odłączeni

Choć obrzęd ten najpowszechniej praktykowany jest w Kościołach wschodnich, należy do powszechnej liturgii Niedzieli Palmowej, zatwierdzonej przez Piusa V w 1570 r. i zrewidowanej przez Piusa XII w ramach reformy liturgii w 1955 r.

Interesujący fragment mówi, że po pobłogosławieniu palm następuje procesja wokół świątyni, a jej drzwi zostają na ten czas zamknięte. Po procesji kapłan i wierni stają przed wejściem do kościoła śpiewając pieśni, a ksiądz trzykrotnie uderza krzyżem w drzwi. Uczestnicy procesji śpiewają najczęściej psalm 24 o uroczystym wejściu Pana do świątyni, w którym padają słowa, że razem z Nim wejść może „Człowiek niewinnych rąk i czystego serca, który nie skłania ku marności duszy swej, a nie przysięga zdradliwie" (Biblia Gdańska, Ps 24, 4). Po trzecim uderzeniu drzwi zostają otwarte, wszyscy wchodzą do środka i odbywa się właściwa msza (Czesław Krakowiak, hasło: „Niedziela Palmowa" w: „Encyklopedia katolicka", t. XIII).

Kanoniczny scenariusz liturgii osłabił nieco buntowniczy potencjał anegdoty opowiedzianej przez żonę Marcina, ale wyobraźnia już ruszyła z miejsca, napędzana kolejnymi wariantami wymyślonej sceny. Pobudzona literaturą, rzecz jasna, której niepoliczona nigdy część to ćwiczenia z wyobraźni teologicznej dla nieteologów. W ramach takiego ćwiczenia można wetknąć stopę między zatrzaskujące się drzwi teologii, aby nieco dłużej zatrzymać w myślach obraz księdza pukającego w zamknięte drzwi kościoła.

Ewangeliczną inspiracją tego obrzędu jest nie tylko śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, ale przede wszystkim przypowieść o pannach mądrych i głupich. To jedna z nielicznych przypowieści komicznych w Nowym Testamencie. Mądre, ale też i chytre panny są zapobiegliwe i dobrze przygotowane, aby czuwać i oświetlać drogę oblubieńca. Zabawna jest trywialność szczegółów w tej historii. Głupie zapomniały oliwy, a mądre nie dość, że się z nimi nie podzieliły, to jeszcze odesłały je do sklepu, eliminując w ten sposób konkurencję do względów oblubieńca.

„A gdy odeszły kupować, przyszedł oblubieniec; a te, które były gotowe, weszły z nim na wesele; i zamknione są drzwi. Lecz potem przyszły i one drugie panny, mówiąc: »Panie, Panie, otwórz nam!«. A on odpowiadając, rzekł: »Zaprawdę powiadam wam, nie znam was«" (Mt 25, 10-12, Biblia Gdańska).

Złośliwy żart chytrych panien zmienia się w grozę „zamknionych drzwi" i jeszcze straszniejszych słów: „nie znam was". Jeśli przypowieść o pannach jest alegorią sądu, zbawienia i potępienia, to pozostać „na zewnątrz" Kościoła, czyli wspólnoty, oznacza dla księdza dużo więcej niż samotność porzuconego. Stojąc przed zamkniętą przed nim wspólnotą zgorszonych, sąsiaduje z dwiema innymi formami wykluczenia, które mogą być efektem nagannego zachowania duchownego.

Pierwsza to ekskomunika. Jej ewangeliczną podstawą jest niezwykle skrupulatna i rzeczowa instrukcja, jakiej udziela Chrystus u Mateusza. Najpierw z gorszycielem odbywa się dyskretna rozmowa w cztery oczy, później przy świadkach, następnie sprawę należy zgłosić stosownej instytucji (Kościołowi). I tu objawia się realizm Ewangelii, bo przecież instytucje często tracą autorytet lub po prostu się deprawują. Więc „jeśli nawet Kościoła nie posłucha, niech będzie dla ciebie jak poganin i celnik" (Mt 18, 15-18). Taki ksiądz – obok poganina i celnika – staje się odmianą człowieka, z którym nikt publicznie nie chce się kontaktować ani być widziany. Nie siada się z nim do stołu, nie rozmawia publicznie, nie zaprasza do domu.

Dziś ekskomunika straciła już swoją grozę. Zeświecczona pojawia się na krótko w Kodeksie Napoleona (w Polsce zniesiona już w 1825 r.), w strasznej postaci „śmierci cywilnej", czyli utraty zdolności prawnej przez ukaranego. Nawet metaforycznie pojmowana, śmierć cywilna oznacza utratę szacunku i wiarygodności. Jej groza wynika stąd, że żadne drzwi nie są ↦

↦ zamknięte, ponieważ nie ma żadnych drzwi, przez które można wejść. Wszyscy dawniej bliscy i „wierni" są na widoku i w zasięgu ręki, ale stają się nagle nieosiągalni i obcy.

Jeśli drzwi się nie otworzą, czekającemu księdzu zagraża jeszcze drugie odłączenie – poważniejsze, bo ostateczne. Wypowiedziane zostało w III w. przez św. Cypriana, biskupa Kartaginy, w sławnej formule: „*Extra Ecclesiam salus nulla*" (Poza Kościołem nie ma zbawienia). Podobnie jak ekskomunika, literalnie potraktowane ostrzeżenie raczej już nie straszy. Myślącego chrześcijanina trudno byłoby przekonać, że jakikolwiek Kościół ma licencję na zbawienie. Po setkach lat triumfuje mądry Justyn, który już w II wieku twierdził, że wszyscy mamy udział w Logosie, a przemawia on także przez mądrość pogańskich filozofów. Strach, że bez kościelnej wizy do nieba nie wpuszczą, nawet u księdza może być niewielki. Ale od czego metafora, która ożywia martwe sensy starych formuł. Prawdziwą grozę myśli, że odłączenie od Kościoła może być tożsame z wieczną utratą życia, ujawnia niewinne z pozoru porównanie Jacka Salija: „Być może z granicami Kościoła jest podobnie jak z granicami życiodajnej oazy: oaza nie jest odgrodzona od pustyni, ona po prostu przestaje istnieć tam, gdzie nie ma życia".

Może więc nie być żadnych drzwi do pukania, kiedy nie będzie Kościoła jako żywej wspólnoty. Co to znaczy? Ot, na początek pusty kościół bez ludzi; samotność upadającej wiary duchownych, monologi modlitwy bez odpowiedzi... W ćwiczeniu z wyobraźni teologicznej z użyciem literatury nie trzeba sięgać wyłącznie po instrumenty subtelne. W „Ostatniej bitwie templariusza" Artura Peréza-Revertego niejaki ksiądz Quart przybywa do Sewilli, aby wyjaśnić zbrodnię. Spotyka tam księdza Príama Ferra, aroganckiego mizantropa, który za nic ma watykańskiego wysłannika. W miarę toczącego się dialogu coraz lepiej rozumiemy gniewne rozgoryczenie starego duchownego. Pierwsze 20 lat swojej pracy spędził w małej górskiej parafii:

„– Bardzo mała. Kiedy przyjechałem – czterdziestu dwóch mieszkańców. Ani jednego, kiedy odchodziłem. Moja ostatnia parafianka miała przeszło osiemdziesiąt lat i nie zniosła śnieżyc ostatniej zimy" (przeł. Joanna Karasek).

To najprostszy przepis na znikający Kościół. Starzy umierają, a nowi nie przychodzą. Opuszczenie, samotność, brak oparcia w przyjaciołach i rodzinie, dystans i pryncypialność przełożonych. Do tego nieunikniony kryzys wiary.

„Przez długi czas – ciągnął proboszcz – szukałem Go tam w górze. Chciałbym móc zamienić z Nim parę słów, wyrównać rachunki jak równy z równym. Widziałem mnóstwo ludzi cierpiących i umierających (...) Mój biskup i jego otoczenie zapomnieli o mnie, żyłem w straszliwej samotności, z której wychodziłem tylko po to, żeby odprawić w każdą niedzielę mszę w małym, niemal pustym kościele albo żeby podczas śnieżycy czy ulewy brnąć przez błotniste bezdroża, idąc z ostatnimi sakramentami do starców, którzy tylko czekali na moje przyjście i zaraz umierali. I przez te ćwierć wieku, kiedy siedziałem u wezgłowia umierających, którzy chwytali się moich dłoni, bo byłem ich jedynym pocieszeniem, zawsze tylko ja mówiłem. Nigdy nie dostałem odpowiedzi".

Czyj jest Kościół?

W niedzielę ostatniego dnia watykańskiego szczytu na temat przestępstw seksualnych w Kościele katolickim słuchałem kazania ostatniej nadziei homiletycznej w moim mieście, czyli przeora dominikanów.

Mówił odważnie o sprawstwie ludzi Kościoła. Nie mądrzył się, nie kajał za cudze grzechy, ale zdawał sobie sprawę z trudu, jaki czeka Kościół, w tym jego samego, na drodze do ujawnienia pełnego obrazu zła, zadośćuczynienia ofiarom i odbudowy zaufania do instytucji i pojedynczego duchownego. Powiedział w tej sprawie to, czego nigdzie indziej z ust polskiego duchownego nie słyszałem.

Dopiero po wyjściu doszło do mnie, czego brakowało mi w jego słowach: nie zapytał o nas, świeckich. Co my na to? Jaka jest nasza rola w procesie rozpoznawania i naprawy? Te pytania to nie roszczenie, ale zdziwienie, że w tak bolesnej i skomplikowanej kwestii rezygnuje się z pomocy swojego Kościoła. Lub gorzej jeszcze, bo na skutek lęków, uprzedzeń czy kościelnych praw nie można o tę pomoc poprosić. Powoli wyłaniał się ze słów przeora smutny obraz małej wspólnoty duchownych

Pokaż swoją naturę, zaprezentuj kulturę!

Majówkowy dodatek **Włóczykij**
to znakomita okazja dla instytucji kultury, organizatorów festiwali, menedżerów oraz regionalnych biur promocji, by pokazać się od najlepszej strony!

Dodatek ukaże się **w środę 24 kwietnia**
wraz z „Tygodnikiem Powszechnym", **w podwójnym wydaniu na majówkę**, w zwiększonym nakładzie i z szeroką promocją!

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy do współpracy – niższe ceny reklam pod adresem: **reklama@tygodnik.com.pl** i numerem **602 590 416**.

(niespełna 30 tys.), dobrowolnie osamotnionej pośród 32 mln świeckich katolików.

„A co z resztą? To nie sprawa Kościoła? Jeśli sprawca był tylko ochrzczony, bez święceń, to jego ofiara ma sobie radzić sama?" – pyta gniewnie ks. Grzegorz Strzelczyk („Bez chechranio", „W drodze" 3/2019). Słusznie. Co z tymi świeckimi, którzy wiedzieli, a jednak nie wierzyli? Co z chrześcijańskimi sprawcami przemocy domowej i wszelkiej innej, o których ksiądz i policjant wiedzą zwykle najwięcej? Jakkolwiek więc obaj mówili odważnie i odpowiedzialnie, to jednak utrwalali obraz księdza odłączonego od wspólnoty. Bez próby włączenia świeckich chrześcijan w rzeczywistą odpowiedzialność za Kościół nie powiedzie się żaden projekt jego odnowy. Z przyczyny, którą dobrze ilustruje dialog księży Quarta i Ferra u cytowanego już Pérezа-Revertego:

„– Rzym jest daleko stąd, a to jest mój kościół.

– Kościół księdza... Aha. Quart czuł spojrzenie Gris Marsali, utkwione w nich, pełne oczekiwania. Wysunął podbródek, licząc w myślach do pięciu.

– Księże Ferro, to nie jest kościół księdza, to jest nasz kościół".

„Mój" i „nasz" oznacza tu „ich". Z tego tasowania zaimków wynika jasno, że być może „należymy do Kościoła", „jesteśmy Kościołem", ale posiada go wąska grupa duchownych. Świeccy chrześcijanie tworzą raczej wspólnotę o charakterze „rodziny", którą zarządza się tak, jak czynił to dawniej gospodarz domu w stosunku do podporządkowanych mu domowników.

„Niepolityczny, niepubliczny charakter chrześcijańskiej wspólnoty został niemal na samym początku zdefiniowany w postulacie nakazującym, by tworzyła ona *corpus*, „ciało", którego członkowie mieli być związani ze sobą jak bracia z tej samej rodziny" (Hannah Arendt „Kondycja ludzka", przeł. Anna Łagodzka).

Specyfika wspólnot religijnych objawiła się szczególnie wyraźnie od czasu oświecenia, kiedy zaczęły się kształtować nowoczesne społeczności polityczne. Na ich tle okazało się, że wspólnota religijna nie należy do sfery publicznej, gdzie wiedziemy regulowane prawem życie z innymi. „Rozróżnienie na prywatną i publiczną sferę życia – pisze Hannah Arendt – odpowiada podziałowi na dziedzinę gospodarstwa domowego i dziedzinę polityczną". Wspólnota religijna opiera się przede wszystkim na zasadniczo nierównym dostępie do wypowiedzi publicznej, zwłaszcza w kwestiach decydujących o sprawach Kościoła. W świecie, który posiada sferę publiczną i wolny do niej dostęp obywateli, jeśli przestajemy do niej należeć, czyli w żaden sposób nie żyjemy z innymi, to znaczy, że umarliśmy.

Ksiądz katolicki ze względu na przynależność do wspólnoty duchownych jest częściowo odłączony od sfery publicznej (m.in. od działalności politycznej czy posiadania rodziny). Nie oznacza to jednak, że jego życie przesuwa się bardziej ku sferze prywatnej. Dokonuje się za to nieunikniony proces wprowadzania do wspólnoty religijnej elementów sfery publicznej i prywatnej. Kościół rozumiany jako wspólnota wierzących staje się „własnym" Kościołem księży i prowadzi do częściowej prywatyzacji wspólnoty przez kierującego nią duchownego.

> Ruch Kościoła ku życiu publicznemu i prywatnemu odsłonił najbardziej wrażliwe miejsce chrześcijanina – **samotność doświadczenia religijnego i trud godzenia go z życiem.**

Nie ma z tego wyjścia, nawet w zgromadzeniach zakonnych, które poprzez „reguły" muszą postawić zaporę normom i wartościom świeckim, a zarazem odtwarzają ją, gdyż same zasady ewangeliczne nie wystarczą dla funkcjonowania instytucji religijnych. Najbardziej radykalną próbą rozwiązania tej sprzeczności była reformacja, która przesunęła mocno Kościół w przestrzeń publiczną, demokratyzując zasady funkcjonowania wspólnot luterańskich, a zniesienie celibatu otworzyło przed duchowieństwem swobody korzystania ze sfery prywatnej. Ksiądz i zakonnica zostali na nowo włączeni do społeczności świeckich i stali się bliżsi ludziom jako dzielący z nimi życie mężów i żon, ojców i matek.

Ten ruch Kościoła ku życiu publicznemu i prywatnemu odsłonił jednak najbardziej wrażliwe miejsce nowoczesnego chrześcijanina – samotność doświadczenia religijnego i trud godzenia go z życiem. W konsekwencji życie duchowe jednostki stało się jej prywatną troską; samotną walką o wieczność. Na dodatek, z perspektywy wartości życia publicznego oraz rzeczywistości życia rodzinnego i prywatnego, pragnienie indywidualnej wieczności w boskim za-świecie jest niezrozumiałe, próżne, a nawet śmieszne.

Plebania, Zamek, Forteca

W 1766 r. ukazała się powieść Olivera Goldsmitha „Pleban z Wakefieldu" – pogodny, sentymentalny moralitet o anglikańskim wikarym i jego rodzinie. Do końca XIX w. książka pozostawała przebojem literatury moralnej nie tylko w Anglii, ale na całym chrześcijańskim Zachodzie. „Nowoczesna idylla", jak nazwał ją Goethe. Głównym bohaterem i narratorem jest tytułowy pleban Charles Primrose (Karol Pierwiosnek), który ma żonę i szóstkę dzieci. Mimo katastrof życiowych nie traci wiary w dobro ludzkiej natury i w Opatrzność wynagradzającą cnotę.

Sporo jest w „Plebanie" ironicznego humoru, który sprawia, że nie możemy być pewni, czy to sentymentalna przypowieść o nagrodzonej cnocie, czy łagodna satyra na wygodną ufność w Opatrzność czuwającą nad dobrymi ludźmi. Kluczowy jest obyczajowy realizm tej powieści. Plebana, jako męża i ojca, dotykają wszystkie banalne udręki i tragedie nowoczesnego świata: troska o posagi córek i o wykształcenie synów, bankructwo, choroby, oszustwa, próby uwiedzenia córek, uwięzienie syna, konflikty klasowe, pokusa blichtru, moda, kosmetyki, polityka. Dręczony nowoczesnymi plagami, ten nieco komiczny Hiob trwa w pogodnej ufności w boską opiekę. Cudowny zwrot wypadków istotnie wydobędzie go z katastrofy, przyjmując postać arystokraty zakochanego w jednej z córek. Zbawienna interwencja władzy i pieniędzy ratuje życie, majątek i reputację Primrose'ów. W finale powieści widzimy sytego, bezpiecznego i znów zamożnego plebana, jak syci się idyllą pojednania ziemi i nieba:

„Po obiedzie, zgodnie z moim dawnym zwyczajem, prosiłem, aby usunięto stół, i abym mógł ucieszyć się widokiem całej mojej rodziny, zgromadzonej przy kominkowym ogniu. ↦

↦ Obu malców wziąłem na kolana, a reszta towarzystwa usadowiła się, jak komu było najmilej.

A teraz niczego już więcej od życia nie pragnę. Wszystko złe minęło i zażywam niewysłowionego szczęścia. O jedno tylko staram się usilnie, aby wdzięczność moja w pomyślności przewyższyła moje uprzednie poddanie się woli najwyższego w przeciwieństwach" (Oliver Goldsmith, „Pleban z Wakefieldu", przeł. Hajota).

Mdły optymizm zakończenia maskuje brawurę ideową tej powieści. Tkwi ona w próbie przekonującego przedstawienia życia księdza, który nie tylko nie przeciwstawia religii światu, ale zanurza się w nim na wszystkie świeckie, choć etycznie dopuszczalne sposoby. U progu rewolucji technicznej i kapitalistycznej, które podkopią lub przeobrażą tradycyjne formy życia rodzinnego i religijnego, Goldsmith snuje fantazję o duchownym, który integruje i godzi swoje trzy formy życia: prywatną (rodzina), publiczną (polityka i biznes) i religijną (życie Ewangelią). Próba to odważna, rozwiązanie idylliczne, pocieszenie dziecięce.

W rzeczywistości nieunikniony, choć konieczny zwrot Kościoła (także katolickiego) ku życiu świeckiemu odsłania właściwy dramat religijności w świecie nowoczesnym – alienację indywidualnego doświadczenia religijnego, którym zgodnie nie są zainteresowane obie wspólnoty i ich instytucje – religijna i polityczna. Kościół porzucił rolę mediatora między duchowym a praktycznym życiem członków swoich wspólnot na rzecz separacji lub konfrontowania obu sfer. Nic dziwnego, sami duchowni zbiegli ku życiu. Jawnie, pod osłoną zreformowanej doktryny. Lub sekretnie, wystawiając się na zgorszenie i pośmiewisko. Jako psalm pokutny mogliby bez końca recytować wspaniały wiersz Marcina Świetlickiego:

Otóż: w jakiś tam sposób nie byłem ci wierny;
istniał świat. A to rozprasza. Ja budziłem się
i żyłem, dotykałem, jadłem, rozmawiałem,
piłem wino i grałem w ludzkie gry, jeździłem
koleją i pozowałem do zdjęć, rozproszyłem się,
wybacz

(„Korespondencja pośmiertna", fragment).

Skoro wszyscy (oni tak samo) cenimy nade wszystko życie ziemskie, to słabnie, blaknie i zanika atrakcyjność boskiego przeciwświata. Grzęźniemy w dystopiach lub hedonistycznych fantazjach inżynierów genetycznych o przedłużonej w wieczność doczesności. Po co nam duchowni, jeśli są tacy jak my? Powyobrażajmy sobie wspólnie (my i oni) na chwilę ich nieobecność.

Dwie są opowieści najstraszniejsze, spośród wszystkich traktujących o duchownych poza wspólnotą. Bohater pierwszej – być może anonimowy ksiądz, na co wskazywać może litera K. zastępująca mu imię i nazwisko – przybywa w późny, zimowy wieczór do pewnej wsi. Udaje geodetę i choć nikt we wsi nie potrzebuje geodety, wmawia mieszkańcom, że dostał wezwanie z Zamku, aby dokonać pomiarów terenu. Mistyfikacja jest tym bardziej absurdalna, że trwa zima i o żadnym mierzeniu nie może być mowy. Zamek w tej opowieści jest naszym zamkniętym kościołem. K. musi zostać do niego wpuszczony; tylko tam może pojąć, co się z nim dzieje, i zrozumieć swój los.

„Góry zamkowej nie było wcale widać, otoczyły ją mgły i mrok, nawet najsłabsze światełko nie zdradzało obecności wielkiego zamku. K. stał długo na drewnianym moście, wiodącym z gościńca do wsi, i wpatrywał się w pozorną pustkę na górze" (Franz Kafka „Zamek", przeł. Krzysztof Radziwiłł, Kazimierz Truchanowski).

Cała niedokończona (słusznie) powieść to relacja z nieskutecznych prób osiągnięcia celu. K. jest arogancki, uparty i złośliwy; kombinuje i kłamie, ale Zamek wciąż mu umyka, choć wydaje się być na wyciągnięcie ręki. Wsparcia udzielają mu niemal wyłącznie kobiety. Na Zamku nikt go jednak nie chce: „Nigdy nie widziany, stale oczekiwany, naprawdę upragniony i stale na skutek rozsądnych przesłanek uważany za nieosiągalnego".

Druga przypowieść o księdzu poza Kościołem opowiada o młodym poruczniku, Giovannim Drogo, który pragnąc egzotyki, przygód i chwalebnych czynów, wybiera służbę w Fortecy – samotnej placówce wzniesionej dla obrony przed Nieprzyjaciółmi, którzy nigdy nie nadejdą. Pełen wiary i gotowości do ofiar trwa przez 30 monotonnych lat w niepotrzebnej służbie: „I tak kroczymy ową drogą w pełnym ufności oczekiwaniu, dni są długie i spokojne, a słońce świeci wysoko na niebie i, rzekłbyś, nie ma wcale ochoty zachodzić.

Ale w pewnym miejscu, prawie instynktownie, odwracamy się za siebie i widzimy, że za naszymi plecami zaryglowano jakąś furtkę zamykającą drogę powrotną. Wtedy czujemy, że coś się zmieniło: słońce nie sprawia wrażenia tak nieruchomego jak przedtem, lecz przesuwa się błyskawicznie, co więcej, nie ma kiedy mu się przyjrzeć, bo oto już zapada nad linią horyzontu, i dostrzegamy, że chmury nie zatrzymują się w błękitnych zatokach nieba, ale uciekają nakładając się na siebie; i zaczynamy rozumieć, że czas przemija, a droga któregoś dnia będzie musiała dobiec końca" (Dino Buzzati, „Pustynia Tatarów", przeł. Alojzy Pałłasz).

W obrzędzie Niedzieli Palmowej modyfikowany literaturą obraz księdza stojącego u wrót zamkniętego kościoła jest surowy i przejmujący. Plebania, Zamek i Forteca, wbrew ich kamiennej solidności, są mirażami. Nie ma czego bronić ani komu zdobywać. Właściwą realnością Kościoła są świeccy chrześcijanie, a treścią prośby odłączonego księdza jest prawo do bycia z nimi razem. Jako że nikomu nie szkodzą ćwiczenia z wyobraźni teologicznej, wyobraźmy sobie, że jesteśmy w środku i nie spieszymy się z otwieraniem drzwi. Niech poczekają. Jak czynią to rozwiedzeni, odłączeni, kochający inaczej, wybierający z rozpaczy religię prywatną – ci wszyscy, którzy bez nadziei pukają do drzwi Kościoła. Na tę rytualną chwilę Niedzieli Palmowej niech duchowni zajmą ich miejsca i proszą o wpuszczenie, przekonując skutecznie, że zasługują na to, aby być wśród nas, czyli w Kościele.

Przeczuwam, że nawet w wyobraźni nie potrwa to długo. Wszak to tylko świąteczny rytuał, a poza tym – jak poucza wikary Pierwiosnek – „gościnność jest jednym z najpierwszych chrześcijańskich obowiązków. Zwierzęta udają się na noc do swoich legowisk, a ptaki lecą do gniazd, ale bezdomny człowiek tylko u swoich bliźnich może znaleźć schronienie. Największym wędrowcem na tym świecie był Ten, który zstąpił nań, aby go zbawić. Nie miał nigdy własnego domu, jak gdyby dla przekonania się, czy gościnność pozostała jeszcze wśród nas".

© RYSZARD KOZIOŁEK

OGŁOSZENIE OPP

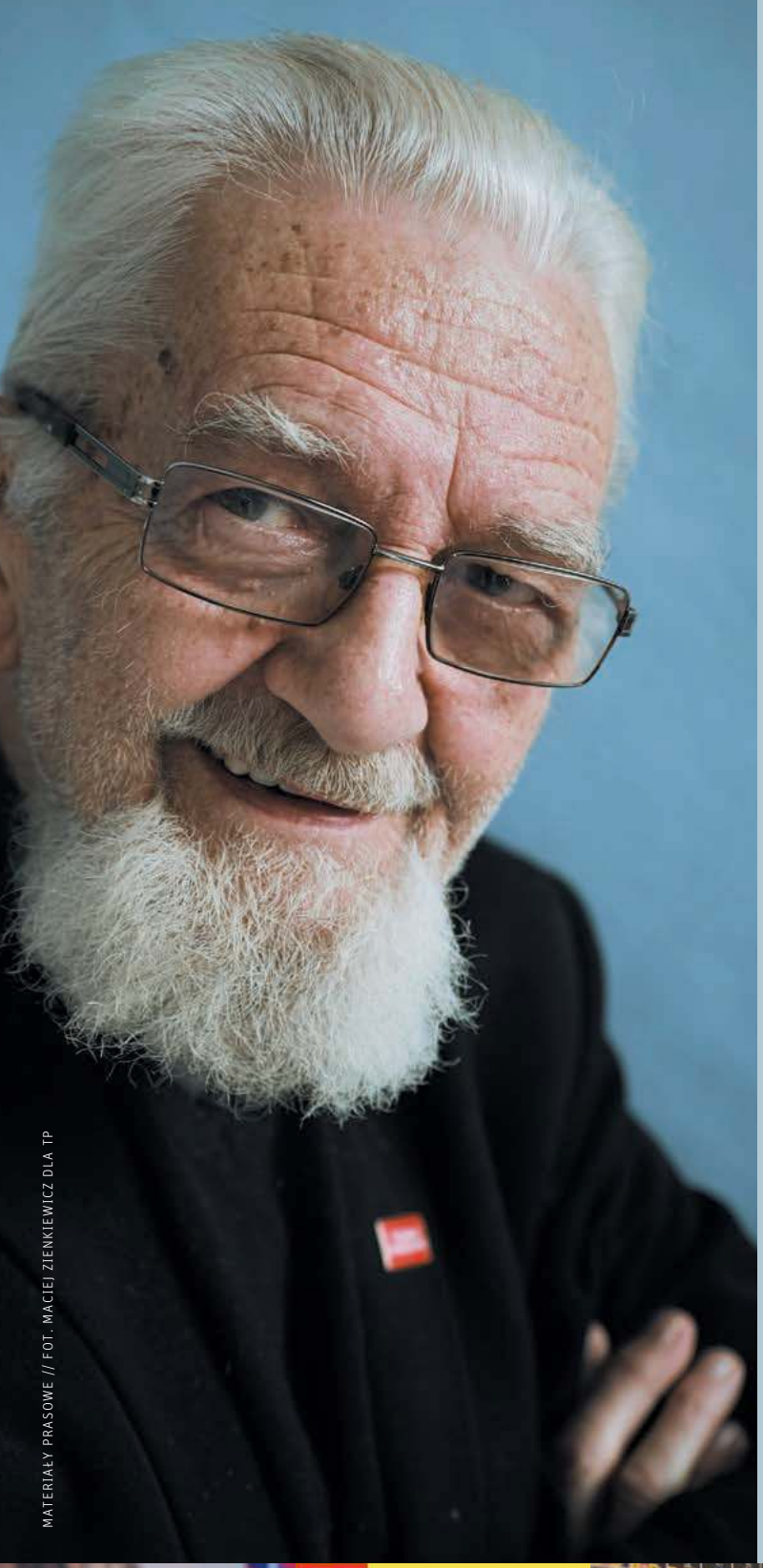

MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!
Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:
WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.
Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.
To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:

Conrad Festival

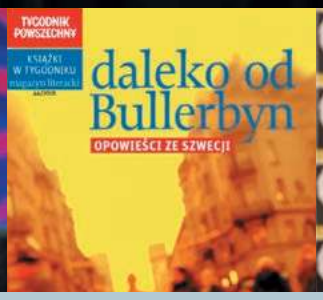

magazyn literacki „Książki w Tygodniku”

Lekcje Czytania

cykl Wielkie Pytania na Nowo

Copernicus Festival

STANISŁAW

Mancewicz:
Gdyby ciocia miała wąsy

Ilekroć nadchodzi wiosna, czujniej i raźniej rozglądamy się po naszej zasypanej papierzyskami norze, w której przychodzi nam tworzyć owe niesłychanie popularne utwory. Rzec trzeba, że pomysł, by to wszystko zgodnie z trendem rytualnie spalić, a prochy puścić z wiatrem, powraca potężnym impulsem akurat w tej porze, teraz, gdy oto dzietność narodu polskiego lawinowo narasta, wraz z bocianami wracającymi z wyraju w krajach muzułmańskich i żydowskich. Jak widać, w naszych mniemaniach na temat rozmnażania człowiekowatych jesteśmy przywiązani do doktryny programowej przodującej polskiej oświaty, trzymając rzecz jasna rączki na kołdrze i wsłuchując się w przejmujące grozą przestrogi Gospodarza. Jeśli idzie zaś o finanse, wiosna takoż, tak się spodziewamy, zmieni naszą sytuację ekonomiczną. Tu z kolei ślepo ufamy rządowi polskiemu, który tak pięknie dowodzi narodowi, że pieniądze rosną na drzewach. W napięciu czekamy, aż zaczną pękać pierwsze pączki z dolarami, by nie rzec: z bonami PKO. Zestaw mniemań, w które się ostatnio wsłuchujemy, skłania nas wyłącznie do radosnych refleksji na temat fizjologii, finansów i robienia wbrew szatanowi, na poziomie heroizmów Mistrza Twardowskiego, przebywającego dziś, podobnie jak większość z nas mentalnie, na Księżycu.

Idźmyż dalej, wiosna bowiem skłania nas takoż do przemyśleń na temat wolności. Są to akurat mniemania smutne. Dotyczą, co ze zgrozą zauważyliśmy, nie tylko naszego portfela, ale i bodaj siódmego przykazania. Oto Gospodarz zapowiedział narodowi dar wolności. Samo to w sobie, zważywszy, co ów na temat wolności sądzi, wydaje się nam co najmniej groteskowe. Nie ulega bowiem wątpliwości, że widziałby on nas raczej na wilgotnej pryczy niźli wąchających wolno wiosenne kwiatki, dajmy na to, na łące. Gdy jednak wejdziemy w detal tej oferty, oczy robią się nam jak spodki. Idzie mu oto, jak można się domyślić, by każdy mógł sobie brać dowolnie to, co nie jego. Zaiste, i to akurat wydaje się nam normalne, jego właśni ludzie tak akurat czynią, gdyż – cytując klasyczkę – im się należy. Ale reszta? Też może? Hasło „PiS da wam wolność" brzmi powabnie, ale gdy poskrobać, chodzi chyba tylko o możność wynoszenia sobie czegokolwiek ze sklepu nie płacąc. Rozumiemy i poniekąd pochwalamy styl bycia Srebrnego Lisa, który tak się życiowo urządził, że ma wszystko za friko, od masła poprzez skarpetki na szwadronach tajniaków i chroniącej go policji państwowej kończąc. Że ów nie ma bladego pojęcia, czym są zakupy, że nawet wakacje spędza na koszt podatnika. Niechże takoż słucha sobie muzy, ogląda filmiki i czyta też za darmochę, ale niechże nie nawołuje i nie wabi rzesz, by kradły. Czymżeśmy sobie zasłużyli – pytamy w napięciu – na miłosną ofertę Gospodarza, by oto nasi bliźni rabowali nasze prawa autorskie w imię doktryny państwowej? To są – proszę wybaczyć – rzewne jaja. Czy istnieje państwo, którego przywódca otwartym tekstem nawołuje lud do gruntownego odrzucenia moralności? Bardzośmy się teraz napięli, ale poziom awarii bigosu w głowach doradców kampanijnych i dojmujących skapustnień u członków tego gabinetu napawa nas parabolicznie, a więc i botanicznie, i kulinarnie.

Pośród tych wszystkich wydarzeń niejako umyka nam gruby problem tożsamościowy i oczywiście też godnościowy. Oto Amerykanie – Bóg raczy wiedzieć, czy to prawda – obwieścili światu, że generał Pułaski był kobietą. Nad tym nie można przejść, ot tak, do porządku dziennego. Jest to kolejny cios w nasz wizerunek na arenie światowej. Pomijając uruchamiające się wyobrażenia, że i inni herosi nasi mieli kobiece miednice i takowe genomy, trzeba już zadać sobie pytanie, czy Pulaski Day Parade w Nowym Jorku przerodzi się w wydarzenie na kształt parady równości bądź w brazylijski karnawał? Są to sprawy nie mniej przejmujące niż pieniądze rosnące na drzewach, bociany lecące z niemowlętami, wciąż niejasne dla Polaków konsekwencje seksu, fizjologii, zmian klimatu czy niemoralnych zachowań. Do tego zestawu dochodzi kolejne, koszmarnie trudne i realne pytanie o wąsy naszej amerykańskiej cioci. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA MIASTA BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO OD 2019 ROKU W NOWEJ FORMULE!

Od 2019 roku Nagroda Literacka im. Wiesława Kazaneckiego przyznawana jest nie tylko dla twórców związanych z Białymstokiem i regionem.

Zapraszamy autorów i wydawców z całego kraju do zgłaszania tomów poetyckich, wydanych w 2019 roku.

W KONKURSIE OD BIEŻĄCEGO ROKU MOGĄ BRAĆ UDZIAŁ DEBIUTANCKIE TOMY POETYCKIE, W KATEGORII NAGRODY ZA NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU,
ROZUMIANY JAKO PIERWSZY WYDANY TOM DANEGO AUTORA.

Po więcej informacji na temat Nagrody zapraszamy na stronę
www.wieslaw-kazanecki.pl oraz www.bialystok.pl

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

kbf★ RMF Classic

12. FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ W KRAKOWIE

14–21.05.2019

FMF Gala: **The Glamorous Show**
Disney in Concert: The Magic of Music
Dracula Live in Concert
Birdman Live in Concert

KUP BILET

biurofestiwalowe.pl
InfoKraków
salony Empik
salony MediaMarkt
eventim.pl

www.fmf.fm

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy: kbf★ RMF Classic

Partner dla Krakowa: BUKOVINA RESORT

Sponsor główny: TAURON